

# LEGION UMARŁYCH

Jack  
Williamson



Jack Williamson

# LEGION UMARELYCH



# **JACK WILLIAMSON**

## **LEGION UMARŁYCH**

TYTUŁ ORYGINAŁU: THE LEGION OF TIME; AFTER WORLD'S END

PRZEKŁAD: JOLANTA ZAGRODZKA, ANDRZEJ WRÓBEL

WYDAWNICTWO „ALFA” WARSZAWA 1993

## **LEGION UMARŁYCH**

### **Rozdział 1**

# TAJEMNICZE SPOTKANIE

Dla Dennisa Lanninga wszystko, cała historia opisana poniżej — a zarazem prawdziwe jego życie — zaczęło się w pewien spokojny kwietniowy wieczór 1927 roku. Lanning był

wówczas osiemnastoletnim, smukłym, niemal filigranowym młodzieńcem o słomkowożół-

tych, sterczących włosach. Zazwyczaj z jego twarzy nie schodził nieśmiały ciepły uśmiech, czasem jednak zapalał mu się w oczach bojowy ogień — w jego elastycznym ciele drzemała zresztą zaskakująca siła.

Już na samym początku owej historii połączyły się ze sobą dwa przeciwstawne składniki, które współtworzyły ją do końca: codzienna rzeczywistość i absolutnie Niewyjaśnialne.

W ostatnim semestrze Lanning dzielił mieszkanie w Cambridge z trzema innymi studentami Harvardu; wszyscy trzej byli starsi od niego o rok lub dwa. Wilmot McLan, matematyk, był poważnym chudym mężczyzną pochłoniętym całkowicie swoją pracą. Lao Meng Shan, dumny syn mandaryna z Seczuanu, młodzieniec o cichym, miękkim głosie, fascynował się cudami współczesnej techniki. Obaj dobrzy kumple, prawdziwi przyjaciele. Ale najbliższy Lanningowi był w tym gronie Barry Halloran.

Olbrzymiego wzrostu, rudowłosy, amerykański w każdym calu, zapalony piłkarz, Barry wydawał się uosobieniem instynktu walki. Obaj, Barry i Lanning, przepełnieni byli tym samym nieokiełznanym, płomiennym duchem wiecznego buntu. Tej wiosny uczyli się pilotażu w porcie lotniczym wschodniego Bostonu, a niebo stanowiło dla nich wciąż podniecające wyzwanie.

Owego sennego niedzielnego wieczoru wszyscy trzej przyjaciele Lanninga znajdowali się poza domem. W mieszkaniu panowała cisza, a Denny siedział samotnie w swoim pokoju i czytał małą, cienką książeczkę. Była to pierwsza praca naukowa Wilmota McLana, dopiero co wydana na jego własny koszt. Nosiła tytuł *Rzeczywistość i zmiana*, a na jej pierwszej stronie widniała dedykacja: „Dla Denny'ego od Wila — pozdrowienie ponad czasem.” Matematyczny język tej książki był czymś obcym dla Lanninga. Wyciągnął się wygodnie w fotelu i zamknął znużone oczy, próbując zbudować przejrzysty obraz z mgły zawitych symboli. McLan cytował słynne zdanie Minkowskiego: „Przestrzeń sama w sobie i czas sam w sobie pozostają nieokreślonymi cieniami i dopiero zespolone tworzą niezależny byt.” Jeżeli zatem czas jest po prostu jednym z wymiarów Wszechświata, czy jutro jest wobec tego tak samo rzeczywiste jak wczoraj? Jeśli ktoś mógłby dokonać skoku w przyszłość...

— Denny! — usłyszał nagle swoje imię.

Lanning upuścił książkę i wyprostował się. Zamrugnął oczami i przełknął ślinę. Lekki dreszcz przebiegł mu po plecach. Drzwi były wciąż zamknięte, a w pokoju panowała absolutna cisza. Ale przed nim, na dywaniku, stała kobieta.

Dziewczyna... i jakże piękna!

Prosta biała szata spowijała całą jej postać. Lśniące, miedzianorude włosy spinała kła-mra, wykonana z czegoś, co było niebieskie i błyszczące. Doskonale zarysowana, klasyczna twarz wydawała się niemal surowa, ale Lanning dostrzegł w niej ogromne cierpienie.

Trzymała przed sobą w drobnych dłoniach jakiś przedmiot, o rozmiarach i kształcie piłki futbolowej, który lśnił głębokim wewnętrznym blaskiem niby niesamowity diament.

Utkwiła w Lanningu poważne spojrzenie. Jej wielkie oczy miały fiołkowy kolor. Coś, co dostrzegł w ich głębi — ni to bolesne przerażenie, ni to porażające, pozbawione nadziei oczekiwanie — wyzwoliło w nim falę współczucia. Po czym nagle wróciło zdumienie. Lanning podniósł się z fotela.

— Witaj! — powiedział prawie bez tchu. — Tak, jestem Denny Lanning. Ale kim ty jesteś? — Jego spojrzenie powędrowało w stronę zamkniętych drzwi za jej plecami. — Jak się tu dostałaś?

Słaby uśmiech zajaśniał na bladej twarzy dziewczyny.

— Jestem Lethonee. — Jej głos miał niezwykły rytm i melodię, słowa brzmiały prawie jak pieśń. — W rzeczywistości nie znajduję się w tym pokoju wraz z tobą, lecz w moim mie-

ście, Jonbarze. Spotkaliśmy się jedynie w twojej wyobraźni. — Fiołkowe oczy spoczęły na olbrzymim klejnocie, który trzymała w dłoniach. — I tylko twoje refleksje nad czasem sprawiły, że mogłam do ciebie dotrzeć.

Lanning, oszołomiony, chłonał cudowną, czystą młodość, emanującą z jej wiotkiej postaci, blask wspaniałych włosów i spokojne głębokie piękno, promieniujące z niej jak wewnętrzne światło.

— Lethonee — wyszeptał, smakując ten dźwięk. — Lethonee...

Realna czy nie, była niezwykle piękna.

Łagodny, czuły uśmiech pojawił się na chwilę na jej zmartwionej twarzy.

— Przebyłam długą drogę, aby cię odnaleźć, Denny Lanningu — powiedziała. — Przekroczyłam otchłań straszniejszą od śmierci, aby cię błagać o pomoc.

Ogarnęło go dziwne, gorączkowe pragnienie. Niedowierzenie walczyło z zapierającą dech nadzieją. Czuł bolesny skurcz gardła uniemożliwiający mówienie. Podszedł niepewnie do niej i próbował dotknąć jej nagich ramion trzymających lśniący przedmiot. Jego drżące palce napotkały pustkę.

— Pomogę ci, Lethonee — wyjąkał w końcu. — Ale jak?

Jej srebrzysty głos zniżył się do lęklivego, gwałtownego szeptu.

— Przeznaczenie wybrało ciebie, Denny Lanningu. Los ludzkości spoczywa w twoich rękach, moje życie i przyszłość Jonbaru także zależą od ciebie.

— Nie! — zachnął się Lanning. — Jak to? — Z niedowierzaniem potarł czoło. —

Gdzie jest Jonbar?

Jego zdumienie i lęk wzrosły jeszcze bardziej, gdy dziewczyna powiedziała:

— Spójrz w kryształ czasu, a pokażę ci Jonbar.

Podniosła do góry olbrzymi klejnot i utkwiała w nim wzrok. Z kamienia wytrysły nagle kolorowe promienie — eksplodował oślepiającym, wielobarwnym światłem. Blask powoli przygasał i Lanning zobaczył Jonbar. Między zielonymi parkami i szerokimi wielopoziomo-wymi estakadami wznosiły się, porozrzucane na ogromnej przestrzeni, zbudowane ze srebrzystego metalu wyniosłe, strzeliste pylony, przy których drapacze Manhattanu wydawałyby się małe. Wielkie białe statki w kształcie łyży przesuwały się w powietrzu ponad nimi.

— To Jonbar, miejsce w którym jestem — powiedziała dziewczyna miękko. — Pozwól teraz, że ci pokażę miasto leżące daleko we mgle przeszłości, które może stać się Nowym Jonbarem.

Jasny płomień zasłonił Jonbar i znikł wraz z nim. Lanning zobaczył inną, jeszcze bardziej zdumiewającą metropolię. Zielone wzgórza rysujące się na horyzoncie pozostały te same, ale wieże były potężniejsze i rozmieszczone jeszcze dalej od siebie. Ich mury o czystych, miękkich barwach jaśniały jaskrawo na tle zieleni drzew otaczających je parków. To miasto było piękne jak dzieło artysty; jego uroda zapierała dech w piersiach.

— Nowy Jonbar — szepnęła dziewczyna pełnym czci tonem. — Jego mieszkańcy to *dynoni*.

Tu mniej statków unosiło się w powietrzu. Lanning zobaczył jednak małe figurki, spowite w coś, co wydawało się szatami z czystego, jarzącego się płomienia, bez żadnych skrzydeł szybujące swobodnie wysoko ponad parkami.

— Oni latają dzięki przystosowaniu się do *dynatu* — szepnęła Lethonee. — Jest to siła, która czyni ich prawie nieśmiertelnymi, podobnymi Bogu. To oni są tą doskonałą rasą, która nadejdzie.

Wielobarwny płomień przesłonił obraz i dziewczyna opuściła kryształ. Lanning zrobił

krok do tyłu i przyglądał się przez chwilę lampie, książkom i krzesłu stojącym za nim. Z tej starej wygodnej rzeczywistości przeniósł wzrok z powrotem na cudowną postać dziewczyny.

— Lethonee — zaczął i przerwał, żeby złapać oddech. — Powiedz mi, czy ty istniejesz naprawdę?

— Jestem tak samo prawdziwa jak Jonbar — powiedziała cicho, poważnym tonem. —

Nasz los jest w twoich rękach. Ty dasz nam życie lub śmierć. Taka jest prawda zapisana w strukturze czasoprzestrzeni.

— Cóż ja... — zajął się Lanning. — Cóż ja mogę zrobić?

Cień lęku pojawił się w jej oczach.

— Jeszcze nie wiem. To, co zrobisz, jest rozmyte w strumieniu czasu. Ale ty możesz walczyć o Jonbar — jeśli tylko będziesz chciał. Żeby zwyciężyć albo zginąć. Przyszedłam, aby ostrzec cię przed tymi, którzy będą chcieli zniszczyć ciebie — a tym samym cały mój świat.

Jej głos przypominał teraz monotony śpiew.

— Wiedz bowiem, że istnieje ciemna, straszna potęga *gyrane* i czarny Glarath, jej kapłan, istnieje też Sorainia, ze swymi hordami żołnierzy-niewolników.

Lethonee sposepniała. Smutek zasnuł jej oczy, wciąż jednak płonęły niegasnącą nienawiścią.

— Największe niebezpieczeństwo zagraża nam z jej strony. — W głosie Lethonee zabrzmiały tony przypominające pieśń bitewną. — Sorainia ma duszę wojownika. Jest diabelskim owocem Gyronchi i musi zostać zniszczona.

Dziewczyna umilkła nagle i spojrzała na Lanninga ponad olbrzymim kryształem; w jej bladej twarzy dostrzegł czułość i prawie dziecięce zatroskanie.

— W przeciwnym razie — zakończyła — ona zniszczy ciebie, Denny.

Lanning patrzył na nią uważnie przez dłuższą chwilę. W końcu ochryplym z emocji głosem powiedział:

— Cokolwiek się zdarzy, chciałbym ci pomóc. Jeśli tylko będę potrafił. Dla ciebie go-tów jestem na wszystko. Ale powiedz mi, co mam robić?

— Strzeż się Sorainii! — Te słowa zabrzmiały jak dźwięk fanfar, ale potem jej głos wyraźnie opadł. — Denny, obiecaj mi coś. Obiecaj, że nie polecisz jutro.

— Jak to, przecież to taka znakomita okazja! — zaprotestował Lanning. — Max, nasz instruktor, powiedział, że właśnie jutro Barry i ja będziemy latać zupełnie samodzielnie, jeśli tylko pogoda nie zawiedzie. Nie mogę, nie chcę zrezygnować.

— Musisz — powiedziała Lethonee.

Lanning napotkał spojrzenie jej fiołkowych oczu. Fala nieznanego uczucia zmiotła naraz jakąś niewidoczną barierę między nimi...

— Obiecuję — wyszeptał. — Nie polecę.

— Dziękuję, Denny. — Uśmiechnęła się i dotknęła dłonią jego dłoni. — Teraz muszę już odejść.

— Nie! — Lanning przeraził się, zaparło mu oddech. — Przecież nie wiem nawet połowy tego, co powinienem wiedzieć. Gdzie ty jesteś naprawdę ani jak ciebie odnaleźć. Nie odchodź jeszcze...

— Niestety muszę. — Cień przesłonił jej twarz. — Sorainia może mnie tu śledzić. Gdy zrozumie, że rozwiązanie zależy teraz od ciebie, zrobi wszystko, aby cię pojmać... lub nawet zniszczyć. Znam Sorainię.

— Ale... — Lanning przełknął ślinę. — Czy zobaczę cię znowu?

— To twoja ręka spoczywa na sterze czasu, nie moja.

— Czekaj! — krzyknął Lanning. — Ja...

W tym momencie kamień, który trzymała w dłoniach, rozbłysnął znowu potężnym, tęczowym blaskiem. Lanning natychmiast przestał widzieć cokolwiek. A gdy minęła chwila, okazało się, że jest sam w pokoju i mówi w próżnię.

Czy to był sen, czy jawa? Czy Lethonee była kimś rzeczywistym, kimś, komu udało się tu dotrzeć przez otchłań czasu z istniejącej, być może, odległej przyszłości? A może zwario-wał? Oszołomiony wziął znów do ręki małą szarą książeczkę i przeczytał raz jeszcze fragment:

„Zewnętrznemu obserwatorowi, dysponującemu zmysłami przeznaczonymi do odbioru czterowymiarowych wrażeń, nasz Wszechświat musi wydawać się zamknięty, na zawsze ustalony, niezmienny. Upływ czasu jest niczym innym jak wskazówką wewnętrznego zegara; jest niczym innym jak nieuchwytnym promieniem świadomości, oświetlającym ludzkie doświadczenie. W każdym absolutnym sensie zdarzenia dnia wczorajszego i jutra są tak samo wieczne i niezmiennie jak struktura przestrzeni.”

Przed oczami stanęła mu nagle piękna postać Lethonee i przesłoniła stronicę książki.

Jak te słowa mają się do jej opowieści o światach, które mogłyby zaistnieć i walczą o swoje istnienie?

Odrzucił książkę na bok, nalał sobie porządny łyk irlandzkiej whisky z butelki należącej do Barry'ego Hallorana i powędrował bez celu w kierunku placu Harvardzkiego. Było już późno, kiedy wreszcie położył się do łóżka. Spał śniąc o Lethonee.

Następnego ranka miał ochotę opowiedzieć o wszystkim Barry'emu, który był mu bli-

ższy niż rodzony brat. Pomyślał jednak, że wielki rudzielec uśmiełby się tylko — tak jak on sam śmiałby się na pewno, gdyby usłyszał podobną historię od kogoś innego. A nie chciał, żeby ktokolwiek śmiał się z tego snu, nawet Barry.

Dręczony nadmiarem sprzecznych doznań i uczuć: zdumieniem i niepewnością, niczym nie uzasadnioną nadzieją ujżenia Lethonee raz jeszcze i gorzkim lękiem, że może była ona jedynie złudzeniem, Lanning przez jakiś czas daremnie próbował się uczyć i naraz zdał sobie sprawę, że spaceruje bez celu po pokoju.

— Obudź się, chłopie! — huknął na niego Barry. — Nigdy bym nie przypuszczał, że możesz się tak rozkleić. A Max mówi, że masz nerwy ze stali. To raczej ja powinienem być zielony ze strachu. Nie



wyglupiaj się stary, chodźmy sobie polatać.

Lanning wstał bez przekonania i wtedy zadzwieczył telefon. Tego roku Denny zarabiał

sam na siebie pracując jako uniwersytecki korespondent bostońskiej gazety codziennej; dzwonił jego redaktor. zaproponował mu robotę, której Lanning mógł się nie podjąć. Słuchając głosu szefa, widział jednak ciągle przed sobą przepelnione rozpaczą oczy Lethonee.

— Okay, szefie — powiedział. — Zrobi się. — Odłożył słuchawkę i spojrzał na Barry'ego. — Przepraszam, stary. Praca przede wszystkim. Powiedz Maxowi, że nie mogę przyjść. Szczęśliwego lądowania, chłopie.

— Powodzenia, stary.

Rudy olbrzym uśmiechnął się, zmiądzzył mu dłoń w uścisku i wyszedł.

Cztery godziny później Lanning przeczytał w swojej własnej gazecie, że Barry Halloran nie żyje. Kiedy samolot treningowy znalazł się ponad portem bostońskim, na wysokości sześciuset metrów, pilot stracił nagle panowanie nad maszyną i ta, runąwszy w dół, utonęła w kanale Charles River. Dźwig wyciągnął zmiądzony wrak ze szlamu, ale ciała Barry'ego nie odnaleziono.

Lanning z wysiłkiem oderwał oczy od czarnych liter nagłówka. Przerazenie prawie go sparaliżowało, żal przygniótł mu serce ciężkim otępiającym brzemieniem. Zrozumiał, że Lethonee uratowała go przed śmiercią. Dokonała tego jednak za cenę życia Barry'ego Hallorana.

## **Rozdział 2**

# KORYTARZ CZASU

Lanning nie odczuwał żadnej wdzięczności za ostrzeżenie, które uratowało mu życie, dręczył go jedynie głęboki żal, połączony z bolesnym poczuciem winy, z powodu śmierci Barry'ego. Nie żywił jednak urazy do Lethonee — tragedia wydawała się okrutnym dowodem jej istnienia. W jej delikatnej urodzie, w jej powadze i zatroskaniu z pewnością nie było nic diabelskiego.

Dziwne napięcie, które nie opuszczało Lanninga przez parę następnych dni, pomogło mu przetrwać ten trudny okres. Ciągle jeszcze miał nadzieję, że Lethonee powróci — pamięć o niej była jak rana, która nie chciała się zagoić. Jej enigmatyczne ostrzeżenie i własne nieokreślone przeczucie nieznanymi niebezpieczeństw nadały zresztą jakiś nowy smak jego dniom.

Po symbolicznym pogrzebie Barry'ego życie biegło dalej, tak jakby Lethonee nigdy się nie pojawiła. Lao Meng Shan powrócił do Chin, by spożytkować świeżo zdobytą wiedzę dla dobra swojego kraju. Wil McLan wyjechał na stypendium do Europy i zaczął studiować fizykę teoretyczną.

Lanning zaś popłynął do Nikaragui, gdzie amerykańska piechota morska tłumiła rebelię Sacasa-Chamorro, na swój pierwszy zagraniczny reportaż. Wuj Barry'ego zaoferował mu pracę w reklamie, Lanning jednak nie przyjął tej bardzo zresztą korzystnej propozycji. Wiedział, że musi zerwać wszystkie dawne więzy, zapomnieć o tym, co było. Dręczył go stale piekący niepokój zrodzony z wewnętrznego konfliktu między zwątpieniem i nadzieją, zachwytem i żalem, lękiem i gorzką tęsknotą.

To właśnie podczas podróży małym parostatkiem do Corinto Lanning po raz pierwszy zobaczył Sorainię. Wiedział, że na pewno nie śni, że nigdy nie będzie mógł zapomnieć o tej dziwnej sieci przeznaczenia zarzuconej w przestrzeni i czasie, żeby go usidlić, nie będzie też mógł uwolnić się od niej. Aksamitna noc opadła na tropikalny Pacyfik. Wachta właśnie się zmieniała i pokłady opustoszały. Lanning, jedyny pasażer, stał na przednim pokładzie oparty o reling i wpatrywał się w zalane srebrzystą poświatą morze. Oczyma duszy widział jednak kamień czasu w rękach Lethonee i jej smukłą postać, której obraz prześladował go zawsze i wszędzie. Drgnął zaskoczony, kiedy usłyszał dźwięczny, złoty głos, do złudzenia przypominający głos Lethonee:

— Denny Lanningu!

Serce podeszło mu do gardła. Spojrzał w górę i gwałtownie rozbudzona nadzieja zmieniła się nagle w pełne lęku zdumienie. Wzdłuż balustrady płynęła w powietrzu długa, złota muszla mająca kształt płaskiego talerzyka. Wyłożona jedwabnymi poduszkami, przypominała sofę. Na tym posłaniu spoczywała kobieta.

Sorainia — bogini wojny!

Przypomniał sobie ostrzeżenie Lethonee. To rzeczywiście była ona, wojownicza królowa, ubrana w błyszczącą, szkarłatną kolczugę uwydatniającą jej kobiece kształty. Obok niej leżał długi miecz w wysadzanej klejnotami pochwie, a tuż przy nim, ozdobiony czarnym pióropuszem, szkarłatny hełm. Ciężkie sploty jej złotych włosów opadały na silne, nagie ramiona.

Białe, spiczasto zakończone palce z paznokciami pomalowanymi jaskrawą czerwienią dotknęły steru jej dziwnego statku i ten posłusznie podpłynął bliżej do barierki. Opierając się na łokciu spoglądała z uśmiechem na Lanninga. Jej wielkie, zielone, kocie oczy lśniły wspaniałym blaskiem. Czerwone usta, lubieżne i drwiące, płonęły jak krwawa rana na bladej twarzy.

„Diabelski owoc” — przypomniał sobie słowa Lethonee. Stał przy balustradzie, trzymając się jej kurczowo, drżąc gwałtownie — czuł się całkowicie bezradny i obezwładniony. Wydawało mu się, że śni, a niedowierzanie ustąpiło nagle miejsca niespodziewanemu pożądaniu.

Całą siłą woli starał się zapanować nad swymi emocjami.

— Czy to ty jesteś Sorainia? — spytał poważnym tonem. — Ostrzeżono mnie, że mogę cię spotkać.

Podniosła się nagle jakby smagnięta biczem i usiadła na posłaniu. Zielone oczy zwęziły się, jej naprężone ciało wyglądało wspaniale w błyszczącej kolczudze. Na czerwonych, zaciśniętych ustach pojawił się grymas pogardy.

— Lethonee! — jakby wypluła to imię. — A więc ta suka z Jonbaru znalazła cię?

Lanning zaczerwienił się z gniewu i mocniej zacisnął palce na relingu. Przypomniał

sobie zimny błysk nienawiści w oczach Lethonee i jej słowa wypowiedziane surowym stanowczym tonem: „Trzeba zniszczyć Sorainię.”

— Czyżbyś był zły, Denny Lanningu? — Drwiący śmiech przypominał dźwięk kuran-tów. — Zły z powodu cienia? Bo Lethonee nie jest niczym więcej jak zjawą próbującą za pomocą płaskich kłamstw i sztuczek żyć kosztem życia innych. Być może już to odkryłeś.

Lanning wzruszył ramionami i zwilżył językiem wargi.

— To prawda — szepnął. — Ona spowodowała śmierć Barry'ego.

Wyraz pogardy zniknął z jej twarzy. Potrząsnęła wspaniałą głową i odgarnęła zwichrzone włosy. Zielone jak morze oczy uśmiechały się zachęcająco.

— Lethonee jest jedynie mglistym prawdopodobieństwem. — Jej głos brzmiał jak delikatna pieszczota. — Jest mniej rzeczywista niż pyłek kurzu, mniej niż cień na ścianie. Zapomnijmy o niej, Denny Lanningu! Dobrze?

Lanning przełknął ślinę i dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Ale ja jestem prawdziwa, Denny — jej nagie ramiona otwarły się zapraszająco — i przybyłam tu, aby zabrać cię do Gyronchi. Jest to potężne imperium, o wiele wspanialsze niż blade sen o Jonbarze. I to ja jestem jego władczynią.

Podniosła się jednym płynnym ruchem, wysoka i pełna wdzięku w swojej szkarłatnej kolczudze.

Wyciągnęła nagie ramiona, żeby pomóc Lanningowi wsiąść do złotej muszli. Jej zielone oczy błyszczały odurzającą obietnicą.

— Chodź, Denny Lanningu. Będziesz rządził ze mną w Gyronchi.

Dłonie Lanninga tak silnie zacisnęły się na poręczy bariery, że aż palce mu pobieleły.

Serce waliło jak szalone. Wciągnął głęboko powietrze w płuca.

— Dlaczego — wyrzucił z siebie chrapliwie — dlaczego spośród wszystkich mężczyzn wybrałaś mnie?

Muszla podpłynęła jeszcze bliżej, a Sorainia uśmiechnęła się.

— Szukałam cię w całej czasoprzestrzeni, Denny Lanningu. To przeznaczenie wybrało nas sobie. Los daje nam klucze do władzy. Jeśli wspólnie będziemy władać Gyronchi, nigdy nie przegramy. Chodź!

Lanning z trudem łapał oddech.

— Dobrze, piękna — westchnął. — To ty znasz reguły gry.

W świetle gwiazd wspiał się na reling i ujął Sorainię za rękę.

— Denny, zaczekaj! — usłyszał za sobą czyjś głos.

Lanning odwrócił się instynktownie i zobaczył Lethonee. Stojąc obok barierki, w swojej białej, prostej szacie wyglądała jak duch. W dłoniach trzymała wielki kryształ czasu. Na jej poszarzałej twarzy malowała się rozpacz.

— Pamiętaj, Denny! — usłyszał jej ostrzeżenie. — Sorainia cię zniszczy!

Sorainia stanęła na muszli, prostując swą prężną, wyzywającą postać, wspaniałą w szkarłatnej zbroi. Jej zwężone, zielone oczy płonęły tygrysią furją. Silne zęby lśniły bielą w grymasie nienawiści. Wysyczała tajemnicze zaklęcie i splunęła w kierunku Lethonee.

Lethonee zadrzała z gniewu, z trudem łapiąc oddech. Jej twarz pobleadła jak papier, fiołkowe oczy płonęły.

— Precz! — krzyknęła.

Sorainia odwróciła się znów do Lanninga, uśmiech powrócił na jej pełne nienawiści oblicze. Otworzyła szeroko swe nagie ramiona.

— Chodź ze mną, Denny — szepnęła — i pozwól temu kłamliwemu duchowi powrócić do umarłego miasta z jego snów.

— Spójrz, Denny — Lethonee przygryzła poblede wargi, próbując zapanować nad gniewem —

gdzie ona chce cię zabrać!

Lanning powiódł wzrokiem za jej ręką i na powierzchni czarnego, tropikalnego morza ujrzał fosforyzujący ślad, który zostawiła za sobą sunąca szybko płetwa rekina. Nagle wstrząsnął nim dreszcz przerażenia — zeszywniał i zeskoczył z relingu. Dotknął bowiem, a wła-

ściwie próbował dotknąć wyciągniętej ręki Sorainii, i jego palce napotkały pustkę!

Drżąc jeszcze ciągle, spojrzął na szczupłą, dziewczęcą postać przy barierce. Dostrzegł w jej oczach łzy, a w jej twarzy ból, który starała się ukryć pod maską dumy.

— Przebacz mi, Lethonee! — wyszeptał. — Tak mi strasznie przykro, przebacz mi, proszę...

— Chciałeś odejść, Denny! — usłyszał żal w jej głosie. — Już do niej odchodziłeś.

Złota muszla przesuwiała się wzdłuż balustrady. Sorainia, wyprostowana dumnie, wspaniała, królewska, przypominała złoty miecz. Zielone oczy płonęły złowrogim ogniem.

— Lanning. — Jej głos brzmiał lodowato. — W tablicach czasu zapisano, że mamy być albo wrogami, albo jednością. Gyronchi broniony przez moich niewolników, przez Glaratha i *gyrane*, nie boi się ciebie. Jonbar natomiast jest bezbronny. Pamiętaj!

Mocną stopą, obutą w czerwone skórznie, dotknęła jakiejś dźwigni przy brzegu żółtej muszli i w następnej chwili zniknęła natychmiast jak obraz z ekranu.

Lanning obrócił się powoli w stronę Lethonee. Jej twarz pod niebieską opaską, która spinała miedziane włosy, była blada i stężała z rozpaczy.

— Proszę — wyszeptał. — Przebacz mi.

Twarz dziewczyny nie rozjaśniła się jednak.

— Sorainia jest piękna — powiedziała cichym, przytłumionym głosem — ale jeśli kiedykolwiek uzyska władzę nad tobą, Denny, będzie to koniec Jonbaru i także mój koniec.

Oszołomiony Lanning potrząsnął głową.

— Ale dlaczego? — zapytał. — Nic nie rozumiem.

Lethonee wpatrywała się w niego przez chwilę swymi fiołkowymi oczami. Nagle jej wargi zeszywniały, a potem zadrżały, jakby miała za chwilę się rozpłakać. Kiedy jednak w końcu się odezwała, jej głos brzmiał poważnie i spokojnie.

— Spróbuję ci to wytłumaczyć, Denny. — Blask bijący od kamienia, który trzymała w dłoniach, rozjaśniał jej twarz. — Świat przypomina korytarz, ciągnie się od początku aż do kresu bytu.

Zdarzenia formują się jak rzeźbiony fryz biegnący w nieskończoność wzdłuż jego ścian. Czas natomiast jest jak latarnia, która oświetla wzór tego fryzu, element za elementem.

Jest on światłem ujawniającym subiektywną rzeczywistość świadomości.

Ów korytarz rozgałęzia się wciąż bez końca, gdyż jest zbiorem wszystkich możliwości.

Posiadacz latarni może skrócić w tę lub inną spośród jego odnóg, lecz te, które pozostają nie oświetlone, nigdy nie staną się rzeczywistością.

Mój świat, Jonbar, jest jedną z takich możliwych dróg. Wiedzie ona przez przepiękne pasáže, jasne aleje, które nic mają granic. Gyronchi jest inną drogą. Ale jest to droga jałowa

— biegnie przez wąskie, brzydkie przejścia, a na jej końcu czeka pozbawiona sensu śmierć.

Lethonee znowu spojrzała na Lanninga poważnymi, szeroko otwartymi oczyma ponad przygasającą łuną klejnotu. Przestraszony wstrzymał oddech, jakby poczuł na swoim ramieniu chłodną, nieznaną dłoń.

— Ciebie, Denny Lanningu — mówiła dalej Lethonee — wybrało przeznaczenie, byś przez pewien czas niósł tę latarnię. Masz więc możliwość wyboru rzeczywistości. Ani ja, ani Sorainia nie możemy fizycznie dotrzeć do ciebie. Być może uda się to dopiero w momencie twojej śmierci. Dzięki częściowemu panowaniu nad czasem możemy jednak mówić do ciebie i każda z nas może cię błagać, byś wniósł latarnię do jej korytarza. Denny...

Srebrzysty głos zadrżał z emocji.

— Denny, dobrze się zastanów, zanim dokonasz wyboru. Twoja decyzja ożywi jeden z możliwych światów, a drugi pozostawi w ciemności, aby się nigdy nic narodził.

Lanning poczuł nagły skurcz w gardle. Spojrzał na Lethonee, łagodną, wiotką i nieska-łaną. Wyglądała uroczo w jasnym świetle klejnotu.

— Nie mam wątpliwości — wyszeptał ochryple. — Już nigdy nie będę ich miał, bo cię kocham. Lethonee. Powiedz mi tylko, co mam robić. Powiedz mi, czy kiedykolwiek będziemy mogli się połączyć.

Potrząsnęła drobną główką.

— Moment, w którym dokonasz wyboru, jeszcze nie nadszedł — powiedziała wolno.

— We mgle tego, co możliwe, zdarzenia są wciąż nieokreślone i wieloznaczne.

Lanning znowu spróbował dotknąć jej ramienia; na próżno.

— Pamiętaj o mnie, Denny — usłyszał jej przyśpieszony oddech. — Pamiętaj, co ci powiedziałam. Sorainia ma niezwykłą urodę, a Glarath siłę *gyrane*. Uważaj na Gyronchi. I pamiętaj, że ta godzina

nadejdzie. Zegnaj.

Spojrzała na klejnot, smukłe palce pieściły jego połyskliwe ścianki. Nagle buchnął zeń tęczyowy płomień i pochłonął ją w jednej chwili. Zniknęła.

Czując dziwną słabość, nagle kompletnie wyczerpany, Lanning uchwycił się poręczy relingu. Spojrzał w stronę morza i znów ujrzał błysk czarnej płetwy rekina podążającego za okrętem.

### **Rozdział 3**

# KLUCZ DO GYRONCHI

Jego życie było mrocznym korytarzem. A terażniejszość latarnią, którą niósł wzdłuż tego korytarza. Denny Lanning nigdy nic zapomniał słów Lethonee. Niecierpliwie oczekiwał

następnego spotkania na którymś z ciemnych zakrętów. Krocząc przez pasaż lat rozglądał się ciągle za nią, ale nadaremnie.

Nie mógł również zapomnieć Sorainii. Pomimo że wyczuł, iż jest zła, pomimo ostrzeżenia Lethonee, pojawiała się czasami w jego snach, ubrana w swą przepyszną purpurową kolczugę. Często wracał także myślą do groźnej tajemnicy Gyronchi; chęć jej poznania mieszała się z lękiem.

Szedł korytarzem wojny. Nienawiść, jaką zawsze odczuwał wobec niesprawiedliwości, nakazywała mu przeciwstawiać się wciąż na nowo prawu siły. Występując w różnych rolach

— korespondenta wojennego, instruktora lotnictwa, pilota, doradcy wojskowego — bronił

beznadziejnych spraw na wszystkich kontynentach.

Gdy nie miał innej broni, walczył za pomocą słów. Kiedyś, w czasie gdy wiedeńscy lekarze starali się usunąć z jego przewodu pokarmowego nieznaną afrykańską amebę, napisał

powieść fantastyczno-utopijną *Droga do ś witu*, która opisywała świat taki, jakim być powinien.

Innym razem, wtrącony do więzienia przez pewnego dyktatora za to, że zdemaskował

jego przygotowania do wojny, napisał autobiografię w modnym wówczas wśród dziennikarzy stylu, w której próbował wykazać, że świat znajduje się w przededniu decydującego starcia pomiędzy cywilizacją demokratyczną a despotycznym absolutyzmem.

Przez wszystkie te lata nie widział ani razu Lethonee, nawet przelotnie. Ale pewnego dnia — było to podczas walk w Etiopii — obudził się, słysząc jej głos:

— Denny, wstawaj i uciekaj z namiotu!

Ubrał się pośpiesznie i wyszedł z obozu zmagając się z dokuczliwym wiatrem. Kilka minut później jego namiot zmiotła włoska bomba.

Zobaczył natomiast Sorainię, jeden raz.

Było to rok później w Madrycie, dokąd pojechał, by walczyć po stronie Lojalistów.

Pewnej nocy siedział samotnie przy stole w pokoju hotelowym, czyszcząc i ładując broń. W

którejś chwili przeszył go dziwny dreszcz, jak gdyby malaria, na którą chorował w Chaco i podczas Jungle War, znów wróciła. Podniósł wzrok i zobaczył długą płytką muszlę z żółtego metalu unoszącą



się nad dywanem.

Sorainia, w tej samej lśniącej, szkarłatnej kolczudze, spoczywała na jedwabnych poduszkach i wyglądała tak, jak gdyby widział ją przed pięcioma minutami, a nie dziewięć lat temu. Nagim ramieniem odrzuciła do tyłu złote włosy, a w jej zielonkawych oczach zapłonął

szydery, wyniosły uśmiech.

— No, cóż, Denny Lanningu. — Jej głos brzmiał matowo i leniwie, a kocie oczy wpatrywały się w niego z nie skrywanym zaciekawieniem. — Duch Jonbaru prowadził cię bezpiecznie przez lata, ale czy przyniósł ci szczęście?

Wyprostował się na krześle, zaczerwienił, przełknął gwałtownie ślinę. Widząc olśniewający uśmiech Sorainii, wstrzymał oddech.

— Jestem ciągle panią Gyronchi — jej głos wydał mu się pieszczotą — a klucze przeznaczenia spoczywają wciąż w twoich dłoniach.

Powolnym ruchem alabastrowego ramienia wskazała mu miejsce na jedwabnych poduszkach, obok siebie.

— Pojawiłam się znów, Denny, żeby zabrać cię ze sobą na tron do Gyronchi. Mogę ci ofiarować połowę olbrzymiego imperium, siebie samą i wszystko co mam. Co ty na to, Denny?

Lanning próbował zapanować nad swoim oddechem.

— Nie zapominaj, Sorainio — wymamrotał — że widziałem rekina.

Potrząsnęła głową i jej włosy spłynęły jak złocisty potok na kolorowe poduszki.

— Rekin mógł cię zabić, Denny. Powinieneś jednak wiedzieć, że tylko śmierć może nas połączyć i obdarzyć cię wspaniałym nowym życiem, które daje *gyrane*. Twoje i moje życie znajdują się daleko od siebie w strumieniu czasu. Nawet potęga *gyrane* nie może wydostać cię żywego z tego strumienia. Chcąc to uczynić musiałoby się odwrócić jego bieg. Ów potok czasu ma jednak niewielką władzę nad martwym ciałem. Mogłabym przenieść je do Glarath, aby przywrócić cię życiu.

Podniosła się płynnym ruchem pantery i uklękła na poduszkach. Obiema rękami odrzuciła do tyłu wspaniałą, złotą grzywę. Otworzyła nagie ramiona w zapraszającym geście.

— Denny, czy pójdziesz ze mną dzisiaj? — kusila aksamitnym, przeciągłym głosem. —

Decyzja należy do ciebie.

Drżąc gwałtownie, rozpalony namiętnością, Lanning spojrzał na swoją dłoń. Przesunął

pistolet kierując wylot lufy w stronę swego serca. Palec spoczywał tuż przy spuście. Jeden ruch... to będzie wyglądało na wypadek.

Jej leniwy głos brzmiał jak uwodzicielska muzyka.

— Gyronchi czeka na nas, Denny... świat, którym będziemy rządzili.

Poraziła go doskonałość jej urody: poczuł gwałtowny ból w sercu. Puls walił jak młotem. Palec zacisnął się na zimnej stali spustu. Jednakże jakaś cząstka świadomości nie uległa zaćmieniu i dzięki temu usłyszał w sobie nagle jakiś cichy głos, podobny do głosu Lethonee:

— Pamiętaj, Denny Lanningu! Jesteś strażnikiem światła dla świata, który ma przyjść.

Ostrożnie przesunął drżącymi palcami bezpiecznik i odłożył pistolet na mały stolik, obok siebie. Chrapliwym głosem wyjąkał:

— Spróbuj jeszcze raz, Sorainio!

Zielone oczy zabłyśły groźnie, a czerwone wargi zacisnęły się w grymasie wściekłości.

— Ostrzegałam cię, Denny Lanningu! — Jej głos utracił nagle cały spokój, brzmiał teraz ostro, rwał się. — Jeśli staniesz po stronie widma Jonbaru, zginiesz wraz z Lethonee.

Poznałam twoją siłę! Ale Gyronchi może zwyciężyć bez niej.

Gwałtownym ruchem wyszarpnęła z pochwy swój długi złoty miecz.

— Kiedy się znów spotkamy, pamiętaj, strzeż się!

Tupnęła z furią nogą i zniknęła.

Obie kobiety, Lethonee i Sorainia, stały się dla Lanninga źródłem wielu problemów, z którymi nie umiał dać sobie rady. Nie miał żadnych dowodów na to, że rzeczywiście były one gośćmi z dwóch przeciwstawnych, potencjalnych światów przyszłości, i sprawa ta dręczyła go bezustannie. Był bliski obłędu, rozmyślał nad nią przez wiele nieprzespanych nocy. Pewnego dnia doręczono mu paczkę zawierającą niewielką książkę — kolejne dzieło Wilmota McLana, który był obecnie utytułowanym profesorem astrofizyki na jednym z zachodnioame-rykańskich uniwersytetów. Dedykacja na okładce brzmiała: „dla Denniego od Wila — po-wtórne pozdrowienie w czasie, które uzupełnia poprzednie”. Książka nosiła tytuł *Prawdopodobieństwo i przyczynowość*.

Lanning próbował rozpaczliwie pojąć właściwy sens podkreślonego czerwoną kredką przez samego autora fragmentu rozdziału wstępnego:

„Przyszłość była dotychczas uważana za coś równie realnego jak przeszłość, a jedynym wskaźnikiem kierunku w czasie była nieustanna korelacja entropii i prawdopodobieństwa.

Nowa mechanika kwantowa, obalając absolutną zależność przyczyny i skutku, obaliła jednocześnie to założenie. Przyczynowość w zdarzeniach o małej skali nie istnieje, co prowadzi do tego, że p e w n i k i mikroskopowego świata są w najlepszym wypadku jedynie statystyczną prawdą. W nie poznanej

przyszłości prawdopodobieństwo musi być zastąpione przyczynowo-

ścią. Cząstki elementarne starej fizyki muszą być rozpatrywane w nowym, pięciowymiarowym continuum. Ale wszelkie rozważania dotyczące tego continuum hyper-czasoprzestrzeni muszą brać pod uwagę nieskończoną liczbę sprzecznych wzajemnie możliwych światów, z których tylko jeden, na przecięciu ich geodez z rozwijającego się płaszczyzną teraźniejszości, może zostać uznany za rzeczywistość w sensie fizycznym. Tę nową ideę poddajemy obecnie matematycznej weryfikacji.”

„Sprzeczne wzajemnie... możliwe światy!”

Słowa te nie dawały Lanningowi spokoju. A więc wreszcie znajdował wyjaśnienie. To właśnie Wil, stary przyjaciel, mógłby zostać jego powiernikiem; wydawał się jedynym człowiekiem, który potrafiłby go zrozumieć, odpowiedzieć mu, czy Lethonee i Sorainia są cudownymi gośćmi spoza czasu, czy też wytworem chorego umysłu.

Natychmiast wysłał list do MacLana — opisał całą historię i poprosił o opinię. Po pewnym czasie — z opóźnieniem spowodowanym przez wojskową cenzurę — list powrócił z Ameryki. Na kopercie widniał stempel: „Wyprowadził się nie pozostawiając adresu.” Zwrócił

się do władz uniwersyteckich o pomoc w odnalezieniu przyjaciela i otrzymał odpowiedź, że McLan zrezygnował z pracy na uczelni i podjął badania prywatne, przy czym nic bliższego o jego losach nie wiadomo.

I tak Lanning, pozostawiony samemu sobie, posuwał się po omacku przez korytarze wojen i lat aż do roku 1937. Telegram od Lao Meng Shana zastał go w Lozannie, gdzie kurował się z ran odniesionych na wojnie w Hiszpanii; odłamek niemieckiej kuli, który utkwiał mu w nodze, przypominał o sobie ciągle bólem w kolanie. Lao również pisał książkę.

Meng Shan został filozofem. Próbował analizować rozwój świata, rozwiązać zagadnienie odwiecznego konfliktu między dobrem a złem. Wyjaśnienie tego konfliktu mogło, jego zdaniem, umożliwić stworzenie podstawy nowej cywilizacji technologicznej albo spowodować powrót ludzkiej rasy w mroki barbarzyństwa.

„Denny, mój stary amerykański przyjacielu” — przeczytał Lanning w telegramie —

„ludzkość potrzebuje ciebie tutaj. Czy przylecisz do Chin?”

Bezpośrednie działanie było zawsze jedynym skutecznym środkiem uspokajającym dla udręczonej świadomości Lanninga. Tego dnia znalazł w gazetach wstrząsające relacje o setkach zabitych podczas nalotu kobiet i dzieci. Nie zwracając uwagi na wzrastający ból w kolanie, odłożywszy na później rozważania nad problemem dobra i zła, Lanning poleciał do Kairu i wsiadł na pierwszy z brzegu szybki parowiec płynący na Wschód.

## Rozdział 4

### OKRĘT UMARŁYCH

Dobiegający z nieba szum samolotowych silników zwiastował nadchodzące przeznaczenie. Wycie syren ostrzegało przed *pei chee* — „latającymi maszynami”. Zaciemniony, przerażony Szanghaj rozblęsnął żółtymi eksplozjami i śmierć pojawiła się nad Chapei na północ i wschód od doków Whangpoo, gdzie spadły pierwsze japońskie bomby.

Kulejąc, bo noga, w której stał Kruppa nadal działała bez zarzutu jako barometr, wciąż go bolała, Lanning posuwał się wzdłuż lotniska Lunghwa, na południowej granicy miasta, w kierunku rozklekotanego, niemal zabytkowego samolotu ryczącego na pasie startowym.

Chłód nocy orzeźwił go, ale dopiero płynący z nieba warkot samolotów przyprawił go o dreszcze.

Lao Meng Shan, obecnie członek jego załogi, strzelec pokładowy, stał już przy maszynie i żałośnie potrząsając zegarkiem starał się przekrzyknąć ryczące silniki:

— Nasi dowódcy są zbyt pewni siebie. Mój zegarek stanął, kiedy uderzyła pierwsza bomba. To bardzo zły omen.

Lanning nic miał w zwyczaju kpić sobie z przesądów — piloci nigdy tego nie robią. Na jego szczupłej twarzy pojawił się jednak uśmiech.

— W końcu, Shan — krzyknął w odpowiedzi — pewien starożytny wojownik o imieniu Jozua zatrzymał słońce do czasu, póki nie wygrał swej bitwy. Może to dobry omen. Chodźmy.

Poprawiając swój hełm Chińczyk wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem oznacza to, że nie wrócimy żywi. Jeśli jednak jest nam pisane, że mamy umrzeć dla Chin...

Bez pośpiechu wspiał się do tylnego kokpitu.

Lanning sprawdził urządzenia kontrolne, zasygnalizował swą gotowość obsłudze naziemnej i włączył silnik. Wysłużona maszyna wzbiła się w górę, w kierunku, z którego dobiegał

warkot samolotów wroga. Denny myślał ponuro, że fakt, iż większość obronnej floty powietrznej została poprzedniego dnia zniszczona na ziemi w wyniku japońskiego ataku bombowego, stanowił bardziej znaczący omen niż zepsuty zegarek.

Ciemność opadła na miasto niby zasłona, pod którą znalazły schronienie miliony ukrywających się ludzi. Wojskowe ciężarówki i wozy straży pożarnej z piskiem pędziły po ulicach. Działa przeciwlotnicze dudniły głośno, ale bez skutku, reflektory obrony przeciwlotniczej oświetlały eksplodujące pociski, poszukując daremnie napastników. Nabierając wysoko-

ści Lanning przymrużył szare oczy, aby odnaleźć cienkie pasmo chmur. Zadrzał, gdy w dole rozblęsnął nagle żółty płomień. W wyobraźni ujrzał wspaniałe miasto walące się w gruzy, usłyszał wrzaski, jęki i rozpaczliwe wołania o pomoc. Czuł niemal ostry zapach palonego ludzkiego ciała.

Skupił się i wystrzelił z działek, aby rozgrzać ich lufy.

Znajdowali się na tej samej wysokości co chmura, która rozjaśniła się właśnie raptownie, oświetlona reflektorami obrony przeciwlotniczej. Ciemny bombowiec wyslizgnął się z niej i przesuwał się powoli pomiędzy szarymi obłoczkami wybuchów. Lanning pochylił dziób do nagłego nurkowania. Shan pomachał ręką, aby go podtrzymać na duchu. Zaterkotały dzia-

łka ich samolotu. Bombowiec skręcił w bok, a jego karabiny maszynowe rozjarzyły się czerwienią. Lanning z ponurą zaciętością trzymał go ciągle na celowniku. Czarny dym buchnął

nagle z bombowca i samolot runął w dół.

Jeden...

Kiedy ostrożnie wyprowadzał ostrzeliwaną maszynę w górę, dopadło ich światło przeszukującego reflektora. Czarne, złowieszcze dziury pokryły skrzydła. Szkło posypało się z przyrządów kontrolnych przed Lanningiem. Nagłe odrętwienie sparaliżowało mu ramię.

Zdradziecki snop światła przesunął się dalej. Zapach benzyny uderzył go w nozdrza.

Chorągiewka żółtego ognia przemknęła szybko w kierunku ogona. Odwróciwszy się, Lanning ujrzał za sobą wylaniającego się z chmury drugiego wroga, który strzelał bez przerwy.

Zobaczył ciemne plamy krwi na poblądłej twarzy Shana. Dostali. Shan uśmiechnął się z przymusem i lekko skinął zakrwawioną ręką w jego stronę.

Lanning położył trzeszczący samolot w gwałtownym zwrocie Immelmana i siadł na ogonie atakującego myśliwca.

Nagle poczuł straszliwy ból przeszywający prawą nogę, po czym utracił w niej zupełnie czucie. Trzymał się jednak ciągle tuż za nieprzyjacielem, strzelając nieustannie. Tamten zanurkował. Ciągnąc za sobą wstęgę płonącej benzyny, Lanning przykleił się do jego ogona.

Małe kukielki nieprzyjacielskiej załogi podskoczyły i opadły. A potem ścigany samolot również zaczął się palić.

Dwa...

Podmuch nagłej eksplozji uderzył w głowę Lanninga. Osmalone kawałki metalu rozsypały się wokoło. Gorący olej prysnął mu w twarz. Silnik zatrzymał się i żółty jęzor ognia ponownie przesunął się wzdłuż kabiny.

Lanning skierował samolot w dół, aby strumień powietrza ochłodził maszynę i zdusił

płomień. Obejrzał się na Shana. Zalana krwią twarz małego Chińczyka zastygła w dziwnym uśmiechu, wyglądała jak straszna maska. W zeszywniałej dłoni trzymał coś; swój zegarek.

Zimny dreszcz przeszedł Lanningowi po krzyżu. Nigdy nie śmiał się z przesądów. A teraz ów oczywisty dowód na to, że ludzka intuicja może przeczuć przyszłość, wydał mu się nagle równie szokujący jak zbliżająca się śmierć. Grymas niedowierzania pojawił się na twarzy Shana, chiński przyjaciel próbował mu coś wskazać. Oczy Lanninga powędrowały za jego krwawiącą ręką. Serce w nim zamarło, gdy zobaczył to coś, mającące przed nimi.

Dziwnie wyglądający statek lub też szary, mglisty duch statku. Nie miał skrzydeł ani podwozia i nie był podobny do żadnego znanego Lanningowi modelu samolotu. Ze swym wą-

skim kadłubem przypominał łódź podwodną. Jeśli pominąć dwa masywne, świecące zielono-żółto metalowe kręgi na obu końcach.

Wzdłuż relingu, na otwartym pokładzie, stała w szeregu osobliwa załoga. Na pierwszy rzut oka ludzie ci wyglądali równie widmowo i niesamowicie jak ich statek. Kilku miało na sobie dziwnie zdobione, srebrno-szare i zielone tuniki. Niektórzy natomiast ubrani byli w znane powszechnie mundury wojskowe: francuski pułkownik, austriacki porucznik i wysoki chudy kapitan Królewskich Sił Powietrznych. Nagle Lanning rozwarł szeroko usta ze zdziwienia i poczuł, że zalewa go fala radości.

Zobaczył Barr'ego Hallorana!

Zupełnie nie zmieniony od tego fatalnego kwietniowego dnia sprzed dziesięciu lat, ubrany nawet w te same wypchane sztruksowe spodnie i ten sam sportowy sweter, olbrzymi futbolista górował wzrostem nad innymi członkami załogi. Spozrzegł Lanninga i powitał go radosnym uśmiechem.

Widmowy statek zbliżył się schodząc do wysokości, na jakiej się znajdował płonący samolot, i stał się naraz jakoś bardziej rzeczywisty. Lanning przestał oddychać i ze zdumienia zapomniał o bólu. Dostrzegł dziwnie znajomą postać siwowłosego mężczyzny krzątającego się pod małą kryształową kopułą, która wieńczyła okrągłą metalową wieżyczkę na śródo-kręciu. Z wieżyczki wystawała rurka przypominająca wylot lufy kryształowego karabinu.

Wylał się z niej szeroki, oślepiający żółty promień, ogarnął samolot i porwał go...

Lanning poczuł gwałtowne szarpnięcie. Samolot i jego ciało opierały się strumieniowi tej tajemniczej siły. Potworny ból zmiażdżył go nagle w swych okrutnych szponach. W następnej chwili coś się przełamało, statek stał się nagle całkowicie rzeczywisty, tak jak płonący obok samolot.

Ból objął go znowu swym uściskiem, jego palce zsunęły się bezwładnie z drążka sterowniczego. Kasłał i dusił się, tonąc w morzu dławiącej ciemności. Cierpienie potęgowało się gwałtownie. Nagle coś pociągnęło go ponad barierką na pokład dziwnego statku, uwalniając z piekła płonącej kabiny.

Statek nie był już widmem, ale wciąż jeszcze wydawał się jakimś niewiarygodnym zjawiskiem. Czyjeś szybkie, delikatne ręce ułożyły go na noszach. Lanning wpatrywał się w wielkiego, rudowłosego Barry'ego Hallorana, który za sprawą tajemniczych cudownych mocy nie zmienił się ani trochę w ciągu owych dziesięciu lat.

— Tak jest stary, to ja — zahuczał dobrze znajomy głos. — Nie przejmuj się. Dzięki tym facetom będziesz czuł się wkrótce znowu jak młody bóg, a może i lepiej, już oni potrafią tego dokonać. Wtedy pogadamy. Myślę, że będziesz miał mi sporo do opowiedzenia.

Upiorny statek, z załogą złożoną z umarłych. Lanning nie był przesądny, nie był także człowiekiem wierzącym w potoczny znaczeniu tego słowa. Wierzył natomiast w szczególne przeznaczenie człowieka. Był przekonany, że choć śmierć unicestwi jego, Denny'ego Lanninga, ludzkość pozostanie wieczna. Ten styksowy statek ze swoją załogą stanowił więc zaprzeczenie jego wyobrażeń, ale zarazem prezentował się niezwykle interesująco.

— Barry! — szepnął. — Cieszę się, że cię widzę.

Cień przesłonił mu oczy. Gorąca, lepka strużka krwi płynęła wzdłuż jego ramienia.

Tępy ból promieniował z poranionej nogi. Jak przez mgłę zobaczył, że ludzie w zielonych i srebrnych tunikach podnieśli nosze. Stracił przytomność.

## **Rozdział 5**

# LUDZKI WRAK

Kiedy odzyskał świadomość, doznał wrażenia, że zawsze przebywał w tym małym pokoju o zielonych ścianach. Jego dawne, bezcelowe, pozbawione korzeni, niespokojne życie wydawało mu się teraz czymś podobnym do snu, bardzo odległym, poza rzeczywistością.

Takie było w nim wszystko, z wyjątkiem wizyt Lethonee i Sorainii.

Przypomnił sobie, jak przez mgłę, salę operacyjną: oślepiające światła, pochylających się nad nim ludzi w białych maskach, błysk i brzęk narzędzi chirurgicznych, Barry'ego Hallorana stojącego obok z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, który miał dodać otuchy przyjacielowi; pierwszy haust jakiegoś nieznanego anestetyku.

Po chwili dostrzegł Shana, który leżał na łóżku naprzeciwko, śpiąc spokojnie. Rozpoznał również dwóch innych pacjentów leżących na tej samej sali: Silvana Cresto, Hiszpana zestrzelonego w wojnie marokańskiej i Willy'ego Randa, amerykańskiego pilota, który zaginął podczas katastrofy lotniskowca „Akron”. Ten ostatni, oparty o poduszki, zaciągał się wła-

śnie papierosem. Uśmiechnął się do Lanninga.

— Zapalisz?

— Dzięki. — Mimo bólu w obandażowanym ramieniu, Lanning zręcznie złapał rzuconego skręta. — Co tu się właściwie dzieje? — zapytał.

Willie Rand wypuścił z ust kłęb dymu.

— Nie mam pojęcia — powiedział.

— Co to za... statek? Dokąd jedziemy?

— Nazywa się „Chronion”. — Rand uformował z dymu zgrabne kółko. — Dowodzi nim Wil McLan. Mówią, że zeglujemy do miejsca, które nazywa się Jonbar — gdziekolwiek by to miało być.

Lanning zamarł ze zdumienia. Wil McLan! Jego stary kumpel, badacz czasu. I Jonbar!

Miasto, które pokazała mu Lethonee, daleko w mglistej przyszłości.

— Ale dlaczego? — wybuchnął. — Nie rozumiem!

— Ja też nie, chłopie. Pamiętam jedynie olbrzymi wrak „Akronu” sunący na mnie i swoją rozpaczliwą próbę skoku do wody. Pamiętam też, że coś mnie rąbnęło i obudziłem się w tym łóżku. Było to chyba z tydzień temu...

— Tydzień! — Lanning spojrzał nań zdumiony. — Ale Akron... przecież to było w 1933!



Rand odpalił nowego papierosa od poprzedniego.

— Czas nie ma tutaj żadnego znaczenia. Facet, który leżał przed tobą na tym łóżku, był

Austriakiem, nazywał się Erich von Arneth. Przybył z frontu Isonzo, z 1915. Ten, który leżał

na łóżku Chińczyka, był Francuzem, nazywał się Jean Querard. Został zestrzelony w 1940, walcząc w obronie Paryża.

— W 1940! — wyszeptał miękko Lanning. — A więc jutro było już rzeczywiste?

Lethonee i Sorainia!

Żwawy mężczyzna w szaro-zielonym uniformie wkroczył naraz szybko do sali, delikatnie wyciągnął im z ust papierosy i na ich miejsce włożył dziwnie wyglądające termometry.

Lanning wyjął termometr i powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Gdzie jest Barry? Chcę widzieć Barry'ego Hallorana. I Wila McLana!

— Nie teraz, proszę pana — rytmiczny akcent był dziwnie znajomy, tak właśnie mówi-

ła Lethonee! — Pora na pański ostatni dziś zastrzyk dożylny. Będzie pan mógł wstać zaraz po przebudzeniu. Teraz proszę leżeć spokojnie i podać mi ramię.

Włożył z powrotem termometr w usta Lanninga. Jakiś mężczyzna wtoczył stół na kół-

kach z narzędziami chirurgicznymi. Zgrabne dłonie obnażyły i przemyły ramię Lanninga.

Poczuł ukłucie igły. Zasnął.

Kiedy się w końcu obudził, czuł się w pełni sprawny i zdrowy. Bandaże zniknęły. Jego ramię i potrzaskana noga były znowu całe i nie sprawiały mu żadnego bólu. Nie czuł już nawet niemieckiego odłamka w kolanie.

W łóżku naprzeciwko nie leżał już Shan, zajmował je teraz wielki mężczyzna, cały w bandażach, i mierzył go ponurym, ciężkim spojrzeniem typowego Słowianina. Weszła cicho pielęgniarka, rzuciła garść małych, błyszczących igieł na bandaże Rosjanina i położyła obok łóżka Lanninga jego stary mundur wyczyszczony i wyreperowany.

— To jest Borys Barynin — przedstawiła nowego pacjenta. — Sowiecki pilot raketowy. Znaleźliśmy go w pobliżu pola bitwy stoczonej w 1947. Pogruhotanego, wygłodzonego, zamrożonego. W sam raz dla nas. Może pan już iść. Kapitan McLan czeka na pana.

Lanning, podekscytowany cudownym odzyskaniem zdrowia, włożył mundur i szybko wspiął się na górny pokład „Chroniona”. Miał on ponad dwieście metrów długości i ciągnął

się pomiędzy wypolerowanymi powierzchniami wielkich metalowych kręgów gładką płaszczyzną poprzerywaną jedynie wieżyczkami na śródkręciu. Poniżej pokładu słychać było pomrukiwanie jakiegoś mechanizmu.

Statek ten musiał być w ruchu. Ale dokąd zmierzał?

Lanning próbował dostrzec w otaczającej przestrzeni jakiś ślad słońca lub coś, co mogłoby posłużyć za punkt odniesienia, widział jednak tylko dziwnie połyskującą niebieską mgłę. Zszedł na dół chcąc wypatrzeć coś poza barierką. Nadal nie dostrzegał niczego.

„Chronion” wydawał się zawieszony w bezkształtnej, niebieskiej otchłani.

Dziwne migotanie lazurowej mgły sprawiało niepokojące wrażenie. Przez chwilę wydawało się Lanningowi, że widzi zarysy dalekich gór, błyski fal, kształty drzew lub budynków

— jakieś dziwaczne obrazy nałożone jeden na drugi. Pomyślał, że przypomina to ekran, na który ktoś rzuca kadry tysięcy razy za szybko, tak że zlewają się w tańczącą plamę.

— Denny, chłopie!

Wydawszy radosny okrzyk Barry Halloran rzucił się w jego kierunku. Uściskali się serdecznie. Jak dobrze było poczuć znowu uścisk jego potężnych ramion, zobaczyć uśmiech na tej zuchwałej, piegowatej twarzy.

— Jesteś w świetnej formie, Barry. Zupełnie się nie postarzałeś!

W niebieskich oczach przyjaciela Lanning dostrzegł naraz skrywany lęk.

— Śmieszna sprawa, Denny. Dziesięć dni temu przywieziono mnie tutaj z połamanymi nogami, z rozbitego wraku leżącego na dnie Charles River. Wygląda jednak na to, że ty przeżyłeś dziesięć lat więcej!

— Co nas tu czeka, Barry? — zapytał Lanning ochryłym z emocji głosem. — O co tu w ogóle chodzi?

Olbrzym zmierzwił ręką niesforny kosmyk swych rudych włosów.

— Pojęcia nie mam, Denny. Wil obiecał nam, że sobie powalczymy w obronie takiego jednego miejsca, które nazywa się Jonbar. Ale zupełnie nie wiem, co to jest, z kim będziemy walczyć i co to wszystko ma znaczyć.

— No to trzeba się dowiedzieć — powiedział Lanning. — Gdzie jest Wil McLan?

— Na mostku. Pokażę ci drogę.

Spotkali czterech mężczyzn w szaro-zielonych strojach, którzy właśnie wchodzili na pokład niosąc

dwie pary zwiniętych noszy. Za nimi szło kilku wojskowych, każdy w innym mundurze. Lao Meng Shan na widok Lanninga uśmiechnął się z zadowoleniem i przedstawił

mu swoich towarzyszy: Hiszpana Cresto, Willie'ego Randa, chudego brytyjskiego pilota Courtney-Pharra, Ericha von Arnetha, dużego mężczyznę o twardej, mocnej twarzy, wytwo-rnego, małego Jeana Querarda i Emila Schorna, herkulesowej budowy Prusaka, który, dwukrotnie ranny, zabrany został z płonącego zeppelinu w 1917.

— Dokąd idziemy? — Cresto uniósł lekko ramiona, błyskając białymi zębami. —

*Quien sabe?* W każdym razie, *amigos*, lepsze to niż piekło! *Verdad?* — zaśmiał się.

— Jesteśmy żołnierzami — mruknął Emil Schorn, ponuro się uśmiechając — idziemy walczyć. Nie muszę wiedzieć nic więcej.

— Niezła banda, co? — Barry Halloran poprowadził Lanninga ku małym metalowym drzwiom w wieżycze. Wewnątrz, obok czegoś wypukłego, co wyglądało jak działo ze szklaną lufą, stał, przestępując z nogi na nogę, jakiś mężczyzna w szaro-zielonym uniformie.

— Znajdziecie Wila na górze.

Lanning wspiął się po metalowych stopniach i nagle zobaczył dziwnego, niedużego człowieka, który stał za błyszczącym kołem pod kryształową kopułą. Człowiek ów wyglądał

jak przerażający ludzki wrak i Lanning wstrzymał oddech, czując gwałtownie wzbierającą falę współczucia, bo na jego twarzy dostrzegł zastygły wyraz niewypowiedzianej męki.

Mężczyzna bawił się nerwowo dziwną, małą, srebrzystą tuleją, zawieszoną na łańcuszku na jego szyi. Żółte dłonie z bezbarwnymi paznokciami drżały nieustannie. Całe jego chude ciało było groteskowo powykrzywiane, straszliwie zdeformowane, jakby każdą kość po kolei łamano mu na kole tortur.

Najbardziej przeraziła jednak Lanninga wymizerowana, zszarzała, poprzecinana białą siatką blizn twarz Wila — pod zmierzwioną siwą czupryną wyglądała jak sztywna maska uosabiająca cierpienie. Ciemne, głęboko osadzone oczy były dwiema mrocznymi studniami bólu i nienawiści.

Nieoczekiwanie te straszliwe oczy rozjaśniły się nagłym blaskiem.

— Denny! — rozległ się podniecony, lecz prawie bezgłośny szept.

Mały mężczyzna pokuśtykał szybko na powitanie Lanninga, wyciągając ku niemu cienką, powykręcaną i pokrytą bliznami rękę. Oddech miał szybki, świszczący i przerywany.

Lanninga ogarnęło nagle przerażenie, którego nie potrafił opanować. Uścisnął suchą, szponia-stą dłoń i próbował się uśmiechnąć.

— Wil? — zaszeptał. — Czy to ty, Wilu McLan?

W ostatniej chwili powstrzymał się przed zadaniem następnego, straszego pytania: Co się z tobą stało, Wilu?

— Tak, Denny, to ja — usłyszał ledwo słyszalną odpowiedź. — Ale żyłem czterdzieści lat dłużej niż ty, a dziesięć z nich spędziłem w podziemnych katowniach Sorainii.

Lanning drgnął na dźwięk tego imienia, stary człowiek natomiast wymawiając je zeszywniał nagle, a w jego zapadniętych oczach zabłysła ponownie bezgraniczna nienawiść. To ona chyba musi podtrzymywać życie w tym zmaltretowanym ciele, pomyślał Lanning.

— Jestem stary, Denny — suchy zgrzyt wydobył się ze zdeformowanych ust. —

Miałem pięćdziesiąt trzy lata, kiedy „Chronion” wpłynął w strumień czasu. Było to w 1960.

Spędziłem dziesięć lat w Gyronchi — jego pełna blizn twarz zbielała, a szept stał się jeszcze cichszy — a wydaje mi się, jakby to było dziesięć wieków.

— Ostatnie cztery lata spędziłem w Jonbarze, przygotowywałem naszą wyprawę. —

Jego udręczone ciało sprężyło się w przyływie rozpaczliwej energii. — Stary! — zasyczał

znowu — ale nie za stary, aby sobie poradzić z Gyronchi!

Promyk nadziei rozbłysnął nagle w duszy Lanninga.

— Jonbar? — wyszeptał. — Czy widziałeś tam dziewczynę o imieniu Lethonee? —

Wpił się zachłannym spojrzeniem w poranioną i pobrużdżoną śladami tortur twarz przyjaciela. Poczul miazdzący ucisk w gardle, napięcie wywołane nagle wzbudzoną nadzieją sprawiało mu przejmujący ból. Czy to było możliwe?... Czy „otchłań straszniejsza niż śmierć” naprawdę mogłaby być teraz przekroczona?

Mężczyzna wyglądający jak wrak skinął powoli głową. Płomień nienawiści w jego oczach przygasł trochę, a ponura twarz rozjaśniła się lekkim uśmiechem.

— Tak, Denny — szepnął cicho — rzeczywiście znam Lethonee. To ona właśnie uwolniła mnie z lochów Sorainii. Musimy walczyć o nią i o cały jej świat. W przeciwnym razie zostaną unicestwieni przez Gyronchi.

Lanning wstrzymał oddech. Drżącymi palcami dotknął ramienia Wila McLana.

— Powiedz mi, Wil — błagał — to wszystko jest zagadką. Zwariowaną, okropną zagadką. Gdzie jest Jonbar? Czy kiedykolwiek będę mógł zobaczyć Lethonee? A Sorainia... —

umilkł przerażony. — Co... co ona ci zrobiła?

— Powiem ci, Denny... za chwilę...

McLan utkwiał wzrok w skomplikowanych wskaźnikach na tablicy rozdzielczej. Szybko i z niezwykłą precyzją, która zadziwiła Lanninga, dotykał swymi zdeformowanymi palcami rozmaitych gałek i dźwigni, obracał wypolerowany ster. Szeptem wypowiadał jakieś polecenia do tuby interfonu, spoglądając uważnie przed siebie przez kryształową kopułę. Olbrzymia, zaskakująca siła biła od jego postaci.

— Za chwilę... — powtórzył ochrypłym szeptem. — Jak tylko wykonamy to zadanie.

Przyjrzyj się, jeśli masz ochotę.

Lanning, stojąc za nim, spoglądał z ciekawością przez kryształową ścianę kopuły.

Błękitna, osłaniająca wszystko mgiełka zadrżała naraz gwałtownie. Pochylony nad jedną z obracających się tarcz McLan nacisnął drążek i błękitna zasłona opadła.

„Chronion” sunął nisko ponad szarym, pokrytym falami morzem. Było ponure późne popołudnie i gęsta mgła przesłaniała horyzont. Nagle mały statek zadrżał gwałtownie od huku potężnych dział.

Lanning spojrzał pytająco na Wila McLana. Ten wskazał coś bez słowa swoim kośla-wym ramieniem. Lanning zobaczył długie, szare sylwetki okrętów wojennych, które wynurzały się z mgły, kołysząc się przy każdej oddanej salwie.

McLan stuknął palcem w klawiaturę umieszczoną poza sterem i „Chronion” zwiększył szybkość. Wieżyczka pod nimi obróciła się dookoła i kryształowe działo plunęło ogniem.

Sanitariusze pobiegli szybko w stronę relingu.

Patrząc na migające w bitewnym wirze okręty, Lanning dostrzegł na jednym z nich sztandar amerykański, a potem, na innym, flagę niemiecką. Tracąc dech z wrażenia, zdał

sobie nagle sprawę, że ta chaotyczna scena przypomina niepokojąco wiernie znane mu fakty z historii marynarki wojennej.

— „Defence” i „Warrior” — rzucił. — Atakują „Weisbaden”! Czy to jest Jutlandia?

Wil McLan spojrzał w dół na tarczę wskaźnika.

- Tak, to jest 31 maja 1916 roku. Jesteśmy świadkami zatonięcia „Defence”.

Przedzierając się przez chmury gryzącego dymu „Chronion” podpłynął bliżej do atakujących brytyjskich okrętów. Nagle z mgły wynurzył się niemiecki krążownik i otworzył hura-ganowy ogień, próbując osłonić uszkodzonego „Weisbadena”. Dwie potężne salwy trafiły dumnego „Defence”; zniknął natychmiast za zasłoną płomieni. Krążowniki obu flot walczyły jeszcze ze sobą, ziejąc ogniem i siejąc śmierć dokoła, gdy Wil McLan skierował „Chroniona” w dół, w miejsce gdzie zniknął „Defence”. Rozrzucone resztki wraku zaśmieciły morze, kręcąc się w olbrzymim wirze, który wchłonał w głąb okręt flagowy.

Długa spirala rozzarzyła się wewnątrz kryształowego działa i szeroka wiązka żółtych promieni pobiegła w kierunku słupa dymu wznoszącego się nad falami. Barry Halloran zrzucił sweter i trzymając w ręku linę wyskoczył za burtę. Wkrótce, otoczony żółtymi promieniami, powrócił na pokład, ciągnąc za sobą rannego rozbitka. Uratowanego marynarza, ociekającego krwią i słoną wodą, położono na noszach i przeniesiono pod pokład.

Courtney-Pharr pochylił się właśnie, by zanurkować, gdy stalowy dziób uszkodzonego

„Warspite” wynurzył się nagle z otaczającej go chmury dymu. Przestraszony Anglik zawahał się. Lanning wstrzymał oddech. A więc wytropiono ich!

W tym momencie Wil McLan nacisnął klawisz i pokręcił błyszczącym kołem sterowym. Metalowe kręgi na obu końcach „Chroniona” zajaśniały zielonym blaskiem. Obie floty rozplynęły się w niebieskim, migoczącym mroku. Człowiek-wrak westchnął z wyraźną ulgą i otarł drobne krople potu z pokrytego bliznami czoła.

— Widzisz, Denny — wyszeptał — jeszcze jeden, który będzie walczył za Jonbar.

— Czy teraz — spytał Lanning z trudem wymawiając słowa — możesz mi wreszcie wszystko wyjaśnić?

## Rozdział 6

### OKNO W GŁĄB CZASU

Wil McLan, pochylony nad tablicą rozdzielczą, odgarnął z czoła siwą czuprynę, a potem przesunął wykrzywionymi palcami po białych bliznach, które znaczyły mu twarz.

— Wybacz to brzmienie mego głosu, Denny — powiedział chrapliwym szeptem. —

Pewnego razu gdy uwięziony w lochu prawie umierałem z pragnienia i błagałem o cokolwiek do picia, Sorainia wlała mi do gardła roztopiony metal. Nawet lekarze Lethonee nie mogli wyleczyć moich strun głosowych. Sorainia zapłaci mi za to!

Stary człowiek wyprostował swoje zdeformowane ciało, a w jego oczach znów pojawiła się nienawiść. Choć z trudem, zapanował jednak nad sobą, rozwarł pięści, uśmiech przebiegł

po jego stężałej twarzy. Po chwili zaczął mówić zduszonym, głosem:

— Czas zawsze stanowił dla mnie wyzwanie. Kiedy żyliśmy w prostym continuum czterech wymiarów, w którym czas był tym czwartym, zapanowanie nad nim wydawało się czymś zupełnie prostym, sądziliśmy, że rozwiążemy problem, stosując klasyczne prawa dynamiki newtonowskiej.

Potem pojawiła się teoria kwantowa Maxa Plancka, mechanika falowa de Broglie'a i Schroedingera, mechanika macierzowa Heisenberga. Każde nowe odkrycie zdawało się coraz bardziej komplikować strukturę Wszechświata... i problem czasu.

Wraz z zastąpieniem fal prawdopodobieństwa cząstkami elementarnymi kontury przedmiotów przestały być już tak proste i określone, jak były niegdyś. Geodezy mają zdolność nieskończonego rozdzielania się na wiele gałęzi, zgodnie z wewnątrzatomowym indeterminizmem.

Oczywiście, generalnie biorąc, wyniki statystyczne nowej fizyki nie różnią się zbyt wiele od tych, jakie się osiąga wychodząc od klasycznych, newtonowskich praw. Jest jednak pewna podstawowa różnica. Rzeczywistość Wszechświata jest ciągle ta sama, ale teraz wiemy, że opiera się ona na ruchomych piaskach możliwych zmian.

Wszelka pewność została obalona. Przypuśćmy, że człowiek stoi na określonym podło-

żu. Nie ma już żadnej gwarancji, że za chwilę nie znajdzie się pod nim, jest bowiem podtrzymywany jedynie przez ciągłe oddziaływanie sił atomowych, a tymi rządzi wyłącznie prawdopodobieństwo.

To tylko prawie doskonałe statystyczne prawdopodobieństwo nie dopuszcza do tego, by człowiek zamarzył na skutek całkowitego wypromieniowania ciepła lub spłonął na skutek jego pochłaniania albo poleciał w przestrzeń wbrew prawu grawitacji czy też rozpadł się w pył

cząsteczek.

Pozostało nam właściwie jedynie prawdopodobieństwo. Skonstruowałem narzędzie do analizowania prawdopodobieństwa — wykrywacz geodezyjny — był to mój pierwszy ważny wynalazek. Jest to przyrząd oparty głównie na zasadach matematyki, stanowiący w zasadzie udoskonalenie analizatora drgań harmoniczych. Wytyczając możliwe trajektorie cząstek materialnych poprzez czas, przyrząd ten otworzył przed nami możliwość zajrzenia w przyszłość.

Chrapliwy szept urwał się i stary Wil McLan pokuśtykał w stronę kopuły. Trzęsącymi się dłońmi zdjął czarne aksamitne przykrycie z kryształowego bloku w kształcie prostopadło-

ścianu, umocowanego na szczycie metalowej szafki.

— To jest chronoskop — powiedział. — Rodzaj okna w głąb czasu. Wytwarza specjalne pole, które ugina promieniowanie w kierunku osi czasu. W ten sposób na krystalicznym ekranie otrzymujemy stereoskopowy obraz. Jest on efektem selekcji dochodzącego od dołu promieniowania fluorescencyjnego w zakresie częstotliwości dudnienia.

Stary człowiek przekręcił wyłącznik, zaczął manipulować tarczami umieszczonymi na ścianie kryształowego bloku i ten rozjarzył się naraz zamgloną zielenią. W chwilę potem zieleń rozjaśniła się. Nagły okrzyk wyrwał się z ust Lanninga. Wewnątrz kryształu ujrzał —

wyraźnie, jakby pod mikroskopem — nowy świat w miniaturze.

Szeroka srebrna rzeka przecinała urodzajną zieloną równinę upstrzoną chatami wsi. Za rzeką wznosiły się dwa wzgórza. Na szczycie jednego z nich Lanning dostrzegł ogromną twierdzę. Jej potężne mury błyszczały podobnie jak dziwny szkarłatny metal, z którego zrobiona była koleczuga Sorainii. Nad groźnymi wieżami powiewały żółto-purpurowo-czarne flagi. Szeroka brama otwarła się naraz u stóp pagórka i wylał się przez nią oddział uzbrojonych żołnierzy.

— Przyjrzyj się im — zachrypiał McLan.

Lanning pochylił się niżej nad kryształowym blokiem.

Wydało mu się nagle, że spogląda przez okno na prawdziwy świat. Ujrzał znowu żołnierzy i stłumiony okrzyk wyrwał mu się z piersi.

— Ależ to nie są ludzie! — zachłysnął się zdumiony. — To są owady!

— Pół mrówki, pół ludzie — wyszeptał stary człowiek. — Biologowie Sorainii dokonali jakichś diabolicznych eksperymentów. Te potwory są żołnierzami, stworzonymi po to, by terroryzować jej niewolników. A to jest jej zamek, w którym byłem więziony. Spójrz teraz na drugie wzgórze.

Na sąsiednim szczycie Lanning zobaczył czarną jak heban świątynię. Budynek był ogromny, ale niski i szeroki, a przed nim biegła, zdająca się nie mieć końca, kolumnada złożona z grubych kwadratowych słupów. Z jego środka wypływał strumień ciemności, gęstej i nieprzeniknionej czerni, która wznosiła się ku niebu niby wściekły wir niewyobrażalnego tornada.

— Świątynia *gyrane* — wychrypiał Wil McLan. — Tu rządzi Glarath. — Znow pokręcił tarczami. — Patrz uważnie!

Rząd ubogich chat podpłynął bliżej. Maszerująca kolumna gigantycznych antropoidalnych mrówek szybko otaczała wioskę, goniąc przed sobą spędzonych z pobliskich pól jej mieszkańców — białych ludzi o tępych twarzach, obszarpanych i wychudzonych.

— Działo się to w czasie, kiedy gniłem w lochach więzienia — zachrypiał stary człowiek. — Jedynym przestępstwem tych ludzi było to, że nie zapłacili podatków Sorainii i dziesięciny dla *gyrane*. A nie zapłacili, bo nie mieli w ogóle ziarna, gdyż Sorainia i jej świta, polując dla sportu, stratowali i zniszczyli pola.

Sześcionożni wojownicy uzbrojeni w ciężkie, złote siekiery i krótkie grube strzelby ze szkarłatnego metalu, wyposażeni przy tym w przerażającą naturalną broń — potężne, ostre szczęki, utworzyli monstrialny krąg wokół wioski. Opancerzony pojazd wytoczył się z bramy czerwonej twierdzy i ruszył z hałasem wzdłuż linii uformowanej przez potwornych żołdaków.

Z pojazdu wytrysnął snop gorących białych promieni i kilka nędznych chat stanęło w płomieniach. Wiatr roznosił ogień na wszystkie strony. Jakaś, z całą pewnością ludzka postać w ciemnej, szkarłatnej zbroi zeskoczyła z czołgu i przyłączyła się do olbrzymich czarnych antropoidalnych mrówek. Cienki, żółty miecz tańczył w szalonym tempie, rażąc śmiertelnie męż-

czyn, kobiety i dzieci uciekające spod płomieni. Gdy wreszcie rzeź dobiegła końca, ów ktoś odziany w szkarłatną zbroję zrzucił hełm i podrzucił do góry swój czerwony od krwi miecz w geście triumfu.



Strumień żółtych włosów opadł na lśniąca zbroję. Lanning wstrzymał oddech, czując nagły ból w sercu.

— Mój Boże, to jest Sorainia!

— Sorainia — szepnął Wil McLan. — Piękna królowa Gyronchi.

Nacisnął przełącznik i Sorainia wraz z jej czarnymi żołnierzami zniknęła w głębi przezroczystego kryształowego bloku. McLan spojrział na Lanninga. W jego zapadniętych oczach malowała się straszliwa nienawiść. Wykrzywionymi palcami dotknął pieszczotliwie srebrnej tulejki, zawieszanej na szyi.

- Tak się złożyło — ciągnął chrapliwym głosem — że Gyronchi było pierwszym ze wszystkich możliwych światów przyszłości, który ujawnił chronoskop. Któregoś dnia ujrza-

łem Sorainię; ubrana w swą wspaniałą zbroję doskonaliła się w sztuce szermierki walcząc z jedną ze swoich mrówek.

Jak widzisz, jest ona niezwykle atrakcyjną kobietą. Początkowo zasięg instrumentu ograniczał się tylko do czasów jej młodości i sceny tak barbarzyńskie, jak te, które widziałeś, zdarzały się znacznie rzadziej. Pamiętaj, Denny, że kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem w 1945, byłem o trzydzieści lat młodszy. Byłem oczarowany jej wspaniałą urodą i olśniony potęgą jej imperium.

Zapominając o wszystkich innych możliwych światach powracałem wciąż do niej przez miesiące... i lata. Nie wiedziałem wtedy jeszcze o zabójczej potędze promieni maszyny czasu.

Schylił swą siwą głowę i zamilkł na chwilę.

— Jednakże żaden proces nie może określić stanu elektronu bez zmiany tego stanu.

Kwanty moich przeszukujących promieni były absorbowane i odbijane przez atomy. Rezultatem był wzrost prawdopodobieństwa czynnika Gyronchi. — I to właśnie stało się źródłem całej tragedii.

Na pełnej blizn twarzy pojawił się grymas bólu.

— To moja wina. Nim zdążyłem zdać sobie z tego sprawę, w wyniku absorpcji obniży-

ło się prawdopodobieństwo wszystkich innych możliwych światów i Gyronchi stał się jedynym osiągalnym dla mego instrumentu. Byłem tak dalece zaślepiiony, że nie dostrzegałem zła, które czyniłem. Boję się jednak, że nie możesz zrozumieć mojego urzeczenia Sorainią.

Chrapliwym szeptem, niby echo, Lanning odparł:

— Bardzo dobrze rozumiem.

Oczy McLana rozgorzały znowu. Bawił się srebrną tulejką na szyi.

— Obserwowałem ją za pomocą chronoskopu — ciągnął ponurym tonem. — Była tak odległa w czasie, a prawdopodobieństwo dotarcia do niej tak znikome... Myśl o tym doprowadzała mnie często do rozpacz, a niekiedy znów pobudzała do desperackich wysiłków. Postanowiłem, że pokonam czas i połączę się z nią w Gyronchi.

W 1952 roku, po siedmiu latach szalonej pracy uzyskałem wreszcie możliwość porozumiewania się z nią. Dzięki zwielokrotnieniu siły i zwiększeniu ostrości promieniowania czasowego potrafiłem przetransmitować swój mówiący, bezcielesny wizerunek do twierdzy Sorainii.

Pokryta bliznami twarz McLana stężała z bólu, szczęki zacisnęły się kurczowo, oddychał z wysiłkiem. Upłynęło co najmniej pół minuty, zanim odezwał się znowu.

— I tak dotarłem do Sorainii. Z początku sprawiała wrażenie zdziwionej i zaniepokojonej, ale po kilku moich „bezcielesnych” wizytach zaczęła odnosić się do mnie zupełnie inaczej, być może za radą Glaratha.

Splecione kurczowo palce jego dłoni zatrzeszczały.

— Uśmiechała się — mówił chrapliwym głosem stary człowiek. — Witaała mnie rado-

śnie i za każdym razem prosiła, bym powrócił jak najprędzej. Zaczęła się również dopytywać o moje odkrycie, sugerując, że być może kapłani Gyrańcy, którzy są — jak zapewniała —

zdolnymi naukowcami, potrafiliby uporać się z nie rozwiązanyimi przeze mnie problemami.

Obiecywała, że jeśli przybędę do Gyronchi, będę dzielił z nią tron.

Lanning zagryzł nagle wargi. Przypomniiał sobie „wizyty” Sorainii, poczuł się oszukany i ośmieszony.

— Na szczęście nie miałem zaufania do kapłanów — ciągnął McLan — i to powstrzymało mnie przed zdradzeniem jej zbyt wielu tajemnic. Ale pod wpływem zachęt Sorainii podwoiłem moje wysiłki. Przenoszenie jakiegokolwiek ciała w czasie napotyka ogromny opór. Geodezy są bowiem zakotwiczone zarówno w przyszłości, jak i w przeszłości. Usunię-

cie żyjącej osoby, które może wypaczyć całą przyszłość, jest rzeczą niemożliwą. Nawet przeniesienie bezwładnej materii wymaga ogromnej siły. Nic prócz energii atomowej, jak wkrótce zrozumiałem, nie mogłoby nigdy pokonać tego oporu. Postanowiłem zatem rozpocząć, za pomocą dalekosiężnych promieni chronoskopu, studiowanie atomowej fizyki przyszłości. I tu natrafiłem na dziwną trudność. Instrument, który może określać wyłącznie prawdopodobień-

stwa, z niezrozumiałych przyczyn zamazywał czasami pewne fragmenty pisanych lub drukowanych tekstów. Przeszukująca wiązka docierała zarówno do Los Alamos, jak i na Kreml.

Studiowałem prace wielu przyszłych naukowców: Johna Barra, Ivora Gyrosa i wielu innych.

Jednakże najistotniejsze słowa zawsze się rozmazywały. Istnieje prawo kolejności i postępu, które w końcu odkryłem, działające raczej wzdłuż piątego wymiaru niż wzdłuż osi czasu i narzucające

nieprzekraczalne ograniczenia. To właśnie ów postęp tworzy rzeczywistość z mo-

żliwości. I to właśnie owo wyższe prawo zapobiega wszystkim banalnym absurdom, jakie się spotyka w starych spekulacjach o podróżach w czasie; przykładem może być historyjka o poszukiwaczu przygód, który powraca, aby zginąć. Znana logika przyczyny i skutku nie zostaje obalona, lecz po prostu przeniesiona do wyższego wymiaru.

Dysponując przeszukującą wiązką byłem w stanie przebić się przez kurtynę tajemnicy wojskowej. Studiowałem bomby wodorowe i uranowe i stwierdziłem, że są dla mnie bezużyteczne. Pierwsze toporne atomowe silniki cieplne, napędzane energią powstającą z materia-

łów rozszczepialnych, nie były dużo lepsze.

Musiałem rozpocząć własne badania prawdopodobieństwa atomowego, by się dowiedzieć, jak wywoływać i kontrolować połączenie jąder pospolitego wodoru w cięższe cząstki.

Pierwszy wodorowy konwerter zbudowałem w 1958 roku. Miał on moc ośmiu tysięcy koni mechanicznych i mieścił się w dłoni.

Przerwał na chwilę, aby Lanning mógł usłyszeć miękki wibrujący szmer dochodzący spod pokładu. Wyraz triumfu pojawił się na jego znużonej, wychudzonej twarzy.

— Moc trzystu Niagar! — wyszeptał. — Z łyżeczki wody. Energia dostatecznie wielka, by zburzyć ścianę czasu! Udało mi się znaleźć klucz do zagadki tak długo spędzającej mi sen z powiek; absorpcja promieni czasu jest skutkiem oporu pola, przeciw któremu reaguje nasz napęd. Przez dwa lata pracowałem jak szalony budując „Chroniona”. Zaprojektowany tylko do podróży w czasie, a nie jako jednostka bojowa, został ukończony w 1960 roku.

Natychmiast wyruszyłem z mojego samotnego laboratorium w Colorado Rockies do Gyronchi. — W chrapliwym szepcie zabrzmiał ton goryczy. — Byłem głupcem. Bo miałem nadzieję połączyć się z Sorainią i dzielić jej diamentowy tron.

Spazm bólu wykrzywił jego bladą, udręczoną twarz.

## **Rozdział 7**

### **DOWÓDCA LEGIONU**

Ochryply szepł ucichł na chwilę. Wil McLan pokuśtykał szybko dookoła kopuły, by odczytać dane ze wskaźników. Powykrzywianymi, pełnymi blizn dłońmi zręcznie ustawiał

przrządy i poruszał lśniącym kołem sterowym. Słyszając miękkie, miarowe mruczenie konwertera docierające spod pokładu, Lanning zorientował się, że „Chronion” znowu sunie poprzez niebieską migoczącą otchłań. Poprzez czas?

— Wyruszyłem sam — Wil McLan odwrócił się do Lanninga i utkwiał w nim gorejący wzrok — ponieważ „Chronion” nawet ze swoimi milionami koni mechanicznych nie mógł

zebrać członków załogi z ich różnych miejsc w czasie, tak aby wszyscy pozostali żywi.

Nawet będąc sam miałem trudności, ale pomogło mi pewne zdarzenie. Zapaliła się przeciążona zwojnica pola, w laboratorium wybuchł pożar, a ja ciężko się poraniłem. Ten wypadek tak osłabił moje przyszłe geodezy, że mogłem zostać wessany w ciąg czasu. W tym samym momencie, gdy płonący budynek zapadł się, ja, uwolniony, znalazłem się z „Chronionem” w strumieniu czasu.

Ciemnymi oczyma wpatrywał się w migoczącą otchłań poza kryształową kopułą.

— Widziałeś w chronoskopie, jak wygląda Gyronchi. — Stary człowiek zadrzał. —

Wystarczy, żebyś choć raz spojrział na moje ciało, a będziesz już wiedział, jakie przyjęcie zgotowała mi Sorainia, gdy w końcu dotarłem do jej czerwonego zamczyska.

Szczupła blada twarz stężała w grymasie nienawiści. Z zapadniętych oczu spłynęły nagle dwie wielkie łzy. Znowu, jakby bezwiednie, McLan dotknął swymi bezbarwnymi kości-stymi palcami srebrzystej tulejki. I mówił dalej:

— Wybacz, że rozczuliłem się nad sobą, Denny. Oszczędzę ci obrzydliwych szczegó-

łów zdradzieckiego postępowania Sorainii. Gdy tylko zszedłem ze statku, natychmiast pochwyciły mnie jej potwory. Drwiła ze mnie, że śmiałem pożądać królowej Gyronchi, ale obiecała darować mi życie, jeżeli zdradzę jej tajemnicę statku podróżującego w czasie.

Ponieważ nie chciałem nic powiedzieć, wtrąciła mnie do lochu i przekazała „Chroniona” kapłanom *gyrane*. — Szept przeszedł w gwałtowny, suchy szloch. — Przez dziesięć lat byłem trzymany w kazamatach i poddawany torturom — Sorainia próbowała w ten sposób wydobyć ze mnie potrzebne jej informacje — a tymczasem kapłani badali statek.

Szloch ucichł. McLan przymknął oczy. Jego udręczona, straszna twarz, pokryta gęstą siecią odrażających białych blizn, upodobniła się do maski symbolizującej śmierć. Drżał na całym ciele, oddychał gwałtownie i z wysiłkiem. W końcu wyszeptał:

— To Lethonee mnie uwolniła, myślę, że ją znasz.

Dreszcz przebiegł Lanningowi po plecach — poczuł lęk i jednocześnie podniecenie.

Próbował coś powiedzieć, lecz z jego ust wydobyły się jedynie jakieś nieartykułowane drżące dźwięki.

— Przyszła do mnie, do więziennego lochu, cudownie czysta i piękna — powiedział

Wil McLan. — Trzymała w dłoniach kryształ czasu; jest to rodzaj wykrywacza geodez, coś w rodzaju mojego chronoskopu.

Swoimi eksperymentami nieświadomie wyrządziłem wielkie szkody Jonbarowi, ale Lethonee wybaczyła mi wszystko. Obmyśliła plan mojej ucieczki. Znalazła najlepszy moment

— gdy dokonywano zmiany warty — zrobiła odciski wszystkich zamków i dostarczyła mi je, abym mógł dorobić klucze z kości poprzedniego lokatora mojej celi.

Kiedy nadeszła wybrana noc, wyprowadziła mnie z podziemi przez pomieszczenia, w których spali żołnierze Sorainii; królowa kazała ich upiec żywcem, kiedy odkryła, że uciekłem. Lethonee znalazła również bezpieczną drogę w dół, po skale, i przez Gyronchi do czarnej świątyni.

Glarath i jego kapłani ukryli tam „Chroniona”. Rozmontowali go i badali napęd statku.

Prawdopodobnie nie rozgryźli jednak problemu do końca, bo sami nie odważyli się na żadną podróż w czasie. To jednak, czego się dowiedzieli, połączone z mocą *gyrane*, umożliwiło im zbudowanie złotej muszli...

Lanning wstrzymał oddech.

— Widziałem ją! — wykrzyknął. — Podróżowała nią Sorainia.

— To był jedynie jej obraz — powiedział Wil McLan.

— Lethonee zaprowadziła mnie do świątyni — kontynuował swą opowieść. — Nagle wszczęto alarm. Kapłani chwycili za broń. Nie miałem chwili do stracenia, wskoczyłem na pokład „Chroniona”, uruchomiłem konwertery i uciekłem w strumień czasu. Wróciłem do początków dwudziestego wieku. I wtedy, prowadzony przez Lethonee po słabej geodezie jej prawdopodobnego świata, przybyłem do Jonbaru.

— Jonbar — Lanning przerwał mu znowu i wskazał kryształowy blok chronoskopu. —

Czy możemy zobaczyć tutaj Jonbar? I... Lethonee?

Wil McLan potrząsnął ponuro siwą głową.

— Możemy spróbować — szepnął. — Współczynnik prawdopodobieństwa Jonbaru stał

się tak mały, że mogę osiągnąć jego obraz tylko wtedy, gdy nadam wiązce przeszukującej największą siłę, a i wówczas jakość tego obrazu jest bardzo marna. Bo Jonbar znajduje się na krawędzi możliwej przyszłości.

Dotknął znowu palcami tulejki wiszącej na szyi.

— Ale wciąż istnieje pewna szansa. — Jego zapadnięte oczy rozbłysły nagłym ogniem.

— Jonbar nie poddał się. Ojciec Lethonee, archeolog, prowadząc poszukiwania w Colorado Rockies, gdzie znajdowało się moje laboratorium, znalazł zwęglone książki i zardzewiałe mechanizmy, dzięki którym udało mu się poznać tajemnicę czasu.

Skonstruował kryształ czasu. Za jego pomocą Lethonee odkryła wkrótce zagrożenie spowodowane moimi niemądrymi igraszkami z prawdopodobieństwem. Przywiodła mnie do Jonbaru, bym pomógł

go obronić. Dlatego właśnie zebrałem was — ciebie i twoich ludzi, Denny.

Lanning spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem — zamruczał. — Co my możemy zrobić?

— Istnieją dwa prawdopodobne światy, oba są w posiadaniu tajemnicy czasu i oba walczą o przeżycie. — W oczach starego człowieka znowu zabłysnął ogień. — Może istnieć albo Jonbar, albo Gyronchi, Lethonee lub Sorainia. Nie jednocześnie. Wojna trwa. Rezultat będzie ustalony w piątym wymiarze.

— Potrafisz przecież zaglądać w przyszłość — wtrącił Lanning. — Czy nie możesz mi powiedzieć, jaki będzie ten rezultat?

— Chronoskop nie ujawnia nic pewnego — powiedział McLan. — Ukazuje tylko prawdopodobieństwa, które mogą się zmieniać nawet w momencie ich ujawniania. Wiem jednak, że szala prawdopodobieństwa przechyliła się zdecydowanie na stronę Sorainii.

Lanning, zrozpaczony, chwycił go gwałtownie za ramię.

— Ale jednak możemy pomóc? — spytał z nadzieją w głosie. — Jaka jest nasza rola?

- Żadna geodeza nie łączy Jonbaru z Gyronchi — wyjaśnił McLan. — Dlatego właśnie nie mogą one istnieć wspólnie w rzeczywistości. Są przeciwieństwem. Każde z nich może badać ciągi prawdopodobieństw tego drugiego. Ale nie może mieć miejsca żaden fizyczny kontakt pomiędzy nimi, ponieważ istnienie jednego jest zaprzeczeniem istnienia drugiego.

Dlatego też ich siły nigdy nie mogą się zewrzeć ze sobą bezpośrednio.

Nasz współczesny świat natomiast jest połączony bezpośrednimi geodezami z każdą z możliwych przyszłości, istnieje więc wspólnie, zarówno z Lethonee, jak i z Sorainią. Dlatego właśnie pojawiłeś się na scenie ty, Denny.

— Tak? — Lanning pochylił się gwałtownie naprzód. — One obie mówiły o przeznaczeniu. Czy możesz mi wyjaśnić, co miały na myśli?

McLan spojrział na niego przeciągle swymi niebieskimi oczami.

— Tobie przypadła najważniejsza rola, Denny — westchnął. — Los wyznaczył cię na wodza Jonbaru. Tylko ty możesz odnieść zwycięstwo, które go uratuje. Jeśli przegrasz, Jonbar zginie.

— I dlatego one przybyły do mnie?

— Sorainia szukała sposobu, żeby spowodować twoją śmierć. — Stary człowiek pokiwał głową. — Chciała zaciągnąć cię do Gyronchi, gdzie twoja pomoc mogła zapewnić jej zwycięstwo. A Lethonee wzięła na siebie opiekę nad tobą aż do momentu, kiedy będziemy mogli zabrać cię na pokład „Chroniona”.

— Śmierć... — Lanning wyszeptał jak echo. — A więc jesteśmy... martwi?

— Wróciłem, żeby odnaleźć ciebie i gromadkę tobie współczesnych, abyście służyli Jonbarowi. Ponieważ jest rzeczą niemożliwą wyrwanie zdrowego, żyjącego człowieka z jego miejsca w czasie, gdyż mogłoby to zburzyć całe continuum, musieliśmy czekać aż do chwili, kiedy każdy z was umrze, aby wciągnąć wszystkich na pokład poprzez pole czasu. Jonbar wyznaczył zespół chirurgów, którzy ożywili was natychmiast dzięki wykorzystaniu *dynatu*.

— *Dynat*? — przerwał mu Lanning. — Słyszałem jak Lethonee, a także lekarze używali tego słowa. — Co ono oznacza?

— Jest to wytworzona metodami naukowymi witalna siła, która stanowi podstawę całej cywilizacji Jonbaru — odpowiedział McLan. — Powolna ewolucyjna adaptacja, umożliwiają-

ca wykorzystywanie jej bezgranicznej mocy, da życie *dynonom*, doskonałej rasie, która może zaistnieć, jeśli ty zwyciężysz w Jonbarze.

*Dynat* jest równie ważny dla Jonbaru jak *gyrane* dla Gyronchi. Ale nie mamy w tej chwili czasu na tego rodzaju rozważania. Wyjaśniłem ci sytuację, Denny. Co ty na to?

Utkwił ciężkie, badawcze spojrzenie w twarzy Lanninga.

— Czy przyjmiesz rolę wodza Jonbaru, wiedząc, że jest to prawie beznadziejna walka?

Czy staniesz przeciwko Sorainii i odrzucisz wszystko, czym będzie cię chciała przekupić? —

Chrapliwy szept ścichł nagle. — Pamiętaj Denny, że będziesz musiał zabić Sorainię... albo spowodujesz śmierć Lethonee.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Lanninga, dławiący ból ścisnął mu gardło. Ujrzał

przed sobą jasny obraz Lethonee trzymającej w dłoniach cudowny klejnot. Niemal natychmiast przesłonił go inny obraz — dumnej Sorainii, olśniewająco pięknej w jej wspaniałej czerwonej kolczudze. W żadnym wypadku nie chciałby stać się przyczyną śmierci Lethonee.

Czy potrafiłby jednak, nawet gdyby chciał, zgładzić Sorainię? Przełknął głośno ślinę i z westchnieniem skinął głową.

— Dobrze, Wil — powiedział — zgadzam się.

— Dzięki, Denny! — Wil uściśnął mu dłoń. — Mianuję cię dowódcą naszego legionu czasu.

— O nie, Wil — zaprotestował Lanning. — Nie zasłużyłem na to!

— Gyronchi musi zginąć i Sorainia również. — Niedobry błysk pojawił się znów w zapadniętych oczach, a powykrzywiane palce dotknęły srebrnej tulejki. — Ja zrobię, co do mnie należy. Nie potrafię jednak dowodzić. Zbyt długo żyłem wyłącznie w świecie abstrakcji.

Ty natomiast jesteś człowiekiem czynu, Denny, i los wyznaczył ci szczególną, kluczową rolę.

Musisz dowodzić.

— Okay. Zrobię, co będę mógł.

McLan uniósł pokrytą bliznami dłoń i zasalutował Lanningowi.

— Dziękuję Denny. — Myślę, że powinieneś teraz zejść na dół i zrobić odprawę ze swoimi ludźmi. Niech wybierają, chociaż wybór jest niewątpliwie trudny. Albo będą słuchać twych rozkazów, albo wrócą tam, skąd ich zabraliśmy.

— To znaczy... w śmierć?

Wil McLan przytaknął skinieniem głowy.

— Nie ma dla nich żywych innego miejsca w czasie. Jeśli wygramy, ci, co przeżyją, znajdą swoje miejsce, prawdopodobnie w Jonbarze. Jeśli przegramy, czeka nas tylko pono-wna śmierć w lochach Sorainii.

— W Jonbarze... — powtórzył Lanning ochryłym głosem. — Czy ja też się tam znajdę, jeśli wygramy? Przy Lethonee?

— Jeśli wygramy — powiedział stary człowiek. — Teraz, gdy pójdziesz pomówić ze swymi ludźmi, spróbuję znaleźć Jonbar za pomocą chronoskopu.

— Czy mógłbym.. — westchnął Lanning niecierpliwie.

Wyraz dziwnej powagi pojawił się na twarzy McLana.

— Jeśli znajdę Lethonee — obiecał — zawołam cię. Ale to bardzo trudna sprawa odnaleźć Jonbar.

Lanning zszedł z wieżyczki na pokład i polecił Barry'emu Halloranowi, aby zwołał

ludzi. Stanąwszy naprzeciw osobliwie dobranej, niewielkiej grupy, powiedział:

— Chłopcy, właśnie rozmawiałem z kapitanem McLanem. — Dostrzegł błysk zainteresowania na ich twarzach. — Wydobył nas wszystkich ze strumienia czasu, uratował każdego od pewnej śmierci. W zamian za to chce, abyśmy walczyli w obronie przyszłego świata.

Uważam, że jest to walka o słuszną sprawę. Zaproponował mi dowodzenie. Muszę postawić sprawę jasno: albo będziecie wykonywać moje rozkazy, albo musicie wrócić na swoje dawne miejsce w czasie i umrzeć. Przykro mi, że warunki są tak ciężkie...

— Ciężkie? — wykrzyknął Barry Halloran.

— *Nein!* — mruknął Emil Schorn. — Czy jesteśmy tchórzami, co chcą uciekać z Walhalli?



— *Viva!* — krzyknął Cresto. — *Viva el capitan!*

— Dziękuję, chłopcy — uśmiechnął się Lanning. — Jeżeli wygramy, znajdzie się dla nas miejsce w Jonbarze. A teraz, skoro tu już wszyscy jesteście, powtarzajcie za mną: Przysięgam wierność Jonbarowi i obiecuję służyć w Legionie Czasu rzetelnie i z całym oddaniem.

Siedmiu mężczyzn uniósłszy prawe dłonie powtórzyło słowa przysięgi i zaraz potem, za przykładem Willie'ego Randa, wydało gromki okrzyk na cześć „Jonbaru i kapitana Lanninga”.

Nagle Lanning spostrzegł, że dyżurny daje mu jakieś znaki, i natychmiast popędził na mostek.

— Czy... — zaczął bez tchu. — Czy...

Wil McLan potrząsnął rozwichrzoną, siwą czupryną i wskazał na szafkę chronoskopu.

— Próbowałem — wyszeptał ochryple — ale nieprzyjaciel kontratakował. Sorainia odniosła jeszcze jedno zwycięstwo w piątym wymiarze. Jonbar jest o krok bliżej unicestwienia.

Obraz drgał, migotał i w końcu znikł. To jest wszystko, co udaje mi się wydobyć w tej chwili.

Patrząc w kryształowy blok, Lanning powtórnie ujrzał Gyronchi, tym razem jednak wyglądało zupełnie inaczej. Dumna twierdza Sorainii na jednym ze wzgórz zmieniła się w stos skorodowanych ciemnych kawałków metalu. Czarna świątynia *gyrane*, na drugim wzniesieniu, była obecnie tylko olbrzymią górą potrzaskanych kamieni. Niżej, tam gdzie poprzednio widział pola i wsie, teraz rozciągała się «pustoszona równina porośnięta chwastami i dzikimi krzakami, pokryta dziwnymi bliznami białawego błyszczącego popiołu.

— Gyronchi? — spytał zaskoczony Lanning. — Zniszczone?

— Zniszczone — potwierdził Wil McLan. — Przyczyną było jego własne zło. Doszło do wojny między antropoidalnymi wojownikami Sorainii i kapłanami *gyrane*. Na obrazie, który oglądasz, ludzkość uległa zagładzie.

Jego chrapliwy szept stał się teraz ledwo słyszalny.

— Jeśli przegramy, jeśli ludzkość podąży drogą Gyronchi, oto czym to się skończy. —

Z trudem przekręcił przełącznik i ponury obraz zniknął. — W tej chwili wygląda na to, że droga została już wybrana. Żadna inna geodeza nie jest bowiem wystarczająco silna, aby wzdłuż niej mógł podążać instrument.

Lanning splótł dłonie spoglądając pustym wzrokiem w błękitną, zamgloną przestrzeń poza kopułą.

— Co...? — zapytał. — Co się mogło wydarzyć?

— Nie wiem. — Wil McLan potrząsnął głową. — Musimy się dowiedzieć, co zrobiła Sorainia, i spróbować to odmienić... Gdybyśmy mogli wrócić do Jonbaru i nowego laboratorium geodez

Lethonee...

Lanning zacisnął dłoń wokół jego chudego ramienia.

— Czy możemy?

— Boję się — szepnął Wil McLan — że prawdopodobieństwo Jonbaru zostało na tyle podważone, że nigdy doń nie dotrzemy. Ale będziemy próbować!

Zniekształcone starcze ręce spoczęły na sterze „Chroniona”.

## Rozdział 8

### ZNIKNIĘCIE JONBARU

Borys Barynin wyszedł z sali szpitalnej. Za nim podążali dwaj Kanadyjczycy, bracia Enders: Isaac i Israel, szczupli, spokojni bliźniacy, których wyciągnięto z leja po pocisku w Vimy Ridge w roku 1917. Razem z Duffym Clarkiem, brytyjskim żeglarzem z Jutlandii, do-wodzona przez Lanninga grupa liczyła teraz jedenastu mężczyzn. Lanning sformował z nich dwa oddziały, a Emila Schorna mianował swoim zastępcą.

Wil McLan zdążył już zgromadzić broń. Mieli tuzin mauzerów, dwadzieścia cztery pistolety typu Luger, cztery ciężkie karabiny maszynowe, kilka pudeł ręcznych granatów, spory zapas amunicji różnego rodzaju i kalibru — razem sto tysięcy nabojów. Wszystko to — łą-

cznie z prowiantem i sprzętem medycznym — pochodziło z zatopionego statku zaopatrzeniowego.

— Coś ci wyjaśnię — powiedział McLan. — Zlokalizowaliśmy storpedowany statek, kiedy wróciliśmy z Jonbaru, żeby zdobyć broń, wszystkie potrzebne rzeczy, i przetestować nasze sposoby przywracania życia. Bo widzisz, bronią z Jonbaru nie można się posługiwać, jeśli się walczy przeciwko Gyronchi.

Ponieważ ludzie z Jonbaru pomagający McLanowi nie mogliby dostać się do Gyronchi, Lanning zdecydował, że Clark, Barynin i Willi Rand będą stanowili załogę „Chroniona”; sam zaś, w czasie gdy statek posuwał się wzdłuż Jonbaru, poduczył się trochę sztuki jego prowa-dzenia. Konwertor wodoru szumiał nieustannie pod pokładem, ale Wil McLan wyraźnie nie był usatysfakcjonowany szybkością, z jaką pokonywali przestrzeń.

— Świat, którego szukamy, jest teraz kompletnie nieosiągalny — westchnął. — Pełna siła pola posuwa nas naprzód bardzo powoli. Geodezy Jonbaru, już bardzo słabe, w każdej chwili mogą pęknąć i pozostawić nas w... nicości!

Pewnego razu Lanning obudził się w swojej małej kabinie na rufie, mając przed oczami obraz Lethonee, która ukazała mu się we śnie. Szczupła i wysoka, stanęła przed nim trzymając w dłoniach płonący klejnot czasu. Na jej twarzy malowała się rozpacz, a w fiołkowych oczach dostrzegł ból.

— Denny — jej słowa dźwięczały mu ciągle w pamięci. — Przybądź koniecznie do Jonbaru, inaczej

zginieemy.

Lanning natychmiast poszedł na mostek i opowiedział ten sen McLanowi. Stary człowiek potrząsnął ponuro siwą głową.

— Robimy wszystko, co możemy w tej chwili zrobić — powiedział. — Geodezy Jonbaru są jak mikroskopijne druty, które wyciągają się w coraz cieńsze i cieńsze nici na skutek zmniejszania się prawdopodobieństwa. Jeżeli wykrywacz zgubi je lub jeśli one pękną, Jonbar będzie stracony!

Minęły dwa tygodnie — jeśli mówić o fizjologicznym czasie mierzonym uderzeniami serca i rytmem organizmu — i życie biegło swoim torem, niezależnie od ruchu w wymiarze czasu. W końcu „Chronion” wyłonił się cicho z błękitnej migocącej otchłani. Po wielu dniach wyczekiwania Lanning zobaczył wreszcie w dole Jonbar!

Statek żeglował na wysokości czterech kilometrów. Metropolia przyszłości rozciągała się we wszystkie strony aż po horyzont. Strzeliste budynki o zwierciadlanych ścianach ze srebrnego metalu wyglądały dostojniej niż świątynie. Porozrzucane nieregularnie, w znacznej odległości jeden od drugiego, wzdłuż zielonej doliny szerokiej, spokojnej rzeki, wieńczyły wznoszące się ponad nią zalesione wzgórza. Pomiędzy tymi budynkami rozpięły się wielo-poziomowe wiadukty, po których sunęły jakieś dziwne wehikuły, a nad nimi unosiły się w powietrzu inne pojazdy, podobne do wielkich, srebrnych łez.

Lanning widział już raz to miasto w klejnocie czasu Lethonee; teraz zdumiewający ogrom metropolii przejął go smutkiem i przerażeniem. Wiedział, że setki milionów ludzi żyją tutaj wspaniale w zadziwiającym przepychu. Jednakże wszystkim cudom tego świata zagraża-

ło absolutne unicestwienie; myśl o tym przeszła go niby ostrze sztyletu.

Drżąc z niecierpliwości i lęku podbiegł do Wila McLana.

— Czy Jonbar jest bezpieczny? — szepnął bez tchu. — I czy Lethonee też tu jest?

McLan odwrócił się powoli i potrząsnął ponuro siwą głową.

— Chociaż jesteśmy w Jonbarze — odpowiedział niemal bezgłośnie — nasze instrumenty wskazują, że jego geodezy znikły. Wszystko wisi na nitce cieńszej niż pajęczka. Lethonee jest na pewno w swoim laboratorium.

„Chronion” szybko zbliżał się do jednej z wysokich wież na wzgórzu. W srebrzystej ścianie otwarła się szeroka brama. Wpłynęli do środka jakiegoś olbrzymiego pomieszczenia przypominającego hangar, wypełnionego różnymi statkami. Zielone światło wskazywało im drogę na pustą platformę.

— To jest właśnie świat, o który walczymy — powiedział Lanning swoim żołnierzom.

— Ach! — zadudnił Emil Schorn. — Co za wspaniały świat!

Lanning i McLan opuścili statek, przekazawszy dowodzenie olbrzymiemu Prusakowi i uprzedziwszy

go, że w razie potrzeby powinien być gotów do natychmiastowej akcji. Winda poruszająca się w ogromnej kolumnie zawiozła ich na górę. Znaleźli się na otwartej przestrzeni wśród świeżej zieleni tarasowego ogrodu. W jasnej ścianie przed nimi otworzyły się rozsuwane drzwi i ukazała się w nich Lethonee.

Zamiast długiej, białej szaty, w której Lanning zawsze ją widywał, miała na sobie obcisłą miękką suknię, połyskującą metalicznym błękitem; niebieska opaska podtrzymywała jej włosy. Znikła gdzieś cała jej ponura powaga, była teraz po prostu śliczną, uradowaną jego przybyciem dziewczyną, która starała się — jak odgadł Lanning — za wszelką cenę ukryć trawiącą ją rozpacz. Szybko przebiegła przez wypełniony światłem ogród i ścisnęła zachłannym gestem obie jego ręce. Lanning poczuł gwałtowny dreszcz radości, bo ciepły dotyk jej dłoni był tak realny.

— Denny Lanningu — szepnęła — nareszcie jesteś. Tak się cieszę...

Jej oczy spoczęły na pomarszczonej twarzy Wiła McLana.

— Gyronchi przeprowadziło nowy atak — powiedziała. — *Dynoni* próbowali przynieść ostrzeżenie z przyszłości, ale zostali odcięci. Teraz kryształ czasu nie pokazuje już w ogóle przyszłości wykraczającej poza dzisiejszą noc. To jest ostatnia noc Jonbaru. Chyba że...

Utkwiła pełen nadziei wzrok w twarzy Lanninga.

— Chyba że fala prawdopodobieństwa zostanie zmieniona.

— Idę do laboratorium. — Wil McLan odwrócił się w stronę rozsuwanych drzwi. —

Przyślę po ciebie, Denny — szepnął — jeśli cokolwiek odkryjemy. Ale nie możemy nic uczynić, dopóki nie dowiemy się, co zrobiła Sorainia.

Oddalił się kuśtykając i Lanning pozostał sam na sam z Lethonee.

— Czy to możliwe, żebyś nie była prawdziwa? — Lanning wpatrywał się w dziewczynę chłonąc spojrzeniem jej spokojną urodę. — Czy istnieje jakaś różnica pomiędzy rzeczywistością i twoim obrazem, który widzę teraz przed sobą?

Zawahala się na moment.

— Wzdłuż piątego wymiaru dokonuje się przepływ między prawdopodobieństwem i pewnością — tłumaczyła. — Jest wiele bytów prawdopodobnych, ale tylko jedna rzeczywistość. Jest też wiele możliwych, sprzecznych ze sobą przyszłości, przeszłość jest jednak prosta i skończona. Geodezy rozgałęziają się w każdym punkcie niepewności, ale realizacja musi zawsze wybrać tylko jedno odgałęzienie i zatrzeć resztę. Wszystkie geodezy starają się pochłaniać energię; wszystkie możliwe światy dążą do realności. Energia prawdopodobieństwa musi być zawsze wycofana ze wszystkich innych światów, które mogłyby zaistnieć, jest bowiem konieczna do wykreowania tego jedyne, który powstanie. Cała reszta musi zniknąć, kiedy prawdopodobieństwo jej powstania spada do zera.

— Czy Jonbar... zanika?

Skinęła głową.

— Jonbar i ja wraz z nim. Wykreowała nas atomowa potęga „Chroniona”, ta sama, która przyniosła cię tutaj wzdłuż geodezy. Jesteśmy tylko iluzją możliwości, refleksem skaza-nym na zagładę.

Nagle potrząsnęła swoją śliczną głową i zmusiła się do uśmiechu.

— Czy iluzja może jednak mówić o iluzjach? — Jej głos brzmiał niemal wesoło. — Nie jesteś głodny, Denny? Zbierz trochę kwiatów na stół. Jedzmy... nawet gdyby to było tylko złudzenie.

Własnoręcznie nakryła mały stolik naprzeciwko balustrady tarasu. Pod nimi, daleko w dole, zieleniły się wspaniałe parki. Srebrzyste pylony błyszcząły na dalekich wzgórzach.

Dobrotliwe słońce jaśniało na łagodnym, niezwykle czystym lazurowym niebie — takiego nieba Lanning nigdy nie widział ponad żadnym miastem. Orzeźwiający wiatr powiał w dziwnie łagodnej ciszy.

— Nic złego nie stanie się ani tobie, ani Jonbarowi! — szepnął nagle Lanning. —

Doskonałość nie może przecież zginąć!

— Może, niestety. — Jej głos drżał. — Może, jeśli cała struktura czasoprzestrzeni jest zdruzgotana przez wojnę.

Lanning ujął ją za rękę.

— Lethonee — powiedział z przejęciem. — Przez dziesięć lat, od chwili kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem, żyłem nadzieją, że znów cię odnajdę. Jeśli teraz coś zabrałoby mi ciebie...

— Pamiętaj, Denny. — Drżąc przysunęła się bliżej. — To jest ostatnia noc Jonbaru.

Kryształ czasu pokazuje, że nie ma już jutra.

Zapadał zmierzch, lazurowe niebo przybrało barwę fiołkoworóżową, a potem stało się ciemnopurpurowe. Odległe wieże Jonbaru płonęły niby słupy ognia. Cienie wypełniły taras.

Jakiś obsypany kwieciem krzak napełniał powietrze odurzająco słodką wonią. Gdzieś z dołu docierały spokojne, ciche tony muzyki. Będąc tak blisko Lethonee, Lanning próbował, ale bez powodzenia, zapomnieć o ponurym cieniu zagrażającej im zagłady. Nagle dziewczyna za-drżała z przerażenia, a jej dłoń zeszywniała w jego dłoni.

— Witaj, Królowo Nicości! — rozległ się nabrzmiały szyderstwem głos.

Lanning obejrzał się, wzburzony, i zobaczył znaną mu już złotą muszlę. Stała w niej dumnie wyprostowana Sorainia, w swej szkarłatnej kolczudze. Obok niej spostrzegł wysokiego mężczyznę o mizernej twarzy, ciemnych ponurych oczach i okrutnych grubych wargach, spowitego od stóp do głów w ponurą i sztywną czarną szatę. To musi być Glarath, odgadł

Lanning, najwyższy kapłan *gyrane*. Jego zapadnięte ciemne oczy płonęły wrogością, ale w zielonych oczach Sorainii malowała się ciągle ironia, połączona z rozbawieniem.

— Skosztuj jej pocałunków, póki możesz, Denny Lanningu — drwiła. — To my znale-

źliśmy czynnik o rozstrzygającym znaczeniu. Poradziliśmy sobie bez ciebie, Glarath z *gyrane* zajął miejsce, które ci kiedyś ofiarowywałam. To my wygraliśmy walkę.

Pokryta gęstym włosiem dłoń kapłana władczo zacisnęła się na jej nagim ramieniu.

Wyburczał jakieś niezrozumiałe słowo i utkwiał w Lanningu spojrzenie pełne nienawiści.

Sorainia błyskawicznym ruchem wydobyła swój złoty miecz i błyszczącym ostrzem zatoczyła łuk ponad ciemnym miastem. Oparła się na ramieniu kapłana.

— Do zobaczenia, Denny Lanningu — zawołała. — I przyjmij to ostrzeżenie! Cały Jonbar, a również ten duch w twoich ramionach, rozwieją się jak mgła na wietrze. Przybyliśmy tu, aby obejrzyć koniec.

Dotknęła miecza ustami i skierowała go ku Lanningowi, jakby przesyłała mu pocałunek, jawnie drwiąc z niego. Nacisnęła stopą pedał, muszla uleciała w górę i znikła w mroku nocy.

Lethonee, z pobladłą twarzą, wstrząśnięta do głębi, zerwała się z miejsca.

— Chodźmy do laboratorium! — w jej głosie zabrzmiało przerażenie. — Chociaż się boję... boję się, że wszystko stracone.

Lanning ruszył za nią w kierunku rozsuwanych drzwi. Ujrzał za nimi ogromne wysokie pomieszczenie, a w nim, przy niezliczonych stołach, setki mężczyzn i kobiet zajętych pracą przy jakichś urządzeniach wyglądających na przyrządy matematyczne.

W następnym skrzydle ujrzał grupę osób, wpatrujących się w kryształy podobne do klejnotu czasu Lethonee. Nim oboje dotarli do drzwi, Lanning zobaczył Wila McLana kuśtykającego pospiesznie w ich stronę.

— Wracaj, Denny! — wołał stary człowiek. — Wracaj na pokład. Jonbar... znika!

Lanning pochwycił Lethonee i wskoczył do windy. McLan rzucił się za nimi. Dźwig zjechał do hangaru. Lanning nie wypuszczał dziewczyny z ramion.

— Kochanie... — szepnął — jedziesz z nami!

— Nie, Denny — potrząsnęła głową — jestem częścią Jonbaru.

Przywarła do niego rozpaczliwie. Pocałował ją w usta.

Winda zatrzymała się. Lanning chwycił Lethonee za rękę i oboje zaczęli biec w kierunku „Chroniona”.

Tłum kolorowo ubranych ludzi, rzucających kwiaty na pokład, wciąż jeszcze otaczał

statek — Jean Querard, odziany w elegancki strój, stał przy barierce przemawiając do zgromadzonych.

Dziwne blade światło zaczęło naraz przezierać przez tłum ludzi, statki przypominające kształtem łąy i wysokie ściany — jak gdyby wszystko rozpuszczało się powoli w świetlistej mgle. Tylko „Chronion” trwał nie zmieniony, wciąż rzeczywisty. Lanning przyspieszył kroku.

— Spieszmy się! — załkał niemal. — Kochanie...

Ale palców Lethonee nie było już w jego dłoni. Zatrzymał się i zobaczył ją tuż za sobą, ale mglistą jak duch. Jej cień dawał mu gorączkowe znaki, ponaglał go. Spróbował uchwycić ją w ramiona, ale wymknęła się z jego objęć. Znikła.

McLan przemknął obok niego. Lanning potknął się, z trudem odzyskał równowagę i walcząc z narastającym bólem pobiegł dalej. Ale jaki to ma sens, myślał gorzko, gdy nie ma już Lethonee?

Wszystko wokół było teraz pogrążone w niebieskiej, migoczącej nieprzerwanie mgle.

Lanning zobaczył jeszcze Wila McLana wdrapującego się na drabinę, po czym nagle podłoga zaczęła usuwać mu się spod stóp. Zaparło mu dech w piersiach, próbował rozpaczliwie uchwycić się czegoś i upadł. Widma ostatnich budynków odpłynęły, Jonbar znikł. Poniżej, pod pustym niebem, rozciągała się jedynie bezkresna ciemna płaszczyzna. Lanning opadał w jej kierunku, a zimny wiatr świszcział przeraźliwie wokół niego.

— Do widzenia! — zabrzmiał naraz szyderczy, dźwięczny głos i Lanning zobaczył

mijającą go długą, żółtą muszlę, a w niej Sorainię i Glaratha leżących obok siebie na poduszkach. Nagły powiew wiatru odebrał mu oddech.

Ale wtedy „Chronion” błysnął nagle tuż pod nim. Wiązka żółtych promieni wystrzeliła z kryształowego działa i przyciągnęła go w stronę relingu. Barry Halloran wciągnął Lanninga na pokład.

## Rozdział 9

# GEODEZY DO GYRONCHI

W jednej chwili statek znalazł się z powrotem w beczasowej, błękitnej otchłani i pomknął naprzód przez nieprzerwany ciąg pojawiających się i gasnących możliwości. Lanning szybko odnalazł stojącego pod kryształową kopułą Wila McLana i zapytał martwym głosem:

— Lethonee znikła... czy ona umarła?

— Nie umarła. — McLan zwrócił ku niemu zmęczone, smutne oczy. — Nigdy się bowiem nie narodziła. Jonbar był tylko prawdopodobieństwem przyszłości, wydobyty na chwilę z mroku dzięki mocy promieni czasu. Sorainii udało się zniszczyć geodezy, które mogły prowadzić do jego istnienia — to był właśnie jej ostatni sukces! W tej sytuacji również wizerunek Lethonee musiał zniknąć.

— Sorainia — westchnął Lanning. — Co ona właściwie zrobiła? — Wpił się palcami w ramię McLana. — Czy odkryłeś cokolwiek?

Stary człowiek powoli pokiwał głową.

— W ostatniej chwili, zanim laboratorium zostało starte z powierzchni ziemi...

— Tak? — ponaglił go Lanning.

— Chwileczkę, stary — szepnął McLan. — Wygląda na to, że kapłani *gyrane* badając

„Chroniona” musieli dowiedzieć się więcej, niż przypuszczałem. Złota muszla Sorainii, jak wiesz, jest zaledwie wizerunkiem. Ale teraz Glarath zbudował prawdziwy statek do podróży w czasie.

— Co?

— Jest cięższy niż „Chronion” i odpowiednio wyposażony do walki. Znajduje się na nim zawsze horda antropoidalnych mrówek Sorainii.

— I użyli go przeciwko Jonbarowi?

— Przenieśli się z powrotem do przeszłości — powiedział McLan prawie bezgłośnie.

— Przenieśli się z powrotem do zwrotnego punktu prawdopodobieństwa. Znaleźli tam coś — musiał to być jakiś niewielki przedmiot materialny (choć nie udało nam się go zobaczyć)

— co stanowiło prawdziwy fundament Jonbaru. Wyciągnęli ten przedmiot, cokolwiek to było, z jego miejsca w czasie, używszy potęgi *gyrane*. Niszcząc geodezy, odcięli wszelkie możliwości zaistnienia Jonbaru.

— Co się stało z tym obiektem?



— Ukrywali go, a potem zawieźli z powrotem do Gyronchi. Jest tam teraz przechowywany w fortecy Sorainii i pilnie strzeżony.

— Strzeżony? — powtórzył Lanning. Splótł palce dłoni w nagłym przypiływie nadziei i utkwiał wzrok w twarzy McLana. — A jeśli zdobędziemy tę rzecz i odwieziemy z powrotem na jej dawne miejsce, czy to pomoże Jonbarowi?

Ścisnął gwałtownie chude ramię McLana.

— Czy... czy cokolwiek może przywrócić mi Lethonee?

— Tak. — McLan skinął ledwo dostrzegalnie siwą głową. — Gdybyśmy mogli odzyskać ten obiekt, gdybyśmy mogli się dowiedzieć, gdzie oni go znaleźli w czasie i przestrzeni, jeśli udałoby się przenieść go tam z powrotem, i do momentu, gdy punkt zwrotny przejdzie w piąty wymiar, skutecznie zapobiegać zakusom Sorainii, która zechce odzyskać ów przedmiot

— wtedy zaistnienie Jonbaru byłoby znów możliwe.

Lanning uderzył pięścią we własną dłoń.

— Wobec tego musimy to zrobić! — zawołał.

— Tak — szepnął Wil McLan bardzo cicho. — Musimy to zrobić. — Wyraz powagi pojawił się w jego zmęczonych oczach. — To jest właśnie misja, z myślą o której zebraliśmy nasz legion, Denny, chociaż jej szczegóły nie były dotąd znane.

— Okay — powiedział Lanning. — Chodźmy!

— Teraz odtwarzamy zerwane geodezy Jonbaru — ciągnął McLan — z powrotem w kierunku naszego czasu. Tutaj możemy znaleźć rozgałęzione linie świata Gyronchi, posuwać się według nich do przodu i w ten sposób odszukać ów strzeżony obiekt.

— I zobaczymy, co zrobi wtedy Sorainia!

McLan dotknął ręką ramienia Lanninga.

— Muszę cię ostrzec, Denny. Nie licz zbyt na to, że się nam uda. Mamy bardzo niewielkie szanse. Dwunastu ludzi przeciwko wszystkim mieszkańcom Gyronchi! Jonbar nie może nam już pomóc. Nawet lekarze, których mieliśmy na pokładzie, znikli wraz z całą resztą.

— Pokonamy ich — mruknął Lanning. — Musimy.

W znużonych oczach McLana zapłonął dziwny blask.

— Mija trzydzieści lat od momentu, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Sorainię. —

Stary człowiek mówił jakby do siebie, bezwiednie bawiąc się srebrną tulejką wiszącą na jego szyi.

— Wspaniały płomień, który skusił mnie do przedarcia się przez otchłań czasu. Ja... ja ją kochałem.

Łzy popłynęły mu z oczu. Urywany oddech przeszedł w głuchy szloch.

— Piętnaście lat — westchnął znowu — od dnia kiedy zorientowałem się, jakim jest demonem. — Straszliwa, długo skrywana udręka dała się słyszeć w jego głosie. — Nienawidzę Sorainii! Oszukała mnie, torturowała, uczyniła kaleką na zawsze! Ona... ona... — Wydawało się, że się dusi.

— A jednak... mimo jej całego potwornego zła... czy potrafiłbym ją zabić? Czy istnieje w ogóle mężczyzna, który byłby do tego zdolny?

Lanning zacisnął pięści.

— Widziałem ją — powiedział zduszonym głosem. — Nie wiem. — Zaczął nagle spacerować po pomieszczeniu tam i z powrotem, trawiony wewnętrznym bólem. — Ale musimy to zrobić, aby uratować Jonbar.

— Musimy — powtórzył mężczyzna, którego zniszczyli. — Jeśli tylko nam się uda!

Po siedmiu dniach podróży na tarczach wskaźników pojawił się rok 1921.

— Tutaj — powiedział Wil McLan do Lanninga — ostatnia przerwana geodeza Jonbaru łączy się z rzeczywistością. — Jeżeli kiedykolwiek uda nam się wrócić, by podjąć poszukiwania, właśnie w tym roku będziemy mogli odnaleźć wierzchołek nowego stożka prawdopodobieństwa, który uformował się wtedy, gdy Glarath zabrał nasz obiekt z czasu.

„Chronion” wynurzył się na moment z niebieskiej, połyskującej otchłani i płynął wysoko ponad błękitnym Pacyfikiem, nad błyszczącym zielenią i bielą pierścieniem atolu otaczają-

cym bladą lagunę. W następnej chwili znów znikli, zanurzyli się we mgle różnorodnych możliwości i popłynęli szlakiem geodez Gyronchi.

Atak, który nastąpił w momencie, gdy Lanning i Schorn prowadzili na pokładzie musztrę, zaskoczył ich całkowicie. Wesoły mały Jean Querard wybiegł z szeregu i pierwszy wykrzyknął ostrzeżenie:

— *Grand Dieu!* Statek z piekła!

Odwróciwszy się, Lanning zobaczył olbrzymi czarny cień na migocącym błękitnie. Zniknął, pojawiał się znowu, drżał i nagle stał się w pełni rzeczywisty. Okręt czasu z Gyronchi!

Był trzykrotnie dłuższy od „Chroniona” i doskonale uzbrojony. Na jego końcach Lanning dostrzegł dwie kwadratowe tarcze, które lśniły taką samą zieloną poświatą jak metalowe kręgi na krańcach „Chroniona”. Z boku wychylały się groźnie nastroszone, czarne pyski tłoczącej się na pokładzie hordy półczłowieczych wojowników Sorainii.

Lanningowi wydawało się, że na górnym pokładzie mignęła mu ciemna sylwetka Glaratha. Oślepiający biały strumień wylał się z rury emitera promieni i co najmniej metrowy odcinek relingu

„Chroniona” rozżarzył się nagle, stopił i wyparował.

— Padnij! — rozkazał Lanning. — Ognia! — Potem krzyknął do Schorna: — Przygotuj maximy!

Cóż jednak mogli działać karabinami maszynowymi przeciwko tej okrutnej energii?

Pobiegł do interfonu, który łączył go z McLanem.

— Wil! — wrzasnął. — Co teraz?

Biały promień znów rozblysnął poza nim. Zobaczył, jak Israel Enders znika w obłoku dymu. Rozległ się tylko krótki, przeraźliwy okrzyk, jasny płomień buchnął z niewielkiego stosu palącego się ubrania, zwęglonego ciała i stopionego metalu.

Z krzykiem, który zabrzmiał jak echo krzyku brata, Isaak Enders założył taśmę naboju do swojego maxima i obsypał gradem pocisków potwornych wojowników Sorainii, którzy właśnie podnosili swoją broń do strzału. Ich kule zabębniły po pokładzie „Chroniona”.

McLan odezwał się chrapliwym, zmęczonym szeptem:

— „Chronion” nie jest statkiem bojowym. Nie możemy walczyć z promieniami *gyrane*.

— Więc co możemy zrobić?

— Umkniemy im! — krzyknął McLan. — To jedyna szansa. „Chronion” jest lżejszy.

Zatrzymaj ich, a ja będę próbował...

Austriak von Arneth, oślepiiony krwią spływającą z rany na czole, mocował się ze swoim maximem, który właśnie się zaciął. Lanning podbiegł do niego, parząc sobie dłonie usunął

zacięcie i skierował gwałtowny ogień ku miejscu, z którego wystrzeliły promienie.

Ołów zadudnił o ściany czarnego okrętu, lecz ten z każdą chwilą był coraz bliżej.

Wojownicy Sorainii oddali kolejną salwę i pociski załomotały wokół Lanninga. Biały promień wytrysnął znowu. Jeden z maximów eksplodował z hukiem. Willie Rand potoczył się po pokładzie, próbując zgasić płonący mundur.

Tak nie może dalej być! Wstrząśnięty, Lanning założył następną taśmę do swego maxima. Kilka spośród potworów Sorainii rażonych jego kulami upadło, ale walka wydawała się beznadziejna. Zaczął nadśłuchiwać uważniej. Czy warkot maszyn dobiegający spod pokładu nie był teraz jakby trochę szybszy?

Wielki czarny statek przysunął się jeszcze bliżej. Wymachując złotymi toporami, człekokształtne mrówki tłoczyły się przy barierce. Czyżby przygotowywały się do abordażu?

Lanning obrócił maxima, chcąc skierować ogień w ich stronę. Ale w tym momencie ogromna czarna lufa obniżyła się i zamarła — jej wylot znalazł się dokładnie na wprost niego. Przer-

zony wstrzymał oddech. Za chwilę upiorny biały promień wystrzelił znowu i tym razem on sam zmienił się w popiół.

Ale statek nieprzyjaciela zaczął naraz gwałtownie drżeć, po czym zniknął. Lanning porzucił na chwilę swój gorący karabin maszynowy i podszedł do tuby interfonu.

— Wil? — zawołał.

— Uciekliśmy im, Denny — dobiegł go ledwo słyszalny głos McLana. — Myślę, że możemy utrzymywać się na osi czasu w pewnej odległości przed nimi. Ale oni przybędą do Gyronchi wkrótce po nas i zaalarmują wszystkich. A my straciliśmy już... ilu ludzi?

Lanning odwrócił się i rozejrzał się po pokładzie. Wysoki Kanadyjczyk o smutnej twarzy klęczał w pobliżu dymiących szczątków swego brata, łkając cicho. Barry Halloran opatrywał ranę von Arnetha. Willie Rand, w ciągle jeszcze dymiącym ubraniu, posuwał się wzdłuż pokładu w jakiś dziwny sposób, jakby po omacku, klnąc łagodnie i monotonicznie. Lanning zobaczył jego oczy i przeraził się. Spalone okrutnym promieniem tkwiły martwe, szeroko rozwarte i puste w czerwonej, poparzonej twarzy.

— Israel Enders nie żyje — oznajmił McLanowi ponurym głosem. — Von Arneth jest ranny. Rand ślepy. Jeden maxim zniszczony przez te straszliwe promienie...

— *Gyrane* — westchnął McLan. — Wszystko sprzysięgło się przeciw nam, Denny.

Powinniśmy zatem unikać walki, może nam się to uda. Ale teraz, kiedy oni już są ostrzeżeni...

Nuta rozpaczki zabrzmiała w jego głosie. Umilkł.

Szczałki Israela Endersa, owinięte w prześcieradło, z przypiętą do niego małą kanadyjską flagą i srebrną gwiazdą Jonbaru, oraz jego stopiony karabin zostały złożone w otchłani czasu, gdzie, jak powiedział McLan, biorąc pod uwagę prędkość statku, będą dryfować w nieskończoną przyszłość.

Pokład został wysprzątnięty, zniszczony fragment barierki naprawiono. Broń zreperowano i wyczyszczono. Konwertery atomowe pracowały szybko, obydwa kręgi, przedni i tylny, lśniły zielonym światłem. „Chronion”, sunąc wzdłuż ścieżki prawdopodobieństwa, zbliżał się do Gyronchi.

Erich von Arneth wyszedł ze szpitala z nową blizną biegnącą w poprzek czoła, Willie Rand poprosił o swojego mauzera ze zniszczonym zamkiem i siedział całymi godzinami na pokładzie, kiwając obandażowaną głową i ostrząc błyszczący bagnet.

Na mostku Lanning i Wil McLan wpatrywali się w kryształową bryłę chronoskopu i penetrując Gyronchi za pomocą promieni czasu starali się wybrać najodpowiedniejszy moment na wypad. Nie udało im się jednak przeniknąć przez mury potężnej cytadeli Sorainii i odnaleźć obiektu, którego szukali.

— Oto przykład innego zastosowania *gyrane* — odezwał się chrapliwym głosem Wil McLan. — Pole interferencyjne zawarte między metalowymi ścianami tłumi promieniowanie czasu. — Surowy blask zapłonął na moment w jego oczach. — Znam jednak fortecę Sorainii

— dodał ponuro. — Dzięki Lethonee, która organizowała ucieczkę, poznałem i zapamiętałem każdy jej centymetr.

Zniekształconymi palcami narysował mapę dla Lanninga i Schorna.

— Ogromna, trudna do zdobycia komnata — mówił — gdzie Sorainia trzyma swoje skarby, znajduje się w wieży wschodniej. Można do niej dotrzeć tylko po drabinie, po przej-

ściu przez drzwi znajdujące się w podłodze prywatnego apartamentu Sorainii. A olbrzymia zewnętrzna sala, przez którą trzeba się przedostać, jest stale strzeżona przez setkę żołnierzy.

Musimy ich zaskoczyć nagłym uderzeniem — dodał. — Jedna stracona chwila, jeden nieuważny krok i może być już po nas.

I wreszcie nadszedł ten moment, gdy obrócił lśniący ster i nacisnął dźwignię, aby zatrzymać statek czasu w Gyronchi.

## **Rozdział 10**

# W TWIERDZY SORAINII

Pewnego ponurego, pochmurnego dnia, o zmierzchu, „Chronion” po raz pierwszy dotarł

do świata Sorainii. Lanning ujrzał przed sobą małe poletka, szeroką rzekę połyskującą sre-brem w mroku, ciągnące się wzdłuż niej liche wioski i wciąż czarny jałowy pas, w miejscu, gdzie widział kiedyś płonąca wieś. Nad tym wszystkim górowały bliźniacze wzgórza, których szczyty wieńczyły świątynia *gyrane* i twierdza Sorainii.

Stojąc na pokładzie, Lanning śledził fortecę przez lornetę. Wiedział, dzięki chronosko-powi, że ta ogromna, przerażająca budowla z niezniszczalnego, purpurowego stopu była gnia-zdem i ostoją dynastii Sorainii. Zobaczył dziesiątki odzianych w czarne zbroje wojowników, połyskujących złotem i purpurą swej broni, pełniących straż na murach. Dostrzegł także tuzin sterczących ze ścian, niby lufy dział, czarnych, grubych rur wyrzutni promieni *gyrane*.

— *Gott im Himmel!* — odezwał się stojący obok niego Emil Schorn. — Ta rzecz, której szukamy, znajduje się w tym zamku, *nein?* Wydaje się, że to *verdammt* ciężki orzech do zgry-zienia!

— Zgadza się, niestety — powiedział Lanning. — Jeden fałszywy krok i jesteśmy zgubieni. Nie wolno nam zrobić takiego kroku. — Wręczył Prusakowi lornetę. — Zatrzymaliśmy się w tym miejscu po to, żeby obejrzeć sobie wszystko w dziennym świetle — wytłumaczył

szybko. — Wylądujemy tutaj po północy. Na tym występie skalnym ponad północną przepa-ścią, widzisz?

— *Ja!*

— Sorainia będzie wtedy przebywała u Glaratha w jego świątyni — to zobaczyliśmy w chronoskopie. Miejmy nadzieję, że o tej porze jej strażnicy nie są zbyt czujni. Nasza grupa będzie musiała wspiąć się w górę na balkon, ten, z którego zwisa szkielet.

— *Ach, Gott!* Niezła wspinaczka!

— Małe drzwi na balkonie prowadzą do lochów. Wil McLan ma klucze, które dorobił

niegdyś tutaj, przygotowując swoją ucieczkę. Wejdziemy do twierdzy przez lochy i spróbujemy dostać się do wielkiej sali ponad nimi. Czy wszystko jasne?

— *Ja!* Jasne jak śmierć.

Lanning pomachał ręką stojącemu pod kryształową kopułą Wilowi McLanowi i „Chronion” wślizgnął się znowu w mroczną otchłań czasu. Zespół wyznaczony do akcji zebrał się na przednim pokładzie. Mała, groźna, milcząca grupa — z wyjątkiem Barry'ego Hallorana, który całkiem w studenckim stylu wydawał okrzyki na cześć Jonbaru i próbował skłonić pozostałych, by poszli za jego przykładem. Isaac Enders i von Arneth mieli nieść dwa maximy.

Cresto i Courtney-Pharr pakowali dwudziestokilogramowe trójnogi. Pozostałym przypadło dźwiganie lin do wspinaczki, karabinów, granatów i amunicji.

Borys Barynin, który miał strzec statku, rozstawiał swego maxima na pokładzie. Willie Rand siedział milcząc za nim. Palił papierosa i zaciągając się głęboko dymem, ostrzył bagnet swojego uszkodzonego karabinu.

„Chronion” pogrążył się wreszcie w czerni wilgotnej nocy. Przytłaczająca swym ogromem twierdza Sorainii wyglądała jak cień wśród chmur, kiedy statek spłynął miękko w dół ku ostrej skalnej krawędzi. Zimny deszcz uderzał o pokład, lodowaty wiatr huczał wokół blanków na murach ponad nimi.

Cicho jak cień „Chronion” osiadł między karłowatymi krzewami porastającymi występ skalny. Wil McLan zszedł z mostku i wręczył Lanningowi trzy białe klucze, wyrzeźbione z ludzkich kości.

— Do wejścia na balkonie — szepnął — do drzwi od lochów i do bramy wewnętrznej.

Brakuje klucza do głównej komnaty; musisz sam znaleźć jakiś sposób, żeby się tam dostać.

Zacisnął swą zdeformowaną dłoń na ramieniu Lanninga. — Powiedziałem ci wszystko, co wiem, Denny. Zobaczysz więzienie, w którym spędziłem dziesięć lat. Wszyscy tam zgnijemy, jeśli ci się nie uda. Musisz zwyciężyć!

Obciążony mauzerem, liną i wiązką granatów Lanning opuścił statek i poprowadził swoją grupę w górę, do skały nad przepaścią. Jej omszała powierzchnia była mokra i śliska.

Lanning zdrętwiał od wilgotnego chłodu, wiatr uderzał weń ciągle lodowatymi podmuchami.

W ciemności nie było widać nic oprócz dziwnych, nieokreślonych cieni. Posuwał się powoli, po omacku szukając drogi.

Wilgoć i zimno obezwładniały go, ostre kawałki granitu rozcinały mu palce. Nagle poślizgnął się i w ostatniej chwili rozpaczliwie uczeplił się ostrej skały. Przez moment, który wydawał mu się wiecznością, zwisał na palcach jednej ręki, stanął jednak z powrotem na nogi i ruszył znowu naprzód. W końcu dotarł do małego, ale mocnego dębu, dobrze zakorzenionego w rozpadlinie, którą obserwował uprzednio przez lornetkę. Przywiązał do niego linę, sprawdził jej wytrzymałość i rzucił zwój swym towarzyszom stojącym poniżej.

Ruszył w górę, smagany wiatrem niby lodowatym biczem. Padający dużymi zimnymi kroplami deszcz przemoczył go na wskroś. W pewnej chwili gdzieś ponad jego głową zabłyśło białe światelko i Lanning przeraził się, że mogą zostać odkryci.

Umocował linę do wystającej ostrogi skalnej, rzucił ją do tyłu i wspinał się dalej. Drżąc z napięcia dotarł wreszcie do wąskiej krawędzi, gdzie kamienne urwisko przechodziło w pionową ścianę szkarłatnego metalu. Zaklinował swój bagnet w szparze i umocował następną linę. Bardzo powoli, i ostrożnie zaczął posuwać się wzdłuż krawędzi i nagle z dołu dobiegł go zduszony krzyk.

Zamarł. Przez długą chwilę trwała cisza. Nagle coś trzasnęło miękko, gdzieś głęboko w dole. Wzdrygnąwszy się, czekał. Burza przewalała się ponad blankami murów, wysoko ponad nimi. Nie było słycać żadnego sygnału alarmu. Na czworakach, powoli ruszył znowu do przodu.

— *Ach, Gott!* — Dobiegł go przytłumiony okrzyk. — Ta *verdammt* ciemność może wykończyć nawet nietoperza!

Emil Schorn pojawił się na linie poza nim i idąc jego śladem rozpoczął wędrówkę po krawędzi. Doszli do małego balkonu z zardzewiałego metalu. Wystawało z niego ramię szubienicy; na krótkiej linie, kołysząc się na wietrze, wisiały białe kości, oplecione łańcuchem.

W czasie kiedy Lanning próbował włożyć cienki kościany klucz do metalowych drzwi, dołączyli jeden po drugim pozostali członkowie grupy, drżący z zimna i wyczerpani. Wszyscy, z wyjątkiem Austriaka von Arnetha.

— *Madre del Dios!* — krzyknął hiszpański pilot Cresto.

— On spadał obok mnie, krzycząc. Musiał się rozbić u stóp góry. *Gabron!* I teraz mamy tylko jednego maxima.

Ciężkie metalowe drzwi rozsunęły się nagle szeroko i uderzył ich w nozdrza stęchły odór lochów Sorainii, odór ludzkiego nieszczęścia, odchodów i śmierci, pomieszany z duszącą, kwaśną wonią antropoidalnych mrówek. Zaciskając szczęki i wstrzymując odruch wymiotny Lanning poprowadził swoją drużynę w głąb więzienia.

Z początku wydawało się im, że panuje tu nieprzenikniona ciemność. Kierując się jedynie dotykiem Lanning wiódł ich przez wąskie wyrębane w skałach korytarze, licząc kroki i odgadując po omacku zapamiętane zakręty. Ale po jakimś czasie dzięki fluoryzującej zgniliznie na ścianach i podłogach, zaczął coś niecoś dostrzegać.

Za prętami cel widział upodlone istoty ludzkie, okaleczone, oślepię, półżywe, leżące pomiędzy kośćmi zmarłych, które, ciągle skute łańcuchami, walały się po ziemi świecąc zimnym blaskiem.

Straszna cisza panowała w większości więziennych cel. Z jednej z nich dobiegał jednak jakiś zgiełk, rozbrzmiewały tam piski i odgłosy uderzeń. Kątem oka Lanning zobaczył ogromne obrzydliwe szczury walczące nad nieruchomym ciałem zakutym w łańcuchy.

W następnej celi niewidomy, wychudzony nieszczęśnik ugryzł swoją własną dłoń, aby kilka kropli krwi upadło na podłogę. Przykucnął nadsłuchując czujnie, i po omacku, spętany-mi rękoma chwycił wielkie szczury, zwabione zapachem krwi jak przynętą.

— Macie moje słowo! — wyrzucił z siebie brytyjski lotnik, Courtney-Pharr. — Kiedy spotkamy tę kobietę-diabła, zapłacą za to wszystko. Zapłacą na pewno!



Na zakręcie Lanning zatrzymał się i ostrzegł szeptem:

— Uwaga, chłopcy!

Czterej żołnierze Sorainii nadchodzili korytarzem, szczęk broni towarzyszył ich krokom. Szli wyprostowani, olbrzymi, ciemni, potworni, każdy z nich liczył sobie około dwóch i pół metra wzrostu. Ogromne, złożone z fasetek oczy świeciły w ciemności jak dziwne diabelskie klejnoty. Insekty z monstualnymi żuchwami. Jednocześnie karykaturalnie ludzkie.

— Bagnety — szepnął Lanning. — Bez hałasu.

Jednakże jego własny bagnet pozostał w szczelinie skalnej z owiniętą wokół liną.

Zamachnął się więc karabinem jak maczugą, opuścił go na dół i zmiażdżył czerep najbliższego przeciwnika. Zaskoczony potwory rozpięzchły się i chwyciły swymi dziwnymi kleszczami za broń.

Nie wydawały przy tym żadnego dźwięku, jak gdyby ich twórcy poświęcili umiejętność mówienia dla doskonałości w zabijaniu. Lanning pomyślał jednak, że małe czerwone pudełka przyczepione do ich głów mogły służyć do porozumiewania się. Czarna kończyła gmerała w jednym z nich. Denny zadał kolbą drugi silny cios i zmiażdżył ją.

Obrzydliwe żuchwy uchwyciły kolbę mauzera i przecięły twarde drewno. Zaświszczał

potężny, złoty topór wojenny. Lanning odparował uderzenie lufą swojego złamanego karabinu, ale topór zawadził płazem o jego głowę i przeniósł go w płomienną ciemność.

Leżał na podłodze ogłuszony i bezsilny. Ból rozsadzał mu skronie. Mimo to zachował

jeszcze resztki świadomości. Tuż przed sobą ujrzał straszną stopę zanurzoną w pobłyskującym blado szlamie. Odór kwasu mrówkowego zmieszany z fetorem bijącym z cel uderzył

go gwałtownie w nozdrza. Potwory walczyły w milczeniu, lecz ich twarde ciała, poruszając się, wydawały dziwne trzaski i zgrzyty.

Przewaga zaskoczenia już się skończyła.

— *Vive, Jonbar!* — zawołał Cresto i zręcznym uderzeniem przeszył na wylot najbli-

ższego przeciwnika. Owadzia żywotność była jednak imponująca. Ugodzony śmiertelnym ciosem potwór utrzymał się jeszcze przez chwilę w pozycji stojącej i wielkie żółte ostrze topora uderzyło w czaszkę Hiszpana.

— *Por Dios...*

Niewielkie ciało Cresta pochyliło się automatycznie do przodu w kierunku kolejnego atakującego wojownika i bagnet, który trzymał nadal w dłoniach, wbił się głęboko w krtań wroga. W tej samej niemal chwili Emil Schorn jednym ruchem przebił na wylot ostatniego pozostałego przy życiu

potwora. Barry Halloran skoczył ku niemu i dobił go znakomitym sztychem. Walka była skończona.

Barry pomógł Lanningowi podnieść się z ziemi. Przez długą chwilę Denny stał niepewnie na chwiejących się nogach, z trudem utrzymując równowagę. Courtney-Pharr wyciągnął

srebrną flaszkę brandy, wylał trochę palącego płynu na skroń dowódcy i pozwolił mu pocią-

gnąć spory łyk. Lanningowi powoli rozjaśniło się w głowie. Chwycił karabin Cresta i chwiejąc się pobiegł za Emilem Schornem.

Nagle zobaczył dłoń wyciągniętą w charakterystycznym geście, usłyszał ciche ostrzeżenie i zatrzymał się w ciemności. Przed nim, za potężnymi kratami, jaśniało zielonkawe światło. Podczołgał się za Schornem i zajrzał przez kraty do pomieszczenia dla strażników.

Około tuzina wojowników odpoczywało w izbie i powietrze było aż gęste od ich kwa-skowatego zapachu. Przy niskim stoliku kilku z nich raczyło się jakimś czerwonym płynem, obok dwie pary wdzięczyły się do siebie, podziwiając nawzajem swoje błyszczące ciała. Niektórzy czyścili topory wojenne i grube czerwone karabiny. W ciemnym kącie samotny owad klęczał w skupieniu, jak gdyby modlił się, błagając o zwrot utraconego człowieczeństwa.

— Nie ma szans, żeby załatwić to po cichu — wyszeptał Lanning do Schorna. — Damy sobie jakoś radę!

Cicho, bardzo powoli wsuwał do zamka delikatny, kościany klucz. Za nim Isaac Enders i Courtney-Pharr ustawiali maxima na trójnogu, tak aby lufa wystawała przez pręty krat.

Otwierający się zamek wydał ledwie słyszalny zgrzyt. Lanning kiwnął na Schorna i zaczął

powoli otwierać drzwi. Klęczący samotnie olbrzym musiał usłyszeć jakiś dźwięk, bo oczy mu zabłyśły i nagle podniósł się na nogi, nieludzki jak reszta strażników. Na moment w pomieszczeniu zapadła pełna napięcia cisza.

— Teraz! — krzyknął Lanning. — Na nich!

— *Allons!* — zawtórował Jean Querard. — *Z tobą, mon capitaine!*

Nagle zadudnił maxim wypełniając izbę niebieskim dymem i zasypując ją ołowiem.

Lanning otworzył szeroko drzwi i pobiegł z Schornem, Querardem i Barry Halloranem po przekątnej pomieszczenia, żeby zawładnąć drugim wejściem.

Potwory były obdarzone przez swoich twórców nadludzką żywotnością. Przeszywane nawet wielokrotnie pociskami, nie umierały natychmiast. Gdy maxim zasypał je gradem kul, natychmiast chwyciły za broń i ustawiły się w dwóch grupach przy wejściach. Courtney-Pharr zatrzasnęła więzienną bramę, broniąc zamka swoim bagnetem, żeby ochronić Endersa i jego karabin maszynowy. Potwory stojące na wprost maxima zaczęły wreszcie powoli pochylać się i przewracać.

Jednakże obrona drugich drzwi nie powiodła się równie dobrze. Lanning i jego towarzysze powitali atakujące potwory granatami i ogniem z karabinów. Dwóch spośród siedmiu wojowników granaty rozerwały na strzępy, inni odnieśli ciężkie rany. Cztery z nich wymachując toporami rzucili się naprzeciw ostrzom bagnetów. Jeden z okaleczonych potworów upadł do tyłu. Zdążył załadować karabin i oddać strzał, zanim dosięgła go kolejna seria z maxima. Jean Querard zatoczył się do przodu, krew pociekła mu z piersi. Próbując trzymać się prosto na drżących nogach, ustawił swój karabin tak, że nacierający wojownik nieprzyjacielski nadział się na bagnet. Dał się słyszeć donośny i czysty głos Querarda:

— *Allons!* Jonbar!

I Francuz osunął się na ziemię obok konającego potwora.

Lanning zatrzymał jednego z wrogów trzema szybkimi strzałami w głowę, a potem ostrzem bagnetu rozerwał mu krtań. Schorn zabił następnego. Trzeci jednak sparował kolbę karabinu Hallorana zręcznym ruchem swojego topora i pociągnął Barry'ego w dół swoimi strasznymi szponami.

Zabłyśło ostrze. Lanning załadował raz jeszcze swojego mauzera i wypalił w kierunku potwora. Ten rzucił się do przodu, opadł na wszystkie sześc kończyn i zniknął z pola widzenia.

Barry Halloran w podartej koszuli, brocząc krwią, podniósł się na nogi.

— Wybacz mi, Denny — załkał. — Próbowałem utrzymać się w szeregu!

— Dobra robota, stary — odparł Lanning biegnąc z powrotem, aby otworzyć drzwi Pharrowi i Endersowi.

Właśnie w tym momencie gdzieś przed nimi zabrzmiał potężny dźwięk alarmowego gongu. Jękliwy, zawodzący sygnał ostrzeżenia poniósł się poprzez wszystkie korytarze twierdzy Sorainii.

## **Rozdział 11**

# DIAMENTOWY TRON

Pozostało ich pięciu. Pharr, Enders, Halloran, Schorn i Lanning. Obładowani bronią przedostali się krętymi »chodami na górę i wtargnęli do sali przyjęć Sorainii przez małe, znajdujące się na jej końcu drzwi, zza których dobiegały dźwięki ostrzegawczego gongu.

Sala była ogromna. Olbrzymie czarne czworoboczne kolumny wznosiły się wysoko pośród ścian z czerwonego metalu, a między nimi stały kolosalne posągi koloru żółtego złota, wyobrażające zapewne wojowniczych przodków Sorainii, gdyż wszystkie były zakute w pan-cerze i uzbrojone.

Odbite od wysokiego szkarłatnego sklepienia, zalewające komnatę czerwone światło miało jakiś złowieszczy odcień. Sala była niemal pusta. Daleko na jej przeciwległym końcu stał wysoki, lśniący przepychem, wspaniały diamentowy tron, który kiedyś Sorainia, zamierzając, być może, zdradzić go równie okrutnie jak Wila McLana, ofiarowywała Lanningowi.

Wielki gong — szkarłatny krąg o dwunastometrowej średnicy — zwisał na ciężkim łańcuchu obok tronu. Dwaj potworni wojownicy, którzy wydawali się maleńcy w tej olbrzymiej sali, uderzali z furją w jego jęczący owal. Niewielki oddział — jak ocenił Lanning, około trzydziestu owadów — sunął szybko na spotkanie przeciwnikowi.

— Szybko! — rozkazał. — Dajcie maxima! — Pomagając ustawiać gorący karabin maszynowy, mówił do Schorna: — Musimy się szybko przebić i wracać! Drzwi do prywatnych apartamentów Sorainii znajdują się za tronem. Możemy dostać się do komnaty-skarbca przez drzwi w podłodze, które znajdują się koło jej łoża.

— Diabelskie nasienie! — mruknął Isaac Enders. Jego szczupła twarz zastygła w gorzką maskę, gdy zakładał do maxima nową taśmę z nabojami. — Zapłacę wam za mojego brata!

Karabin maszynowy bluznął ogniem przeredzając tyralierę człekokształtnych mrówek.

Pharr i Barry Halloran strzelali z mauzerów, a Lanning i Schorn obrzucili potwory ręcznymi granatami.

Czarne monstra, zbliżając się, strzelały z podrzutu. Ich potężne, szkarłatne jednostrzałowe karabiny były bronią ciężkiego kalibru, ale o ograniczonym zasięgu. Większość pocisków przelatywała daleko od Lanninga i jego ludzi i uderzała o metalowe ściany. Ale jeden z nich trafił Endersa wierząc dużą czarną dziurę w jego czole.

Kanadyjczyk pochylił się i upadł obok maxima. Jego długie wątłe ramiona rozwarły się szeroko. Wyraz zdziwienia i niedowierzania malował się na zalanej krwią, surowej twarzy.

Zdążył jeszcze wyszeptać cicho:

— Israel!

Po czym osunął się do przodu i upadł przykrywając ciałem maxima.

Courtney-Pharr odciągnął jego zwłoki i przykucnął obok, aby znów uruchomić karabin maszynowy.

Zanim wojownicy Sorainii dotarli do końca sali, minęło sporo czasu, możliwe zresztą, że czas, mierzony tylko kolejnością wydarzeń, płynął bardzo powoli. Lanning miał więc chwilę na to, aby zaczerpnąć głęboko do płuc łyk czystego powietrza. Zastanawiał się, w jaki sposób bez klucza i znajomości szyfru zdołają się włamać do dobrze zabezpieczonego pokoju.

I jak szybko od momentu, w którym wszczęto alarm, Sorainia może wrócić ze świątyni z większą liczbą wojowników, aby odciąć im odwrót.

Kilku nieprzyjaciół podziurawionych ołowiem zachwiało się i upadło. Kilku następnych wybuchające granaty wyrzuciły poszarpanych w powietrze. Większość jednak dotarła do drzwi wywijając szkarłatnymi karabinami i żółtymi wojennymi toporami.

Czwórka mężczyzn czekała na nich przy drzwiach, a maxim wybijał swój śmiertelny rytm. Schorn rzucił swój ostatni granat, gdy czarna nawała była już nie dalej jak piętnaście metrów od nich, po czym wyrwał bagnet z pochwy, aby godnie powitać napastników. Zosta-wiwszy sobie dwa granaty, Lanning opuścił karabin, by bronić dostępu do maxima.

Trzech spośród pędzących w pierwszej linii wojowników potknęło się i upadło. Lecz reszta biegła dalej jak śmiercionośna fala przyływu. Owadzie olbrzymy budzące grozę dalekim podobieństwem do ludzi, z ogromnymi oczami błyszczącymi w krwawym świetle piekielną czerwienią, wymachujące złotymi toporami.

Mauzer Lanninga zająknął się, po czym umilkł — zabrakło naboji. Dennis skoczył do przodu, a jego bagnet otworzył gardziel najbliższego wroga. Złoty topór innego potwora zadzwonił o jego karabin i wytrącił mu broń z ręki. W tym samym momencie otrzymał straszny cios szkarłatną kolbą w ramię. Uderzenie rzuciło go na ścianę.

Lanning poczuł mrowienie w ramieniu. Sięgnął lewą dłonią po przypiętego do pasa lugera. Osunąwszy się na kolana zaczął strzelać, rozrywając ołowiem okryte pancerzami, buchające kwaśnym odorem ciała.

Straszliwe zuchwy pochwyły karabin Emila Schorna i Prusak upadł pod nogi nacierających potworów, które tratowały ciągle jeszcze strzelającego maxima. Olbrzymie czarne szczęki dosięgły jasnej, niczym nie chronionej głowy Courtney-Pharra. Maxim umilkł i w nagłej ciszy słychać było jedynie trzask druzgotanej czaszki.

— Bić ich! — krzyknął wściekle Barry Halloran. — Bić ich!

Z szaleństwem w oczach rudowłosej olbrzym z bagnetem w ręku rzucił się na dwa potwory leżące na milczącym karabinie maszynowym i bezgłowym ciele Brytyjczyka.

Magazynek lugera był znowu pusty. Lanning upuścił pistolet, sięgnął po swój karabin leżący na podłodze, szykując się do walki z drugą falą napastników. Gdyby mógł ich zatrzymać na chwilę i dać Barry'emu szansę na odzyskanie maxima...

Nieme potwory napierały na niego. I oto bezwładne ramię mężczyzny odżyło. Nie wiedząc kiedy, opanował nową technikę zabijania — zamach w górę, który rozdzierał twardą krtani, a następnie głębokie pchnięcie skręcające w prawo, które rozrywało narządy wewnętrzne.

Żółte topory świszczwały mu nad głową. Czarni wojownicy skupili się przy drzwiach tworząc teraz coś w rodzaju żywej barykady. Podłoga była śliska od limfy, toteż, żeby utrzymać równowagę, usiłowały, drapiąc, wczepić się w nią swymi dziwnymi pazurami. Lanning uchylał się przed ciosami i znów uderzał.

Tuż za nim Barry zabił bagnetem kolejnego potwora. W chwilę potem jego bagnet zła-mał się na zbroi następnego. Chwycił swego lugera i wpakował serię pocisków w czarne cia-

ło. Mimo to przeciwnik zdołał jeszcze dosięgnąć go płazem złotego topora, a potem, padając, przygniótł Hallorana własnym ciałem.

Sam przeciwko całej hordzie, Lanning nacierał, zabijał i odpierał ciosy. Powalił które-goś już z kolei potwora, potem jeszcze jednego, potem następnego. Nagle jego stopa poślizgnęła się w szlamie. Wielkie szczęki schwytyły bagnet, ukręciły i odrzuciły.

Lanning próbował walczyć karabinem jak maczugą, ale czarne pazury wyrwały mu go z rąk. Trzy inne potwory wcisnęły go w ziemię. Ugodzony własnym karabinem w głowę, osunął się na podłogę, łkając gorzko.

— Lethonee! Próbowałem...

Zwycięzcy zbiegli się wokół stosu trupów swoich towarzyszy. Ciężkie szpony rozdzierały ciało Dennisa. Próbował podnieść się jeszcze raz i upadł. Jonbar został skazany. On sam miał zaś zapewne trafić wkrótce do lochów Sorainii.

Głośna seria z maxima rozdarła nagle ciszę. Nie mógł uwierzyć własnym uszom, oszo-

łomiony, myślał przez chwilę, że musi to być sen. Jakieś cuchnące ciało przewaliło się przez niego. Odwrócił głowę z wielkim wysiłkiem i zobaczył Emila Schorna.

Olbrzymi Prusak jeszcze przed chwilą leżał bezwładnie na ziemi, powalony ciosami wroga. Jego potężne, nagie ciało pokryte ranami było czerwone od krwi. Teraz jednak, chwiejąc się nieco, znów stał na własnych nogach, a niebieskie oczy płonęły mu bojowym ogniem.

- *Heil* Jonbar! — krzyczał. — *Heil* Walhalla!

Założył nową taśmę do maxima i trzymając karabin w rękach strzelał z niego jak z pistoletu — niesamowity wyczyn nawet jak na takiego olbrzyma, jakim był. Pozostali przy życiu wojownicy rzucili się ku niemu, ale powitał ich straszliwą kanonadą. Padali pokotem jeden po drugim. Nagle wielki złoty topór głęboko przeciął jego nagą pierś. Buchnęła spieniona krew.

Niemiec stał jednak nadal wyprostowany, naciskając na roztrzaskany powrotnik i przesuwając go w przód i w tył. Wreszcie opróżnił taśmę do końca i wypuścił swą straszliwą broń z poranionych rąk. Przez chwilę przyglądał się w skupieniu, jak ostatni potwór zatacza się i pada.

— Jonbar! — powiedział drżącym głosem. — Ach, na Thora!

Jak upadająca, masywna kolumna runął na podłogę obok rozżarzonego do czerwoności maxima. Na chwilę w szkarłatnej sali Sorainii zaległa dziwna cisza, przerywana jedynie słabymi, pełnymi smutku dźwiękami, wydawanymi wciąż jeszcze przez olbrzymi gong.

Ubrane w zbroje złote kolosy spoglądały triumfująco w dół na salę, gdzie teraz panował już tylko zimny spokój, który zawsze okrywa żniwo śmierci.

Jednak życie jeszcze nie opuściło pogruchotanego ciała Lanninga. Obrócił się i zaczął

spychać olbrzymie zwłoki potwora leżące na jego nogach. Odzyskał nagle nadzieję, a z nią chęć walki i działania. Schorn otworzył im drogę do skarbcza Sorainii. Może wciąż jeszcze pozostało im trochę czasu i zdołają uciec, zanim odwrót zostanie odcięty.

Barry Halloran pierwszy stanął na nogi. Lanning sądził, że Barry leży już nieżywy pod ciałem wojownika, który go zaatakował. Ale nagle dał się słyszeć stłumiony krzyk:

— Bić ich, bić! Denny, czy ty mnie słyszysz?

— Barry!

Rudowłosy olbrzym z nagim torsem zalany krwią tak jak pierś Schorna wypełznął

nagle spomiędzy trupów wroga. Ściągnął zakute w zbroję martwe ciało z nóg Lanninga i Dennis usiadł. Ból oszołomił go na moment i dopiero po chwili zobaczył znowu Hallorana, który przysuwał mu do ust srebrną butelkę Courtney-Pharra. Wypił łyk palącej brandy.

— W porządku, Denny?

Lanning podniósł się chwiejnie niczym pijany. Czuł piekący ból w tyle głowy, widział

wszystko jak przez mgłę. Wielka czerwona sala chwiała się i wirowała, a złote kolosy schodziły z kolumn, by bronić złotego tronu Sorainii.

— Chodźmy — powiedział zmienionym głosem. — Bierzmy to, po co przyszliśmy, i wracajmy na statek, zanim nadejdzie Sorainia! Dwa granaty wystarczą, aby otworzyć wejście.

Harry Halloran podniósł dwa granaty, które mu jeszcze pozostały, i schylił się po gorą-

cego maxima. Denny przypomniał mu jednak, że amunicji już nie ma, więc odnalazł swojego mauzera, ujął Lanninga pod ramię i zaczęli biec ciężkim, zmęczonym truchtem, potykając się, przez wymarłą salę.

Droga do wspaniałego, brylantowego tronu Sorainii między groźnie patrzącymi żółtymi gigantami i ogromnymi czarnymi kolumnami wydawała się nieskończenie długa. Dotarli wreszcie do jej końca przy nieustającym akompaniamencie westchnień wielkiego gongu i zataczając się stanęli za tronem.

Ujrzeni przed sobą szerokie łukowate drzwi, zasłonięte czarną kotarą. Rozsuwając ciężkie draperie przedostali się do prywatnych komnat królowej. Lanning nie zatrzymał się nawet na chwilę, żeby przyjrzeć się bliżej otaczającym ich cudom, ale przechodząc dostrzegł

łśnienie kości słoniowej i złota. Łoże Sorainii, wyrżnięte z ogromnego bloku szafiru i osłonięte baldachimem z jedwabiu obszytego drogimi kamieniami, błyszczało jak drugi tron na końcu tej kolekcji barbarzyńskich wspaniałości. Lanning i Halloran biegli w jego kierunku, znacząc drogę śladami krwi.

Lanning rozdarł ciężki dywan leżący obok łoża. Zobaczył na podłodze wyraźne ciemne linie, które zaznaczały krawędzie dobrze dopasowanych drzwi, a pośrodku niewielki kwadrat.

Barry Halloran badał go za pomocą swego bagnetu. Lanning tymczasem odkręcał pokrywy detonatorów z obu granatów. Pod kwadratem odkryli długą dziurkę od klucza.

Lanning wsypał garść prochu z każdego granatu do zagłębienia, tak aby mógł się dostać aż do zamka. Wrzucił jeden detonator do dziurki od klucza pozostawiając bezpiecznik na wierzchu.

Nadszedł Barry taszcząc wielki, wysadzany klejnotami kufer z czerwonego metalu, który stał dotychczas obok łoża, i nasunął go na zamek, aby osłabił siłę wybuchu. Lanning podniósł karabin i strzelił w spłonkę.

Podłoga zadrżała. Błyszczące odłamki rozszonego kufra uderzyły w sufit. Klejnoty pokryły cały pokój. Pobiegli za szafirowe łoże. W miejscu, gdzie wybuch rozerwał ciężką pokrywę z czerwonego metalu, czerniała wielka, postrzępiona dziura. Lanning sięgnął ręką w stronę gorących zasuwek. Kwadratowe drzwi opadły nagle w dół jak winda. Zaskoczony Halloran zastanawiał się przez chwilę, po czym wszedł na nie razem z Lanningiem. Miętko opuścili się do i skarbcza.

Był wielki i pozbawiony okien. Ukryte lampy oświetlały matowym blaskiem wspaniałe skarby Sorainii. Wielkie, połyskujące bloki srebra i złote sztaby, olbrzymie tajemnicze kufry, ogromne bryły nie obrobionego syntetycznego kryształu, szafiry, szmaragdy, rubiny, diamenty. Rzeźby, obrazy, dziwne mechanizmy i instrumenty, gobeliny, książki i manuskrypty, wszystkie bezcenne zbiory jej dynastii. Największe wrażenie wywarł jednak na nich długi rząd wysokich, kryształowych bloków, w których jak muchy w bursztynie zatopione były, sprawiające wrażenie żywych, ludzkie figury — ubrane w zbroje pierwowzory tych postaci, które stały na kolumnach w wielkiej sali tronowej. Mieli zatem przed sobą nie tylko skarbiec, ale również mauzoleum władców Gyronchi.

— Chryste Panie! — mruknął Barry Halloran, mrużąc oczy. — Ta baba jest niezłą kolekcjonerką! Te śmiecie są więcej warte niż cała forsa, którą w życiu widziałem. Król Midas zzieleniałby z



zazdrości!

Lanning pobladł.

—Widziałem ją pewnego razu w trakcie uzupełniania kolekcji — szepnął gorzko.

Opadająca platforma dotknęła podłogi.

— Szukamy małej czarnej kostki — powiedział Lanning. — Czegoś, co jest pokryte warstwą czarnej substancji, aby nasz przeszukujący promień nie mógł tego odnaleźć. —

Obejrzał się na drzwi i zadrzał na myśl o pułapce. — Lepiej pośpieszmy się. Jesteśmy tu już dostatecznie długo, a ten gong zbudziłby martwego. Sorainia wkrótce zjawi się tu z posiłka-mi.

Rozpoczęli gorączkowe poszukiwania owej małej czarnej kostki, otwierali kufry pełne klejnotów, przetrząsali zwoje jedwabiu i stopy futer. Wreszcie Barry Halloran znalazł niewielki ebonitowy prostopadłościan w rozbitym porcelanowym dzbanku porzuconym w zakurzo-nym kącie.

— To jest właśnie to! — zawołał Lanning. — Uciekajmy!

Wskoczyli z powrotem na platformę. Lanning nacisnął przycisk w podłodze i winda wzniosła się cicho. Trzęsącymi się z podniecenia rękami, Halloran podał ciężką niewielką kostkę Lanningowi.

— Co to może być? — wyszeptał.

— Nie mam pojęcia. — Lanning potrząsnął głową. — Ale słuchaj!

Dotarli już do królewskiej sypialni. Usłyszał odległy brzęk zamykanej metalowej bramy, szczęk broni i czysty wysoki, pełen gniewu kobiecy głos. Poczuł naraz, że siły go opu-szczają; mróz przeszedł mu po kościach.

— Sorainia wraca! — jęknął niemal.

Wdrapali się na posadzkę i zaczęli rozpaczliwie uciekać tą samą drogą, którą tu przybyli, poprzez puste, lśniące komnaty. Przedarli się przez czarne zasłony. Jeszcze raz znaleźli się w olbrzymiej sali złotych kolosów. Znów biegli pod wciąż dźwięczącym gongiem obok wysokiego, diamentowego tronu. I raptem zatrzymali się przerażeni.

Nowa horda olbrzymów Sorainii — dzieląca ich od dwójki mężczyzn odległość sprawiała, że wydawali się niewielcy — wlewała się do sali. Na ich czele, poruszając się w pełen wdzięku sposób, w swej wspaniałej szkarłatnej kolczudze, biegła sama królowa wojny.

Lanning odwrócił się, spojrział na zeszywniałą twarz Barry'ego i znużony potrząsnął głową.

— Odcięła nam odwrót! — westchnął. — Innego wyjścia nie ma...

## Rozdział 12

# TAJEMNICZA SKRZYNKA

Pokrwawione palce Lanninga zacisnęły się mocno wokół ciężkiej, czarnej kostki, kamienia węgielnego, najcenniejszego klejnotu Jonbaru.

— No i dobrze! — dodał zaciekle tonem. — Mamy dostatecznie dużo czasu, aby ją załatwić!

Ale gdy tylko Barry podniósł mauzer do strzału, Denny pożałował tych słów. Królowa Gyronchi w swej przepysznej zbroi wyglądała bowiem zbyt pięknie; nie potrafił szczerze pragnąć jej śmierci. Królowa — demon! Zagryzł wargi i zdusił nagły impuls, by popchnąć lufę ku ziemi.

Huknął strzał. Lanning oczekiwał ze ściśniętym sercem na moment, gdy Sorainia upadnie. Ale to nie ją trafił pocisk; jeden z jej owadzich żołnierzy zachwiał się i chwycił cztery-ma kończynami za swoją twardą czarną powłokę.

— Miałem ją już na muszce — mruknął Halloran. — Ale oni i tak by nas dostali. A ona jest... tak wspaniała.

Lanning zachwiał się. Wiedział, że zbliża się śmierć, czuł już z bliska jej lodowaty oddech. Gorączkowo szukał jakiegoś sposobu ucieczki i powrotu na statek, ale nie mógł znaleźć żadnego wyjścia. Ciągłe dźwięczało mu w uszach dręczące pytanie Wila McLana: czy istnieje w ogóle mężczyzna, który byłby w stanie zabić Sorainię?

Ale ona musi zostać zniszczona — tak oświadczył sam McLan. A już dawno temu Lethonee powiedziała mu przecież, że to właśnie on, Denny Lanning, musi wybrać jedną z nich, skazując na unicestwienie tę drugą. Serce podchodziło mu do gardła, kiedy wyciągał

drżącą dłoń ku Halloranowi.

— Daj mi...

Ale karabin wydał tylko głuchy trzask — nie było naboji.

Halloran rzucił go na ziemię i rozłożył bezradnie ręce. Lanning schylił się, aby podnieść broń.

— Nie pozwólmy, by wzięli nas żywych...

W tym momencie Sorainia skierowała swój złoty miecz, który, jak się okazało, był

czymś więcej niż tylko mieczem, w ich kierunku. Gorąca niebieska iskra z sykiem uderzyła w karabin. Ręka Lanninga, oparzona i bezwładna, odskoczyła odruchowo od na wpół spalonej broni. Pełen triumfu głos Sorainii zadźwięczał donośnie w wielkiej sali.

— Świetnie, Denny Lanningu! A więc wybrałeś moje lochy zamiast mojego tronu?

Lanning zamrugał oczami. Sorainia wraz ze swą hordą była już w połowie sali. Pod hełmem

ozdobionym pióropuszem widział jej bladą, wykrzywioną gniewnym, mściwym gry-masem twarz i zimne jak lód oczy. Nagle coś wdarło się między nich.

Cień. Gęstniejąca srebrna zasłona. Cień, który zdumiewająco szybko stawał się rzeczywistością. Wstrzymując oddech i przecierając oczy ze zdumienia, Lanning drżał, ożywiony nagłą nadzieją. To był „Chronion”!

Kręgi na jego krańcach jarzyły się zielonym blaskiem, gdy lądował na posadzce przed tronem. Lao Meng Shan, stojąc na przednim pokładzie, skierował lufę maxima w stronę Sorainii i jej potworów. Karabin maszynowy zaciął się jednak i Lao zaczął go pośpiesznie odciągać na bok.

Wil McLan spod kryształowej kopuły gwałtownymi ruchami ręki przynaglał ich do powrotu. Gdy minął moment pierwszego zaskoczenia, Lanning chwycił Barry'ego za ramię i pobiegli szybko ku zbawczemu statkowi.

Sorainia wydała gromki okrzyk bitewny i ze wzniesionym ponad głowę złotym mieczem powiodła swoje czarne olbrzymy do ataku. Pociski ciężkiej broni podziurawiły w wielu miejscach „Chroniona”. Ale wieżyczka obracała się pod kopułą. Wiązka żółtych promieni z kryształowego działa otoczyła Lanninga i Hallorana i wciągnęła ich na statek.

Zanim się to stało, Lanning zdążył jeszcze dostrzec stojącego samotnie na pokładzie, ślepego i jakby oszołomionego Willi'ego Randa. Jednakże w momencie gdy on i Halloran znaleźli się po drugiej stronie barierki, Randa już tam nie było. Shan klęczał nadal nad bezużytecznym maximem.

— Patrz, Denny! — krzyknął Barry Halloran. W jego ochrypłym głosie słyhać było przerażenie, a zarazem podziw. — Cholerny ślepy głupiec!

Wskazał ręką w stronę, skąd nadciągała horda Sorainii. Lanning zobaczył Willi'ego Randa, który biegł jej na spotkanie z nisko pochyloną, zabandażowaną głową, nie widząc nic i potykając się co krok. W rękach trzymał uszkodzonego mauzera z ustawionym na sztorc bagnetem.

Na widok samotnego przeciwnika czarni wojownicy zatrzymali się jakby zdziwieni.

Ostry krzyk Sorainii ponaglił ich do ataku. Zagrzmiała salwa. Rand zachwiał się, ale biegł dalej.

Lanning zbliżył się do tuby interfonu.

— Wil! — krzyknął — czy możemy mu pomóc?

— Nie. — Wil McLan pokręcił przecząco głową. — Ale to jest właśnie to, co on pragnął zrobić. Wielki, chociaż daremny gest.

Nawet Sorainia zatrzymała się na chwilę. Z jej złotego miecza wytrysnął błękitny ogień.

Willi Rand zachwiał się znowu, a jego mundur zaczął płonąć. Nadal jednak, po omacku, potykając

się biegł naprzeciw podniesionym żółtym toporom. Lanning przyklęknął na pokładzie, by dopomóc Shanowi odblokować zaciętego maxima. Zobaczył, jak Rand podbiega do szeregu żołnierzy Sorainii. Jego połyskujący bagnet, jakby wiedziony dziwną tajemniczą siłą, wbił się głęboko w czarną krtać jednego z wojowników.

Ostrza złotych toporów opadły...

Stojący na mostku Wil McLan pokręcił błyszczącym kołem sterowym. „Chronion” wypłynął z sali tronowej Sorainii i znalazł się znowu na swoim ponadczasowym szlaku. Lanning wszedł pod kopułę, minął wieżyczkę, gdzie teraz Duffy Clark czuwał przy kryształowym dziale, i stanął obok Wila McLana. Stary człowiek chwycił go za ramię.

— Denny? Zdobyłeś to?

— Tak. Jak to się stało, że nas odnalazłeś? A gdzie jest Barynin?

— Wypatrzyli nas, gdy byliśmy przy krawędzi skały — powiedział McLean zmęczonym głosem. — Stał przy maximie, gdy trafił go promień *gyrane* z murów obronnych fortu.

Zginał na miejscu. Właściwie to został usmażony. — Wzdrygnął się.

— Musieliśmy ruszyć wam na pomoc. Skierowałem „Chroniona” w przyszłość, aby uniknąć spotkania z ich statkiem czasu. Bałem się wprowadzić nasz statek do fortecy, bo ponieważ nie mogliśmy użyć promieni przeszukujących, zagrażało nam wielkie niebezpieczeń-

stwo — mogliśmy uderzyć w jakąś ścianę lub choćby zderzyć się z czymkolwiek, a to po-ciągnęłoby za sobą straszne skutki. Ale nie było innego wyjścia. Musieliśmy podjąć ryzyko, no i wygraliśmy. — Otarł pot ze swojej pokrytej bliznami twarzy. — Ta komnata była największą salą. Określiłem jej pozycję na podstawie moich planów i badań jej przyszłych ruin. I trafiliśmy dokładnie we właściwe miejsce.

— Ale... co z tą rzeczą, którą znalazłeś?

Lanning wręczył mu błyszczącą czarną cegielkę.

— Otwórz to — szepnął stary człowiek. — Musimy się dowiedzieć, gdzie w czasoprzestrzeni Glarath i Sorainia znaleźli tę rzecz, i umieścić ją tam z powrotem.

Lanning oderwał wzrok od małego prostopadłościanu, który stanowił fundament całego Jonbaru. Ogarnięty nagłym niepokojem wyrzucił z siebie gorączkowo:

— Czy myślisz...? Czy oni będą nas ścigali?

— Oczywiście, że tak. — Z oczu McLana wyzierał wyraźny lęk. — Dla nich jest to sprawa życia lub śmierci. A mają przecież własny statek czasu. Jeśli nie uda im się nas dogonić, będą na pewno czekali tam, gdzie musimy umieścić ten nasz przedmiot. Oni znają to miejsce. — Oddał klocek Lanningowi. — Spróbuj, czy dasz radę to otworzyć.

Prostopadłościan był twardy jak szkło. Lanning stukał weń bezskutecznie palcami, potem złamał na nim swój scyzoryk i dopiero za pomocą piły, dłuta i młota pokonał jego opór.

Wewnątrz mieściła się skrzynka o grubych ścianach, owinięta białą włóknistą materią.

Drżącymi dłońmi podniósł pokrywę i ujrzał spory kawałek zardzewiałego żelaza w kształcie litery V.

Był przekonany, że znajdzie w środku skrzynki coś niezwykłego, jakiś rewelacyjny dokument, który potrafiłby zmienić bieg historii, albo straszliwą broń, która mogłaby zgładzić przeciwników postępu. Bardzo zawiedziony pokazał pudło Wilowi McLanowi.

— Po prostu kawałek żelaza — powiedział. — Zardzewiały stary magnes z rozrusznika forda model T. Poświęciliśmy życie naszych przyjaciół, żeby zdobyć coś takiego!

— Nie ma znaczenia, co to jest — wyszeptał stary człowiek. — Ten kawałek żelaza musi być bardzo ważny, skoro Sorainia wyciągnęła go z przeszłości, chcąc zmienić całkowicie kierunek prawdopodobieństwa i złamać ostatnie geodezy Jonbaru.

— Teraz z pomocą chronoskopu postaram się znaleźć miejsce, z którego ten przedmiot został zabrany, a potem będziemy musieli umieścić go tam z powrotem. Oczywiście Sorainia zrobi wszystko, by nam w tym przeszkodzić. — Spojrzał na Lanninga. — Ale przecież ty się słaniasz na nogach Denny. Jesteś ranny...

Lanning był prawie nieprzytomny ze zmęczenia. Nawet dręczący go jeszcze przed chwilą ból w tyle głowy stał się teraz czymś nieokreślonym i dalekim, pozbawionym znaczenia. Ku jego zaskoczeniu kopuła nagle pogrzyżyła się w mroku i poczuł, że pada na podłogę.

## Rozdział 13

### ZIARNO PRZYSZŁOŚCI

Lanning obudził się z obandażowaną głową w małym szpitalu o zielonych ścianach. Z

łóżka naprzeciwko uśmiechał się do niego Barry Halloran. Mały londyńczyk, Duffy Clark, nadszedł właśnie z nakrytą tacą.

— Kapitan McLan? Próbuje właśnie skapować za pomocą tej swojej fikuśnej maszynki, skąd ta diablica i jej przekłeta banda dorwali to magneto — poinformował nie całkiem salo-nową angielszczyzną.

— Udało mu się? — chciał koniecznie wiedzieć Lanning.

— Jeszcze nie, szefie. — Duffy potrząsnął rozwichrzoną czupryną. — Żeby w tej całej przestrzeni i w tym całym czasie znaleźć, kurka wodna, takie maleńkie miejsce, i to jeszcze jak się ma na karku tę pierniczoną babę z jej cholernym klechą, którzy nas szukają na tym ich czarnym statku pełnym parszywych oprawców, to ciężka sprawa, kurka wodna!

— Przecież my możemy ich prześcignąć! — wtrącił się Barry Halloran. — Możemy się na nich wypiąć.

— Cholera wie — mruknął Clark. — Suniemy jak wściekli. A oni trzymają się wciąż tuż za nami.

Głowa wciąż jeszcze ciążyła Lanningowi, czuł się jak w letargu. Zjadł coś i znowu zapadł w drzemkę. Po jakimś czasie, musiał spać znowu wiele godzin, obudził się nagle, słysząc oprócz przyspieszonego pulsowania wodorowego konwertora jakiś inny dźwięk. Było to stukotanie maxima.

Zsunął się z łóżka i obaj z Barrym Halloranem, który pobiegł za nim, wydostali się na pokład. Strzelanina już ucichła. Znowu słyszeć było tylko cichy warkot maszyn „Chroniona” sunącego teraz jakby nieco wolniej poprzez błękitną otchłań. Duffy Clark leżał nieruchomo obok maxima, jego nieduże ciało było do połowy spalone promieniami *gyrane*.

Drżąc ze zgrozy Lanning wspiał się pod kopułę.

— Dogonili nas — szepnął Wil McLan. — I wkrótce złapią nas znowu. Konwertory są przeciążone. Zużyte pręty tracą wydajność. Clark nie żyje. Zostało nas czterech.

— Znalazłeś coś?

Stary człowiek skinął potakująco głową i Lanning zamarł w oczekiwaniu.

— Właściwy czas to pewne sierpniowe popołudnie roku 1921 — wyszeptał Wil McLan. — Zniszczone geodezy Jonbaru już przedtem prowadziły nas w stronę tego dnia.

Teraz, za pomocą przeszukującego promienia, znalazłem odpowiednie miejsce.

Lanning uchwycił jego ramię.

— Gdzie?

— To jest mała kotlina w Ozarks w stanie Arkansas. Pokażę ci scenę o decydującym znaczeniu.

McLan pokuśtykał w kierunku metalowej szafki analizatora geodez i ustawił odpowiednio tarcze przyrządu. Kryształowy blok zaczął się jarzyć zielonym blaskiem. Lanning pochylił się do przodu i z napięciem spoglądał w dziwne okno prawdopodobieństwa.

Pośród niewielkich pagórków leżała stara farma. Chałupa o poszarzałych ścianach, wy-bitych oknach i z dachem nierówno pokrytym pordzewiałą blachą, chyliła się ku ziemi. Nie opodał na skraju wzgórza ciągnęło się kamieniste pastwisko dla krów. Tu i ówdzie rosły na nim wyschnięte krzaczki. Mały, bosy, piegowaty chłopiec w mocno zniszczonych spodniach i dużym, poszarpanym słomianym kapeluszu, włókł się wolno w towarzystwie wychudzonego żółtego psa, prowadząc w kierunku zagrody dwie chude brązowo-białe krowy.

— Przyglądaj mu się uważnie — szepnął gwałtownie Wil McLan.

Lanning widział, jak chłopiec zatrzymał się, ażeby przynaglić swojego psa, który grzebał zajadle w króliczej norze, a potem przykucnął, chcąc przyjrzeć się mrowisku. Potem przebiegł kilka kroków, schwytał jaskrawego motyla i ostrożnie rozkroił go na kamieniu swoim połamanym scyzorykiem. Podniósł się niechętnie na wołanie niechlujnej kobiety stojącej przy domu i znów pokuśtykał za krowami. Pokrzywione palce Wiła McLana zacisnęły się gwałtownie na ramieniu Lanninga.

— Teraz!

Chłopiec zatrzymał się, aby podnieść coś, co leżało tuż obok krzewu sumaku. Obraz tego przedmiotu rozmazywał się na kryształowym ekranie i Lanning nie mógł go rozpoznać.

Naraz wszystko znikło — Wil McLan wyłączył mechanizm.

— No dobrze... — Lanning odwrócił się do niego zdziwiony. — Ale co to ma wspólnego z Jonbarem?

— To jest John Barr — powiedział prawie niedosłyszalnie McLan. — Ta prawdopodobna metropolia przyszłości, którą widziałeś, będzie, lub może być, nazwana jego imieniem.

Obecnie, w 1921 roku, ten bosy syn dzierżawcy ma dwanaście lat. Widziałeś go w decydującym momencie jego życia, który jest zarazem przełomowym momentem w dziejach świata.

— Nic nie rozumiem!

— Geodezy zaczynają się od owego przedmiotu, który on w tym momencie podniesie

— szeptał Wil McLan. — Będzie to albo magnes, który znaleźliśmy w cytadeli Sorainii, albo tylko kamyk polny o dziwnych kolorach, leżący obok niego. Podniesiony przedmiot — Sorainia usuwając magnes, chciała, by stał się nim kamień — określa, który z dwóch możliwych Johnów Barrów zaistnieje w rzeczywistości.

— Taki kawałek żelaza... — zdziwił się Lanning.

— To nasienie Jonbaru — powiedział McLan. — Jeśli chłopiec podniesie porzucony magnes, odkryje również niezwykłą siłę, z którą ten oddziałuje na ostrze jego noża, i dziwną moc odnajdywania kierunku północnego. Rozbudzi to jego ciekawość, zacznie eksperymentować i zastanawiać się nad zagadką magnesu. Jego zainteresowania pogłębią się z czasem.

Obudzi się w nim badacz.

Będzie się uczył, pożyczał książki od nauczyciela z jednoizbowej szkoły w kotlinie.

Opuści farmę, ucieknie od ojca, uparcie szydzącego z „kujona”, by studiować dalej. Zostanie nauczycielem przedmiotów przyrodniczych w wiejskich szkołach i naukowcem amatorem.

Niekiedy ten wspaniały płomień będzie w nim przygasał, tłumiony codzienną monotonną harówką.

Ożeni się i wychowa dwoje dzieci. Jego pasja poznania nigdy jednak całkowicie nie wygaśnie. Mając już pięćdziesiąt pięć lat, ucieknie znów, tym razem od dominującej żony i nieprzyjemnego zięcia, aby kontynuować swoje badania.

Łysy, otyły, mały mężczyzna o łagodnym usposobieniu, niepraktyczny marzyciel, będzie latami pracował samotnie w małej wiosce w Ozarks, każdy zdobyty grosz wydając na budowę wymarzonego aparatu. Często będzie nie dojadł. Pewnego razu sąsiad znajdzie go skrajnie wycieńczonego głodem, ciężko chorego na gripę, prawie nieżywego.

W końcu, w roku 1980, mając wówczas siedemdziesiąt jeden lat, ten mały człowieczek, znużony, lecz triumfujący, opublikuje rezultaty swojego wielkiego odkrycia. Przedstawi światu tensor dynamiczny, potocznie znany jako *dynat*. Całkowicie nowe prawo natury wiążące życie i świadomość przez określenie ich prawdopodobieństwa na poziomie atomowym. Ja przypadkowo odkryłem jedną z jego faz — konwertyor wodorowy. Tensory Johna Barra dadzą natomiast początek wspaniałej nowej technologii umożliwiającej bezpośrednie uwalnianie energii atomowej pod całkowitą kontrolą woli człowieka.

Ofiarowana światu nowa wiedza o *dynacie* wykreuje całkowicie nową cywilizację, chociaż sam John Barr, zawsze zbyt pochłonięty twórczą pracą, by troszczyć się o materialne sukcesy, zostanie w tym samym roku pochowany cicho i skromnie na małym cmentarzyku obok kościółka w Ozarks. Nieograniczona moc atomowa, całkowicie ujarzmiona, stanie się źródłem życia Jonbaru.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Ludzkość wzniesie się na skrzydłach tej wspaniałej, ujarzmionej siły. *Dynat* pozwoli uzyskać nowe połączenie świadomości i materii, nowe zmysły, nowe perspektywy. Stopniowo, w miarę upływu czasu, ludzkość nauczy się korzystać w pełni z *dynatu*.

W chrapliwym szepcie coraz mocniej pobrzmiwała nuta zmieszanego z lękiem podziwu.

— W końcu powstanie nowa rasa, która określi siebie nazwą *dynoni*. Wspaniałe istoty ludzkie, dysponujące, dzięki odkryciu Johna Barra, możliwościami i mocą, o których my nie możemy nawet marzyć...

— Czeka! — wtrącił Lanning. — Widziałem *dynonów*! Wiele lat temu, gdy Lethonee przybyła po raz pierwszy do mojego pokoju w Cambridge, pokazała mi Nowy Jonbar w swoim kryształce czasu. Miasto majestatycznych, lśniących pylonów. A ponad nimi unosili się w powietrzu wspaniali ludzie ubrani w coś, co wydawało się czystym ogniem!

Oczy Wila McLana rozbłyły na chwilę, skinął potwierdzająco głową.

— Ja również oglądałem Nowy Jonbar — wyszeptał. — Widziałem zapowiedziane cuda i sukcesy, triumfalne loty *dynonów* od gwiazdy do gwiazdy, w nieskończoność. Gdyby ludzkość rozwijała się w tym kierunku, jej historia nie miałaby końca.

— Lecz gdyby rozwinęła się w kierunku...

Pokiwał siwą głową. W nagłej ciszy, która zaległa pod kopułą, Lanning mógł dosłyszeć



przyśpieszony szum konwertora. Poprzez błękitną mgłę zawrotnych możliwości sunęli w kierunku spokojnej sceny w Ozarkach, którą niedawno obserwował w krystalicznym bloku.

Dostrzegł Lao Meng Shana czyszczącego maxima na pokładzie oraz Barry'ego Hallorana, który z karabinem gotowym do strzału, wpatrywał się z uwagą w migoczącą otchłań.

— Gdybyśmy nie zdołali położyć magnesu z powrotem na miejsce, gdzie leżał — zaszeptał znowu McLan — John Barr podniesie zamiast niego polny kamień i strumień prawdopodobieństwa pobiegnie tak, jak biegnie na razie; w stronę Gyronchi. Chłopiec podrzuci kamień w rękę, wystrzeli nim z procy i zabije siedzącego na krzaku ptaka. Zabraknie w ten sposób tej pierwszej bezcennej iskry i to zaważy na całym jego późniejszym życiu. Będzie ono miało przebieg dziwnie podobny, a jednocześnie zdecydowanie odmienny.

Również ten, niemal dokładnie taki sam, lecz nieco już inny John Barr ucieknie z domu, ale tym razem stanie się najemnym robotnikiem. Ożeni się z tą samą kobietą, wychowa dwójkę tych samych dzieci, które w końcu opuści. Ta sama pomysłowość, skierowana w stronę tego samego podstawowego problemu — prawdopodobieństwa, pozwoli mu wynaleźć nową maszynę do gier hazardowych, na której najpierw zrobi, a potem straci fortunę. Umrze również bez grosza w tym samym roku i spocznie w końcu na tym samym cmentarzyku.

Tajemnica uwalniania siły atomu zostanie odkryta dziewięć lat później, nie będą jednak poznane możliwości tak pełnej jej kontroli, jak te, które zapewniłyby John Barr. Odkrycia dokona inżynier Ivor Gyros, uchodząca z sowieckiej Eurazji, współpracujący z buddyjskim mnichem, renegatem. Nazwą odkryty przez siebie fenomen *gyrane*, będą zazdrośnie strzegli jego tajemnicy, używali go do niszczenia swoich wrogów i wpajali z jego pomocą pospółstwu przekonanie o swej nieograniczonej, boskiej mocy. Stworzą w końcu nową fanatyczną religię i nowe despotyczne cesarstwo. To będzie początek kultu *gyrane* i dynastii Sorainii. Widziałeś koniec tego wszystkiego.

— Widziałem!

Nagły dreszcz przebiegł Lanningowi po plecach, gdy przypomniał sobie ten przerażają-

cy obraz: ludzkość unicestwioną w ostatecznej wojnie kapłanów i królów przez *gyrane* i monstrualne potwory; dżunglę zarastającą rdzewiejące mury twierdzy Sorainii, ruiny ponurej świątyni i całą nieszczęsną spustoszoną planetę. Schwycił zardzewiały magnes w kształcie litery V i zacisnął go mocno w dłoni.

— A więc... — upewnił się — wszystko, co musimy zrobić, to umieścić ten kawałek żelaza na dawnym miejscu, aby John Barr mógł go znaleźć?

— Tak — sapnął Wil McLan. — To chyba wystarczy!

Ciszę przerwał nagle głośny szczekot maxima. Lanningowi zaparło oddech. Wil McLan, przerażony, wskazywał coś palcem. Lanning odwrócił się. Tuż ponad kopułą zobaczył ciemną, brzydką sylwetkę statku czasu z Gyronchi.

— Dogonili nas! — jęknął McLan. — Konwertor zepsuł się!

Rzucił się niezdarnie w kierunku steru. Ale burty obu statków już się zetknęły. Nie zważając na nieustanny ogień maxima, horda antropoidalnych mrówek wlewała się na pokład

„Chroniona”. Na ich czele, wznosząc płonący złoty miecz, wspaniała w swej szkarłatnej kolczudze, biegła Sorainia!

## Rozdział 14

### POCALUNEK SORAINII

Lanning wzdrygnął się.

— Sorainia! — powiedział Wil McLan chrapliwym, wściekłym głosem, jak gdyby to imię było przekleństwem. Drżącymi dłońmi dotknął małej srebrnej tulejki wiszącej na jego szyi, płomień nienawiści zabłysnął mu w oczach, a jego usta wykrzywił grymas bólu. A może był to uśmiech?

— Dlaczego, Sorainio? — westchnął ciężko. — Dlaczego to się musi stać?

— Wil! — zawołał Lanning. — Oni wchodzą już na pokład. Czy nie możemy uciec?

— Uff — westchnął McLan i zamrugał nerwowo na widok gromady nacierających potworów, jak gdyby ich nigdy przedtem nie widział. — Spokojnie, Denny. — Szczupłymi dłońmi zaczął manipulować przy pulpicie sterowniczym, ale po chwili zniechęcony pokręcił

głową. — Konwertor... przeciążony...

Kilkunastu czarnych wojowników przeskoczyło przez barierkę i rzuciło się w stronę maxima. Lao Meng Shan przykucnął przy szczekającym karabinie maszynowym, aby ich godnie powitać. Barry Halloran stał obok niego, olbrzymi, uśmiechnięty, z bagnetem gotowym do walki.

— Bić ich! — zawołał gromkim głosem. — Zatrzymajmy ich!

Mały Chińczyk uśmiechał się łagodnie i nie odezwał się nawet słowem.

Sorainia, wydawszy dźwięczny bojowy okrzyk, skręciła w stronę wieżyczki, a za nią ruszyła gromada wojowników. Swym lśniącym mieczem okrutna królowa wskazała im Wila McLana, stojącego pod kopułą. Jej twarz wykrzywiła nagle tak szalona nienawiść, że spojrzawszy na nią, Lanning zadrżał.

— Idzie po mnie! — krzyknął Wil McLan.

Lanning był już na schodach wieżyczki.

— Wyjdę jej naprzeciw — powiedział.

— Spróbuję uciec, jeśli konwertor to wytrzyma... — szepnął jeszcze McLan.

W małej wieżyczce Lanning przypinał do pasa lugera. Zabrał ze stojaka ostatniego mauzera i naładował go, po czym, spostrzegłszy pozostawiony w skrzynce granat, podniósł go i odbezpieczył.

Małe drzwi dygotały pod wściekłym naporem z zewnątrz — „Chronion” nie był

bowiem statkiem bojowym o odpowiednio mocnej konstrukcji. Pękły wreszcie i Lanning ujrzał przed sobą czarnego potwora.

Cisnął granat przez powstały otwór i rzucił się z bagnetem na napastnika. Piekący odór kwasu mrówkowego uderzył go w nozdrza. Straszliwa szczeka rozerwała spodnie i skórę na jego nodze, ale trzeci sztych zatrzymał potwora i Lanning mógł wreszcie przejść.

Na zewnątrz granat zrobił swoje. Trzech czarnych wojowników leżało tam, gdzie ich rzucił wybuch, dogorywając. Królowa, nawet nie drażnięta w swojej szkarłatnej kolczudze, stała o parę kroków dalej w otoczeniu ośmiu potworów. Jej zielone oczy płonęły nadal wściekłą żądzą walki.

— Denny Lanningu. — Jej głos był zimny jak lód. — Ostrzegałam cię. Ale ty zdradzi-  
łeś Gyronchi, wybierając Jonbar. A więc — umieraj!

Lanning czekając w drzwiach wieżyczki na przeciwników, zdążył jeszcze rzucić okiem w kierunku Barry'ego i Shana, którzy walcząc zaciekle o maxima, wciąż jeszcze skutecznie odpierali ataki wojowników Sorainii. Usłyszał okrzyk Barry'ego:

— Bić ich, chłopcy! Bić ich!

Zobaczył wysoką czarną burtę wrogiego statku, dostrzegł na chwilę ponurą, podobną do trupa postać kapłana Glaratha, stojącego bezpiecznie na tylnym pokładzie. Zobaczył drugi oddział uzbrojonych gigantów — zbierali się przy relingu, by za chwilę ruszyć do ataku w ślad za pierwszą grupą...

Ogarnęło go przerażenie. Przewaga wroga była przytłaczająca...

Nagle czarny statek zniknął wraz z Glarathem i stłoczonymi przy relingu potworami.

Dookoła widać było tylko drżącą mgłę niebieskiej otchłani. Lanning zrozumiał, że Wilowi McLanowi udało się ponownie zwiększyć prędkość „Chroniona” i oderwać się od przeciwników w tym wyścigu do przeszłości.

Sorainia i jej wojownicy znajdowali się jednak nadal na pokładzie „Chroniona”. Terkot maxima nagle ucichł. Shan i Barry zostali otoczeni. Potem napastnicy ruszyli w stronę Lanninga, który pochyliwszy się, czekał spokojnie, aż się zbliżą. Bagnet okazał się bardziej skuteczną bronią w walce z potworami niż kule. Lanning stosował tę samą technikę walki, której nauczył się podczas bitwy w twierdzy Sorainii.

Gwałtowny skok, skręt, szybki sztych. Jeden z gigantów upadł. Następny. Trzeci.

Czarne cuchnące ciała zagroziły przejście. Pokład stał się śliski od rozlanej limfy. Pocisk ze szkarłatnego karabinu przeleciał obok Lanninga. Złoty topór musnął jego głowę i Denny poczuł rozdzierający ból.

W chwilę potem uderzenie ciężką kolbą karabinu pozbawiło go tchu. Raz jeszcze odzyskał siły i skoczył naprzód.

Sorainia, wydając głośnie okrzyki, zachęcała swych wojowników do boju, jej blada twarz, na której malował się wyraz zimnej zaciętości, była jednocześnie piękna i straszna. W

pewnej chwili, kiedy potwory upadając odsłoniły Lanninga, skierowała w jego stronę ostrze swojego miecza. Wiedząc o śmiertelnym ogniu, jaki kryła w sobie ta broń, padł na ziemię i wystrzelił z lugera, mierząc w jej okrytą czerwoną koleczugię pierś.

Pocisk z brzękiem odbił się od metalu, nie czyniąc Sorainii żadnej szkody. W tej samej niemal chwili strumień dziwnego ognia musnął wprawdzie tylko jego ramię, ale i tak efekt był przerażający. Poczuł nagły wstrząs i straszna siła rzuciła nim o ścianę. Na pół oślepiony, oszołomiony, zdołał jakoś ugasić płonąca koszulę i rzucił się znów na potwornych wojowników.

Pozostało ich już tylko czterech. Nagłym skokiem dopadł jednego z nich i przeszył go na wylot. Drugi, o dziwo, runął martwy na pokład, zanim dotknął go bagnet. Lanning usłyszał

donośny okrzyk:

— Bijcie ich, chłopcy, bijcie!

Spostrzegł, że walka na przednim pokładzie dobiegła końca. Stos martwych czarnych potworów piętrzył się w niewielkiej odległości od maxima. Lao Meng Shan z zaskakująco pogodnym uśmiechem zastygł na żółtej, okrągłej twarzy, obserwował sytuację zza tej niezwyklej barykady. Barry Halloran, brocząc krwią, pokryty ranami ruszył wzdłuż pokładu nucąc coś pod nosem. To właśnie strzał z jego lugera położył trupem potwora atakującego Lanninga. Odrzuciwszy pistolet, w którym nie było już ani jednego naboju, podniósł w górę swój zakrwawiony bagnet.

Lanning chwiał się na nogach, z trudem łapał oddech, mgła przesłaniała mu oczy, mimo to jednak walczył zaciekle z dwoma pozostałymi przy życiu potworami. Nacierał, odskakiwał, atakował ponownie i odparowywał ciosy, broniąc drzwi od wieżyczki.

Nagle ujrzał, że Sorainia obraca się w stronę Barry'ego Hallorana i usłyszał jej niski szydarczy śmiech. Zobaczył, że Barry, trzymając w zakrwawionych rękach karabin z bagnetem, szykuje się do ciosu, który za chwilę miał przebić koleczugię królowej.

— Bijcie...

Nagle Barry jakby oniemiał ze zdumienia. Wyraz mimowolnego podziwu pojawił się na jego zaciętej, groźnej twarzy.

— Mój Boże, nie mogę...

Ostrze bagnetu opadło. Sorainia, uśmiechnąwszy się triumfalnie, skoczyła gwałtownie do przodu i błyskawicznym sztychem przebiła na wylot pierś przeciwnika.

Lanning szybkim uderzeniem dosięgnął kolejnego wroga. Wyprostował się, dostrzegł

błysk żółtego ostrza, cofnął się, uniknął ciosu, skoczył do przodu i natarł na ostatniego pozostałego przy życiu przeciwnika.

Spojrzał znów na Barry'ego i Sorainię. Z wdziękiem baletnicy zakończyła swój udany atak — pochyliła się, aby odzyskać miecz, który utkwił w ciele Hallorana. Wyciągnęła go pewnym, szybkim ruchem, a potem, uśmiechając się złośliwie, posłała Barry'emu pocałunek palcami czerwonymi od jego własnej krwi.

Z piersi Hallorana buchnęła ciemna, spieniona struga. Podziw, malujący się jeszcze przed chwilą na jego twarzy, ustąpił miejsca grymasowi nienawiści. Próbował podnieść karabin, ale ten wyslizgnął mu się z dłoni. Szeroko otwartymi ciemnymi oczyma spojrzał błaga-łnie na Lanninga.

— Denny — jęknął cicho. — Zabij ją!

I upadł przy nogach Sorainii.

Wstrząśnięty tym widokiem Lanning przypomniał sobie nagle o przeciwniku. Ale było już za późno. Złoty topór właśnie opadał. Uderzony płazem w głowę Lanning niemal utracił

przytomność, wszystko nagle znikło, tonąc we wszechogarniającym morzu bólu.

Jego martwiejące ciało wykonało, niby rozpędzona maszyna, wyuczone ruchy: pchnię-

cie, skręt, cios, a potem osunęło się obok konającego potwora. Przeleciało mu jeszcze przez głowę: nie wolno ci zrezygnować! Inaczej Sorainia zabije Wila McLana, zabierze magnes i Jonbar będzie stracony.

Ta rozpaczliwa myśl zgasła jednak wraz z jego świadomością.

## **Rozdział 15**

# SREBRNA TULEJKA

Choć nieznośny ból wciąż rozsadzał mu głowę, Lanning przypomniał sobie jednak o straszliwym niebezpieczeństwie, które zawisło nad Jonbarem, i jakoś udało mu się stanąć znowu na nogi. Drżący pokład kręcił się pod nim, jak przez mgłę widział migoczący wokoło błękit. Z trudem dostrzegł martwe ciała Lao Meng Shana i Barry'ego Hallorana leżące pomię-

dzy trupami potwornych wojowników. Sorainii nie było na pokładzie, ale docierał do niego jej dźwięczny, złośliwie brzmiący głos.

— ... długi pościg. Wilu McLanie. Muszę ci podziękować za przyjemność łowów.

Pamiętasz, obiecałam ci kiedyś mój miecz...

Przerażający, ochryply krzyk dobiegł spod kopuły, a potem zabrzmiał bezlitosny, okrutny śmiech.

— Wilu McLanie, zdaje się, że zawsze chciałeś mnie zniszczyć. Ale nigdy nie znalazłeś w sobie dość woli, aby to uczynić. Wiem, po co przybyłeś za pierwszym razem do Gyronchi.

Wielu mężczyzn próbowało mnie zabić. Byli jak ćmy, które usiłują swoimi skrzydłami ugasić płomień świecy!

— Jeszcze się policzymy, Sorainio — mruknął przez zaciśnięte zęby Lanning. —

Zapłacę ci za Barry'ego!

Jego ciało poruszało się sztywno jak zardzewiała maszyna. Idąc zataczał się i chwiał na nogach jak pijany. Ból rwącym strumieniem przetaczał mu się przez głowę. Ciemna mgła przesłaniała wzrok. Kończyny przypominały popsute bezużyteczne narzędzia. Przeszkadzało mu nawet własne ubranie, sztywne od zaschniętej krwi.

Odnalazł jednak mauzera i podniósł go. Zataczając się dotarł do wieżyczki, której bronił

uprzednio, i zatrzymał się przy metalowych schodach wiodących na mostek. Znowu usłyszał

głos Sorainii. Chełpliwym tonem mówiła:

— Jesteś głupcem, Wilu McLanie, usiłując walczyć przeciwko mnie z tą garstką niemą-

drych małych ludzi, którą zebrałeś. Ponieważ zdradziłeś nam sekret czasu, *Gyrane* może zwyciężyć również śmierć. Przeszukałam dokładnie przyszłość, chcąc poznać godzinę mojej śmierci, i nie znalazłam żadnego niebezpieczeństwa, którego nie potrafiłabym uniknąć. Mogę być ostatnią z rodu, ale będę rządziła wiecznie!

Z trudem pokonawszy schody wieżyczki Lanning znalazł się wreszcie pod kopułą. Wil McLan leżał na podłodze obok lśniącego koła sterowniczego w kałuży krwi i próbował się podnieść. Spoglądał w

stronę Sorainii — straszliwa nienawiść malowała się na jego wymizerowanej twarzy. Mała srebrna tulejka, zawieszona na białym łańcuszku na jego szyi, dotykała niemal zakrwawionej podłogi.

Wysoka i niezwykle zgrabna w swej wspaniałej zbroi Sorainia stała tuż obok, uśmiechając się do McLana. Szkarłatne krople kapały wciąż jeszcze z żółtego miecza. Słyszając kroki Lanninga odwróciła się szybko w stronę schodów. Gdy go ujrzała, nagła radość rozjaśniła jej twarz, dziwny okrutny błysk pojawił się w zwężonych oczach.

— Wspaniale, Denny! — powitała go. — A więc chciałbyś spróbować, czy ci się może uda tam, gdzie wszyscy inni przegrywali?

Brzeszczot jej miecza zadźwięczał gwałtownie, krzesząc iskry na jego bagnecie.

Była prawie tak wysoka jak Lanning, a przy tym zwinna jak kot. Czerwona, znakomicie dopasowana zbroja uwydatniała jej powabne kształty. Szerokie nozdrza drgały, napięte, piersi unosiły się i opadały w szybkim oddechu. Skoczyła jak atakująca pantera.

Lanning odparował cios i z wysiłkiem zadał pchnięcie bagnetem. Sorainia uchyliła się.

Bagnet ześlizgnął się wzdłuż opancerzonej piersi, nie czyniąc jej żadnej krzywdy. Żółte ostrze trafiło ramię Lanninga. Przeszył go nagły ostry ból.

Jego własna broń zdawała się mu coraz cięższa. To nic ma znaczenia — przekonywał

sam siebie — że ona jest kobietą i do tego tak piękną kobietą. Wciąż jeszcze bardzo cierpiał z powodu śmierci Barry'ego. Kątem oka widział, jak Wil McLan, leżąc w kałuży własnej krwi tuż obok Sorainii i oddychając z najwyższym trudem, obserwuje ich pojedynek ciemnymi od nienawiści oczyma.

Łatwiej było mu teraz jednak walczyć z Sorainią niż z własnym zmęczeniem. Wszystkie swe siły zużył już podczas walki z jej potworami. Ona tymczasem była zupełnie nie zmęczona, świeża i szybka. Widział jej okrutny, złowieszczy uśmiech; zauważyła już, że karabin coraz bardziej ciąży mu w zmęczonych rękach. Jego wzrok słabł; przestawał widzieć kolory. Sorainia wydawała mu się cieniem, który nie może umrzeć.

Był zadowolony, że dostrzega tylko zarys jej postaci, bo dzięki temu nie utrudniała mu pojedynku jej olśniewająca uroda. Próbował zastąpić jej wizerunek wyobrażeniem jednego z jej owadzich potworów. Wrócił znów do wypróbowanego rytmu walki: pchnięcie, skręt, cios.

Lecz bagnet nadal ześlizgiwał się z jej inkrustowanej zbroi, a tymczasem ostrze jej miecza przecięło boleśnie i głęboko jego ramię. Trysnęła krew. Sorainia cofnęła się t gracją i jakby szydząc z niego, skierowała koniec miecza w swoją stronę.

— Spróbuj, Denny Lanningu! — zaśmiała się cicho. — Uderz, jeśli chcesz, ja i tak nigdy nie umrę. Zbadałam całą przyszłość szukając godziny mej śmierci, i nie znalazłam Jej.

Nie można mnie zabić!

— Zobaczmy! — Lanning wciągnął głęboko powietrze do płuc i potrząsnął obolałą głową. — Za Barry'ego...

Ostatnim wysiłkiem mocniej uchwycił karabin i skoczył w poprzek niewielkiego pomieszczenia pod kopułą, po czym pchnął błyszczący bagnet, kierując go tuż pod jej pierś, prosto w serce.

— Denny! — usłyszał ostrzegawczy krzyk Wila McLana. Złote ostrze zabłysło i uderzyło w jego broń. Z czubka miecza wytrysnął błękitny płomień. Karabin wypadł z rąk Lanninga. Oszołomiony i obezwładniony cofnął się raptownie. Zapach przypalonych dłoni i ozonu rozszedł się w powietrzu.

Oparł się o ścianę kopuły, drżąc na całym ciele. Ledwo trzymał się na nogach. Zobaczył

zbliżającą się Sorainię: szła ku niemu lekkim krokiem tancerki. Jej alabastrową twarz rozja-

śniał tryumfujący uśmiech. Przeciągając wyrazy, powiedziała miękko:

— I cóż, Denny Lanningu! Kto jest nieśmiertelny?

Wymawiając te słowa, wykonała drobny, szybki ruch ręką. Okrutna radość zabłysła w jej zielonych oczach. Jej miecz, jak żywa istota, skoczył w stronę serca Lanninga.

Odbił ostrze gołą ręką. Rozcięło mu dłoń, po czym, zmieniawszy nieco kierunek, brzeszczot przebił mu ramię. Znów poczuł zimny przejmujący ból; w chwilę potem koniec miecza uderzył w twardy kryształ za jego plecami.

Sorainia wyszarpnęła miecz, przetarła dłonią jego brzeszczot, zakrwawionymi palcami posłała Lanningowi pocałunek i stała nieruchomo, z dziwnym uśmiechem na twarzy, czekając, aż przeciwnik upadnie.

— Wystarczy? — spytała pieszczotliwym tonem. — Czy powtórzyć?

Lanning odwrócił od niej gasnące oczy. Niewielkie wnętrze kopuły zdawało się falować. Nadludzkim wysiłkiem odnalazł wzrokiem Wila McLana. Zobaczył, że ten gwałtownym ruchem zrywa cienki, biały łańcuszek i rzuca srebrną tulejkę w jego kierunku. Usłyszał cichy szept McLana:

— Rozbij ją, Denny! Ja... nie mogę!

Sorainia wyczuła, że coś dzieje się z tyłu, za jej plecami. Żółty miecz przeszył powietrze jak błyskawica, kierując się wprost ku sercu Lanninga. Nawet ta tygrysia szybkość ostatniego ciosu, zdążył pomyśleć, jest piękna...

Srebrna tulejka potoczyła się do jego stóp. Gwałtownym ruchem, mając pełną świadomość, że w ten sposób niszczy zwycięskie piękno Sorainii, nacisnął ją piętą.

Rozległ się delikatny trzask. Ale Lanning nawet na chwilę nie spojrział w dół. Wpatrując się z ogromnym napięciem w Sorainię, ujrzał, że zachwiała się jakby ugodzona strasznym ciosem, w tej samej chwili, kiedy jego obcas zgniótł tulejkę.



Błyszczący miecz wysunął się z jej dłoni, zadzwonił o ścianę kopuły i upadł u stóp Lanninga. Uśmiech triumfu zamarł na jej twarzy. I nagle, w ułamku sekundy, utraciła całą swoją urodę.

Jej zmieniona twarz z pustymi oczodołami, pokryta dziwnymi niebieskawymi wrzodami, wyglądała teraz odrażająco; piękna gładka skóra uległa przerażającemu rozkładowi. Lanningowi wydawało się przez chwilę, że widzi przed sobą nagą czaszkę w lśniącym hełmie, wykrzywioną w straszliwym uśmiechu.

Sorainia znikła.

Szkarłatna kolczuga jeszcze przez chwilę zachowywała kształt, jaki nadało jej ciało królowej. Nagle załamała się groteskowo i z głuchym stukiem upadła na podłogę.

Ozdobiony pióropuszem hełm potoczył się na bok i znieruchomiawszy nagle, zdawał się wpatrywać w Lanninga nieodgadzionym spojrzeniem.

Lanning próbował odwrócić się w stronę Wila McLana, chciał bowiem, by tamten wyjaśnił mu to, co się stało. Ale nagle wszystko zawirowało mu przed oczami, otoczyła go gęsta ciemność, dzwonięcie w głowie stało się ogłuszające, ranna ręka zdrętwiała i stopniowo zaczęło drętwieć całe jego ciało. Kolana ugięły się pod nim.

## Rozdział 16

### RENDEZ-VOUS Z PRZEZNACZENIEM

Lanning leżał pod kryształową kopułą. Spod pokładu dobiegało głośnie dudnienie atomowych konwertorów. Głuchy ból wciąż jeszcze rozsadzał mu czaszkę, a całe ciało wydawało się jedną palącą raną. Ale, o dziwo, przebite mieczem Sorainii ramię już nie bolało.

— Denny?

W ochryłym głosie Wila McLana usłyszał wyraźnie błagalny i zarazem nagły ton.

Lanning zdziwił się, że stary człowiek wciąż jeszcze żyje. Podniósł się z trudem i spojrzał w jego stronę. McLan leżał nadal na podłodze w kałuży ciemnej, krzepnącej powoli krwi.

— Wil! Co mogę dla ciebie zrobić?

— Strzykawka jest w szufladzie — wyszeptał McLan. — Cztery mililitry. Dożylnie...

Lanning pokiwał do pulpitu rozdzielczego. W szufladzie pod nim znalazł strzykawkę i małą ołowianą ampułkę z napisem *Dynatomic Formula L 648. Nowy Jork, sierpień 1935.* W

strzykawkę płyn rozjarzył się zielonkawym światłem. Lanning podwinął McLanowi rękaw, przewiązał chustką obnażone ramię, wbił igłę w nabrzmiąłą żyłę w zgięciu ręki i nacisnął

łtok.

Potem zbadał ranę starego człowieka. Przestała już krwawić. Wyglądała dziwnie, jakby goiła się już przez kilka dni, a nie dopiero parę minut.

— Dzięki — wyszeptał McLan. — Teraz ty. Ale tylko dwa mililitry.

Leżał na wznak na podłodze z zamkniętymi oczami. Lanning zrobił sobie zastrzyk w ramię i poczuł gwałtowny przyływ energii życiowej. Jego przytępione zmysły odzyskały ostrość. Wciąż był śmiertelnie zmęczony, nadal bolała go poraniona głowa, doznawał jednak tego samego uczucia przyływu sił witalnych, jakiego doświadczył już raz na pokładzie

„Chroniona”, gdy lekarze Jonbaru wyrwali go z objęć śmierci. Podniósł zardzewiały mały magnes leżący na podłodze obok pustej zbroi Sorainii.

— Czy myślisz...? — wyszeptał chrapliwie. — Czy uda nam się umieścić to teraz we właściwym miejscu?

— Jeśli konwertor wytrzyma. — McLan, chwiejąc się na nogach, z wysiłkiem stanął za sterem. — Glarath wraz z czarnymi potworami będzie pilnował tego miejsca, na swoim statku. Musisz walczyć zupełnie sam przeciwko całej hordzie. Mogę cię tam zawieźć, ale niewiele ci pomogę, bo jestem półżywy.

Dudnienie konwertora stało się szybsze. Dłonie McLana przywarły do przyrządów sterowniczych.

— A Sorainia? Czy to ta tulejka, którą rozbiłem...? Wil, co stało się z Sorainią?

Stary człowiek odwrócił się. Ściskając ster obydwoma rękami, spojrzał przeciągle na Lanninga. W jego oczach nie było już nienawiści — Denny dostrzegł w nich tylko ból i smutek.

— Jej życie zależało od tej srebrnej tulei — szepnął. — Nosilem ją przy sobie przez te wszystkie lata. Ale nigdy nie mogłem się zdobyć na to, by ją zniszczyć.

— Jej życie? — zdumiał się Lanning. — Ale przecież nic jej nie dotknęło w chwili, kiedy zniszczyłem tuleję.

— Myślała że jest nieśmiertelna — powiedział McLan, w jego głosie zadźwięczał

prawdziwy ból. — Kiedy przeszukiwała swoją przyszłość, nie znalazła godziny śmierci. Bo ta godzina znajdowała się w jej przeszłości! W owym roku gdy zasiadła na tronie, Błękitna Śmierć nawiedziła Gyronchi. Była to plaga wirusów-mutantów wytworzonych przypadkowo przez tych samych uczonych, którzy wyhodowali znane ci istoty; pół ludzi, pół mrówki. Ona właśnie zabiła Sorainię.

— Ale... — Lanning patrzył na niego niepewnym wzrokiem. — Nie rozumiem!

— Kiedy wydostałem się z lochów Sorainii, postanowiłem ją zniszczyć — powiedział

Wil. — Z pomocą promienia czasu przeszukałem jej przeszłość chcąc odnaleźć węzeł

prawdopodobieństwa. I znalazłem go w roku Błękitnej Śmierci.

Widzisz, kapłani *gyrane* spreparowali kilka dawek skutecznej antytoksyny. Kiedy Sorainia zachorowała, Glarath pośpieszył do jej pałacu z ostatnią ampułką surowicy, żeby uratować jej życie. Jak ujawnił analizator, Sorainia musiałaby umrzeć, gdyby ta ampułka została zniszczona, zanim dotarłaby do niej. Więc przeniosłem się „Chronionem” do roku zarazy i zabrałem ampułkę.

— Rozumiem! — Lanning skinął głową. — To było tym samym, co zabranie magnesu po to, by zniszczyć Jonbar.

— Niezupełnie — odparł Wil McLan. — Magnes zabrano tak daleko w głąb do skomplikowanej przyszłości Gyronchi, że jego geodezy zostały bardzo naciągnięte i w końcu pękły w miejscu, gdzie znajdował się istotny węzeł, skutkiem czego Jonbar został usunięty z pięcio-wymiarowego porządku rzeczy.

Ja tymczasem zabrałem tę ampułkę z powrotem w przeszłość Sorainii. Geodezy nie zostały nigdy do końca zerwane i ciągle istniała możliwość ponownego połączenia ich w węzle. Dopóki zatem ampułka pozostawała nietknięta, istniała wciąż możliwość, że Sorainia będzie nadal żyła. Ale kiedy rozbijając ampułkę, wylałeś surowicę, ta możliwość została prze-kreślona.

— Ale jeśli... — Lanning spojrzał na McLana szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

— Jeśli Sorainia umarła jako młoda dziewczyna, to jak mogła być królową? Czy kobieta, która więziła ciebie, ścigała mnie, walczyła przeciwko naszemu legionowi — nigdy w ogóle nie istniała?

McLan, widząc jego zdumienie, uśmiechnął się słabo.

— Pamiętaj, że mamy do czynienia wyłącznie z prawdopodobieństwami. Współczesna fizyka wyeliminowała z naszego świata absolutną pewność. Jonbar i Gyronchi, obie Sorainie, żywa i martwa, są niczym więcej jak wzajemnie wykluczającymi się możliwościami, nieobecnymi jeszcze w piątym wymiarze. Rozbite ampułki po prostu zmieniło czynniki prawdopodobieństwa, oddziałując na możliwe losy Sorainii.

W jego oczach zabłyśły łzy. Spojrzał na szkarłatną kolczugę, ozdobiony pióropuszem hełm i złoty miecz.

— Ale dla mnie ona była prawdziwa — westchnął ciężko. — Zbyt prawdziwa.

— A te rany? — zapytał nagle Lanning. — Jak mogła je zadać kobieta, która nie istnia-

ła?

— Kiedy zostały zadane, istniało prawdopodobieństwo, że będzie żyła — szepnął Wil McLan — i zużyto mnóstwo energii atomowej, ażeby poprzez pole czasu dopasować nasze prawdopodobieństwo do jej prawdopodobieństwa. Ale zobaczysz już wkrótce, że zaczną teraz zanikać ze zdumiewającą

szybkością.

Podniósł oczy na Lanninga.

— Pamiętaj Denny, że logiczne prawa przyczynowe wciąż obowiązują, z jednym tylko wyjątkiem. Absolutna sekwencja wypadków w piątym wymiarze nie jest paralelna z czasem, chociaż nasze trójwymiarowe umysły zwykle postrzegają ją jako taką. Taka nienaruszalna progresja pozostaje jednak niezmienną ramą całego Wszechświata.

Powykrzywianymi palcami dotknął zardzewiałego magnesu w dłoni Lanninga.

— Ta nadrzędna wobec czasu progresja — ściszył swój pośpieszny szept — wymazała teraz na zawsze możliwość istnienia królowej Sorainii. Sekwencja wydarzeń nie ustaliła jeszcze natomiast losu Jonbaru i Gyronchi. Wciąż jednak przewaga jest po stronie Gyronchi.

Drżącą ręką ścisnął ramię Lanninga.

— Już wkrótce nastąpi ostatnia, decydująca rozgrywka — szepnął. — Nasze zwycię-

stwo, prawdopodobieństwo zaistnienia Jonbaru, zależy wyłącznie od ciebie, Denny. Wynik tego pojedynku zostanie wkrótce wpisany na zawsze w piąty wymiar.

Odwrócił się i chwycił ster.

„Chronion” sunął szybko wzdłuż szlaku geodez. Wreszcie na tarczach przyrządów pojawiła się data: dwunasty | sierpnia 1921 roku, godzina 17.49. McLan podniósł drżącą rękę ostrzegawczym gestem i szepnął do interfonu.

— Gotowe, Denny! Oni będą czekali!

Lanning usiłował dojrzeć coś poprzez wirujące mgły czasu. Włożył na siebie zbroję Sorainii, licząc na to, że ten podstęp pozwoli mu zyskać kilka bezcennych chwil. Czarny pióropusz królowej kołysał mu się nad głową, w ręku trzymał jej złoty miecz, ale urządzenie, które wyrzucało śmiertelny błękitny promień, było zepsute albo też wyczerpało się coś, dzięki czemu działało. Wilgotnymi dłońmi ścisnął zardzewiały magnes, który powinien zostać umieszczony z powrotem na swoim miejscu w przestrzeni i czasie.

Czekając na tę ostatnią walkę, Lanning zastanawiał się nad paradoksem: chociaż w długim wyścigu przez stulecia wyprzedzili statek czasu Glaratha, nawet przy największej szybkości nie mogli pierwsi dotrzeć do celu. Kiedy dudnienie konwertora ucichło, ścisnął

mocniej miecz w dłoni.

„Chronion” znów wynurzył się z błękitnej mgły i wpłynął do cichej kotliny w Ozarks.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak Lanning widział poprzednio w chronoskopie: nie spiesząc się, obdarty chłopiec prowadził dwie chude krowy skrajem kamienistego pastwiska w stronę

zrujnowanej farmy, a obok niego biegł wychudzony żółty pies.

Wszystko, z wyjątkiem tego, że teraz obok ścieżki spoczywał na ziemi potężny statek czasu z Gyronchi, niby wojenny okręt, który osiadł na mieliźnie. Glarath, na swoim wysokim pokładzie, przypominał wielki czarny posąg. Lufy wyrzutni promieni *gyrane* sterczały gro-

źnie z otworów działowych. Horda potwornych wojowników zeszła ze statku i utworzyła mur wokół miejsca, w którym miał zostać umieszczony magnes.

Pogwizdując beztrosko, chłopiec zbliżał się powoli — dzieliło go jakieś dwadzieścia metrów od owego miejsca, ale z pewnością nie widział ani statku, ani potworów. Jedna z krów przeszła spokojnie przez antropoidalnego potwora. McLan podszedł do Lanninga, który czekał na dogodny moment, by skoczyć w dół z pokładu, i wyjaśnił mu:

— Nie, ten chłopiec, John Barr, nie będzie sobie zdawał sprawy z naszej obecności.

Chyba że skierowalibyśmy w jego kierunku pole czasu. Jego życie jest już bowiem prawie zupełnie zdeterminowane przez postępującą progresję piątego wymiaru. Dla niego jesteśmy jedynie mglistymi fantomami prawdopodobieństwa. Podróżujący pod prąd strumienia czasu mogą oddziaływać na przeszłość tylko na specjalnie wybranych węzłach i w dodatku tylko pod warunkiem, że dysponują niesamowitą energią, niezbędną do przeciwdziałania bezwładności prawdopodobieństwa całego continuum. Glarath i Sorainia zużyli olbrzymie ilości energii atomowej, zdolne zniszczyć całe kontynenty, tylko po to, aby usunąć magnes ze ście-

żki, którą kroczy John Barr.

Trzymając magnes w jednej, a miecz w drugiej dłoni, Lanning opuścił się na ziemię.

Potknął się o skałę, upadł na kolana, podniósł się z powrotem na nogi i popędził w kierunku wrogiego statku czasu i hordy potwornych wojowników, wyprzedzając włokącego się chłopca.

Biegając, wymachiwał złotym mieczem starając się jak najwierniej imitować charakterystyczne gesty Sorainii. Glarath ze swego mostku pomachał ręką w jego stronę. Ale kiedy Lanning poślizgnął się znowu, po czym wyprostował z wysiłkiem, ruchem zupełnie pozbawionym gracji, tak charakterystycznej dla Sorainii, czarny kapłan zeszywniał zaniepokojony.

Potężnym chrapliwym głosem rzucił komendę i ściana potworów ożyła nagle, zabłysły żółte topory i szkarłatne karabiny. Gruba, czarna lufa wyrzutni skierowała się w dół.

Strumień promieni atomowych uderzył w skałę obok Lanninga. Granit eksplodował, stopiony kamień splamił szkarłatną koleczugę. Rozżarzony odłamek skały trafił go w policzek, Lanning poczuł straszny ból i jednocześnie swąd własnego, palącego się ciała.

Chłopiec tymczasem doszedł do miejsca, w którym stali szeregiem potworni wojownicy. Lanning zadrżał, ogarnęła go rozpacz. Za parę chwil John Barr podniesie kamień lub magnes i losy dwóch światów rozstrzygną się raz na zawsze.

Duszając się od gorzkiego białego dymu, Lanning wciągnął w płuca haust czystego powietrza i popędził naprzód. Drugi oślepiający wybuch tuż za nim zmienił fragment skalistego podłoża w dymiącą lawę. Biegł dalej, był zbyt blisko szeregu czarnych wojowników, by promienie *gyrane* mogły go dosięgnąć.

Szkarłatne karabiny uniosły się, zagrzmiała głośna salwa. Pociski nie przebiły kolczugi, ale od ich potężnych uderzeń niemal utracił przytomność. Jedna z kul trafiła w nie osłoniętą hełmem szczękę i w szyję. Czerwone krople spadały na purpurową kolczugę. Wraz z krwią wypluł wybity ząb i pokuśtykał dalej.

Wojownicy podnieśli wysoko żółte topory. Ścisnął mocniej w dłoni miecz Sorainii i ruszył na nich. Przez moment sądził, że na widok zbroi martwej królowej potwory rozpierzchną się przerażone. Gdy jednak Glarath rzucił z góry komendę, wszystkie runęły na Lanninga z wściekłą furją.

Złote ostrza dziurawiły jego kolczugę. Podniósł miecz Sorainii i przebił błyszczącą twardą krtąń któregoś z potworów. Czerwony karabin uderzył w jego wyciągnięte ramię.

Pękająca kość chrupnęła krótko i ramię zwisło bezwładnie. Przycisnął magnes do piersi i parł dalej do przodu.

Posypały się nań ciosy ze wszystkich stron. Topór przeciął mu szyję na styku hełmu i kolczugi. Struga gorącej krwi spłynęła w dół po ciele, a jego kończyny zmartwiały.

Strach przed Sorainią zakodowany gdzieś głęboko w mózgach potworów sprawił, że teraz bały się dotykać jej zbroi. Dzięki temu Lanning, mimo że był straszliwie poraniony i potłuczony — zdołał jakoś przedrzeć się pomiędzy nimi do kwadratowego zagłębienia, które-go strzegły.

Zobaczył obdartego chłopca, który pogwizdując beztrosko przeszedł leniwym krokiem przez szeregi olbrzymów w towarzystwie wygłodniałego psa. Dostrzegł błysk kamyka, trój-kątny ślad w glinie w miejscu, gdzie kiedyś leżał magnes, nie dalej jak dwa kroki od stopy chłopaka. Jeszcze sekunda...

Słaniał się. Wszystkie siły uchodziły zeń gwałtownie wraz z czerwoną strugą płynącą ze zranionej szyi. Kolejny bezlitosny cios, druzgocąc mu ramię i odejmując czucie w ręce trzymającej magnes, rzucił go na ziemię. Oczy zaszyły mu mgłą. Padając zobaczył obok siebie, lub wydawało mu się, że zobaczył, jakąś wspaniałą postać. Poważna, pełna dostojeństwa twarz wynurzyła się z opalizującego obłoku. Nieznajomy popatrzył na niego i dreszcz przeszedł po plecach Lanningowi pod wpływem tego spojrzenia. Usłyszał spokojny głos, a może była to tylko halucynacja.

— Odwagi, Denny Lanningu!

I mężczyzna zniknął.

Lanning wiedział, że to był jeden z *dynonów*, przyszłych mieszkańców Jonbaru. Już samo jego spojrzenie złagodziło ból, wróciło życie w zmartwiałe kończyny. Glarath wydał

jednak następną komendę. Tłum olbrzymich potworów runął na Lanninga. A nieświadomy niczego

chłopiec schylał się po kamień.

Lanning rzucił się do przodu próbując umieścić magnes na jego właściwym miejscu.

Żółte ostrze przeszło mu ramię, nieme potwory przywały go do ziemi, ale magnes, wypchnięty ostatkiem sił z dłoni, upadł tam, gdzie wciąż jeszcze widniał trójkątny ślad, tam, gdzie kiedyś leżał.

Błysk zainteresowania pojawił się w oczach chłopca, objął dłonią kawałek stali. W tej samej chwili cuchnące kwasem potwory, przygniatające ciało Lanninga, znikły nagle.

Czarny statek zadrżał i rozwiął się jak dym.

Pogwizdując cicho John Barr podniósł magnes za przywarty do niego zardzewiały gwóźdź. Powędrował w dół, ku zagrodzie, prowadząc swoje dwie łaciate krowy przez niewidzialny kadłub „Chroniona”.

Dennis Lanning leżał nieruchomo obok ścieżki. Zdawał sobie sprawę z tego, że umiera.

Ale wiedział też, że Jonbar zwyciężył.

Gasnącymi oczyma wpatrywał się w „Chroniona”. Nic wierzył, że Wil McLan zdąży dotrzeć doń przed jego śmiercią, a mimo to kołatała się w nim jeszcze nadzieja, że może jednak... Lecz statek czasu nagle znikł. Lanning leżał na wzgórzu, zupełnie sam, w blasku zachodzącego słońca.

## Rozdział 17

### ŚWIATY, KTÓRYCH NIGDY NIE BYŁO

To musiał być sen; obok niego stała Lethonee. Wysoka i wyprostowana, w tej samej białej szacie, którą tak dobrze pamiętał, z wielkim, jasnym kryształem czasu w dłoniach.

— Dziękuję, dziękuję, Denny Lanningu. — Jej niski głos łamał się i drżał. — Chcę ci wyrazić wdzięczność w imieniu Jonbaru za to, co zrobiłeś, czego nikt inny nie mógłby dokonać.

Lanning, obezwładniony chłodem przenikającym jego ciało, nie mógł wymówić nawet słowa. Widział jednak jej fiołkowe oczy lśniące od łez i słyszał głos podobny do szlochu.

— Nie umieraj, Denny, wracaj do mnie, do Jonbaru!

Nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Lethonee znikła.

Wiedział, że umiera samotnie na tym wzgórzu.

Nagle przyśnił mu się nowy sen, jeszcze bardziej zdumiewający. Był na „Chronionie”

— leżał w łóżku, w czystej pościeli, w małym szpitalu o zielonych ścianach, a kiedy budził

się co pewien czas, widział pochylonych nad sobą wspaniałych lekarzy Jonbaru. Dzięki ich cudownej wiedzy i zdumiewającym umiejętnościom jego ciało stało się znów mocne i zdrowe.

To musiał być sen. Bo na łóżku naprzeciwko siedział Willie Rand przyglądając mu się z uśmiechem jasnymi, zdrowymi oczyma. Willie Rand! Dzielny Willie Rand, który, choć oślepiiony, stanął do walki przeciwko potwornym wojownikom i zginął jak bohater. Zaciągnąwszy się papierosem wypuszczał z ust kółeczka dymu i przyglądał się im z zadowoleniem.

— Sie masz, kapitanie Lanningu! Zapalisz?

Oszołomiony Lanning wyciągnął odruchowo dłoń po papierosa. Nie czuł bólu w złama-nej ręce. Nie dowierzając, ponownie poruszył palcami i wlepił wzrok w Willie'ego Randa.

— Co się stało? — zapytał zdumiony. — Myślałem, że byłeś... byłeś ślepy i martwy.

Mnie zresztą też sprzątnęli...

— Tak jest, kapitanie. — Rand wypuścił białą chmurkę i uśmiechnął się spoza niej. —

Wygląda na to, że wszyscy umarliśmy dwukrotnie. Teraz jednak formujemy następną paczkę i będą w niej też wszyscy z wyjątkiem biednego McLana.

— Z wyjątkiem...? — Lanning zapatrzył się w obłoczek dymu, tak jakby to była błękitna mgła czasu. — Jak...

Wtedy dał się słyszeć stukot na schodach. Barry Halloran i Emil Schorn schodzili nimi w dół dźwigając nosze. Za nimi kroczyło dwóch lekarzy z Jonbaru, a trzeci pchał przed sobą stół z instrumentami. Położyli spowity w bandażu ludzki kształt delikatnie na łóżku. Lanning dostrzegł błysk strzykawki i migotanie małych igieł, promieniujących dziwnym, obdarzonym uzdrowicielską mocą światłem.

— To ten mały Angol, Duff Clark — powiedział Willie Rand. — Niewiele brakowało, żebyśmy go stracili na zawsze. W drodze powrotnej wyszedł na pokład, no i w pewnym sensie, rozumiesz, jakby zagubił się w prawdopodobieństwie i w czasie. Długo trwało, zanim rozplątaliśmy geo... geodezy. Był nieźle przypalony promieniami *gyrane*, tymi samymi chole-rnymi promieniami, które wypaliły mi oczy. Ale myślę, że te konowały pozszywają go na nowo.

Lanning usiadł niepewnie na brzegu swego łóżka. Teraz dostrzegł go Barry Halloran.

Barry, znów żywy! Jego pogodna, piegowata twarz rozjaśniła się radosnym uśmiechem.

— Denny, stary! — Podeszedł, żeby uścisnąć rękę Lanninga. — Był już najwyższy czas, abyś pojawił się żywy!

— Powiedz mi, Barry — Lanning ożywiony nagłą nadzieją, drżąc na całym ciele, wpił

się palcami w jego silną dłoń — jak to wszystko się stało? Czy my... czy my? — Nerwowo przełknął



ślinę. — Czy możemy jechać z powrotem do Jonbaru?

Uśmiech zgasł na twarzy Barry'ego.

— Wil to sprawił — powiedział. — To była ostatnia rzecz, jakiej dokonał. Zostawił cię tam, gdzie umieściłeś ten magnes, i skierował „Chroniona” w stronę Jonbaru. Był martwy, gdy tam dotarł, i w takim stanie, że nasi przyjaciele, mimo całej potęgi swej wiedzy, okazali się bezradni, nie potrafili go wskrziesić.

Olbrzym odwrócił na moment głowę.

— Wil wiedział, że się kończy — mówił dalej ochrypłym głosem. — Nastawił automa-tyczny przełącznik tak, by „Chronion” zatrzymał się w Jonbarze. Nowa załoga przywiozła z powrotem tych lekarzy, aby wciągnęli nas na pokład i przywrócili nam życie. Niezła robota...

jak myślę...

— Lethonee? — szepnął Lanning gwałtownie. — Czy moglibyśmy?...

— Ach! — pozdrowił go głośnym okrzykiem Emil Schorn. Uderzył swą ogromną łapą w dłoń Lanninga. — *Ja, Denny!* Jonbar to jest Walhalla! Miejsce, gdzie mężczyźni walczą i umierają; walczą i umierają znowu! A Sorainia...

W jego głosie dało się słyszeć lęk i podziw.

— *Die rote* królowa wojny! Ach, walkiria. Okrutna, ale za to jaka piękna. Takiej jak ona nie ma w Jonbarze, *nein*.

— Jonbar? — zapytał szeptem Lanning. — Czy tam jedziemy?

— Ach, *ja!* W naszym własnym czasie jesteśmy wszyscy *kaput*. Ale *der Herren doktors* znajdą dla nas miejsce tutaj. Możemy nawet znowu walczyć za Jonbar. — Jego twarz rozja-

śniła się. — Ach, *heil* Walhalla!

„Chronion” wypłynął z mgieł czasu na jasne niebo Jon-baru. Lanning, już całkowicie zdrowy, stał przy barierce na pokładzie. Był pogodny wiosenny poranek. Słońce oświetlało łagodnym blaskiem wysokie srebrne pylony. Barwnie odziane tłumy płynęły przez zielone parki, tarasowe ogrody i po szerokich wiaduktach — mieszkańcy miasta spieszyli powitać

„Chroniona”.

Poharatany, niewielki statek czasu opadał powoli nad nimi. Powracający z przeszłości mężczyźni, rozpromienieni choć milczący, w swoich zniszczonych, wyblakłych, dziwnie dobranych mundurach — załoga straszdeł, jak to określił Barry Halloran — zgromadzili się przy relingu, machając radośnie rękami.

Cały legion, wszyscy znowu żywi! Schorn i Rand, i Duffy Clark, smagły Cresto, powa-

żny Barynin i uśmiechnięty Lao Meng Shan. Dwaj szczupli Kanadyjczycy, Isaac i Israel Enders. Courtney-Pharr, Erich von Areth i Barry Halloran. Elegancki mały Jean Querard usa-dowił się dość ryzykownie na relingu, przepowiadając sobie raz jeszcze powitalne przemówienie.

Przy sterze pod kopułą stał tym razem jeden z naukowców z Jonbaru. Wielkie drzwi otworzyły się w ścianie znajomo wyglądającej wieży. „Chronion” przepłynął przez nie i zatrzymał się w wielkim hangarze przy przeznaczonej dlań platformie, otoczonej podnieconym tłumem. Jean Querard dumnie wyprostował pierś. Stuknąwszy palcami w reling, poprosił

gestem o ciszę.

— *C'est bon* — zaczął swoim wysokim głosem. — *C'est tres bon...*

Wciąż jeszcze pełen niedowierzania, drżąc z niecierpliwości, Lanning przesunął się obok niego i wmieszał w tłum. Odnalazł windę. Uniosła go do góry i po chwili zatrzymała się przy tym samym ogrodowym tarasie, gdzie kiedyś jadł obiad z Lethonee.

Przystanął na moment między pachnącymi, okrytymi białym kwieciem krzewami, aby złapać oddech. Jego spojrzenie powędrowało ku zielonym parkom, które rozciągały się daleko w dole, docierając aż do brzegów toczącej spokojnie swe błękitne wody szerokiej rzeki. I naraz uświadomił sobie coś, co przeszło jego serce gwałtownym bólem.

Ta wielka rzeka była tą samą rzeką, którą płynęła przez Gyronchi. Ogromne pylony stały tam, gdzie kiedyś, jak pamiętał, leżały liche wioski. Największy spośród nich wznosił

się na tym samym wzgórzu, które wieńczyła ongiś czarna świątynia *gyrane*.

Ale gdzie znikło drugie wzgórze, na którym stała czerwona twierdza Sorainii? Zesztywniał raptownie, bo nagle zdał sobie sprawę, że stoi na nim teraz wieża Lethonee. Zacisnął

mocno dłonie na poręczy balustrady, spojrzał w dół, ku miejscu, gdzie przy niewielkim stoliku siedział z Lethonee w tę straszną noc, kiedy Jonbar zniknął. Zadrżał i wstrzymał oddech, bo oczami wyobraźni ujrzał Sorainię; olśniewająco piękna pojawiła się znowu w swojej złotej muszli, aby kpić z niego, tak jak czyniła to owej nocy. Łzy przesłoniły mu oczy, a ból żelazną obręczą ścisnął serce.

— Och, wspaniała... zgładzona Sorainia!

Za ścianą kwitnących krzewów dały się słyszeć lekkie kroki i ktoś zdyszczanym głosem wykrzyknął jego imię. Lanning powoli podniósł głowę. Zamarł oszołomiony.

— Denny Lanningu!

Lethonee biegła pomiędzy kwiatami w jego stronę. W jej fiołkowych oczach lśniły łzy szczęścia, a na

twarzy jaśniał uśmiech niewysłowionego zachwytu. Wstrząśnięty do głębi, niezdolny wymówić nawet słowa, Lanning wybiegł jej naprzeciw.

W okrzyku, który usłyszał przed chwilą, zabrzmiał bowiem tak dobrze mu znany, drwiący ton. A w oczach Lethonee dojrzał spojrzenie zielonych lśniących oczu Sorainii.

Miała nawet na sobie ciasno dopasowaną suknię z połyskującego metalicznie szkarłatu, która lśniła tak, jak kolczuga Sorainii.

Rzuciła się w jego otwarte drżące ramiona.

— Denny... — załkała ze szczęścia. — W końcu jesteśmy razem.

Jego nowy świat zawirował mu przed oczyma. Na tym samym wzgórzu stała kiedyś twierdza Sorainii. Ale ani Jonbar, ani Gyronchi nigdy naprawdę nie istniały. Rozbieżne drogi prawdopodobieństwa, mające jeden wspólny początek, połączyły się w tej samej rzeczywistości. Lethonee i Sorainia...

— Tak, kochanie... — przygarnął je obie do swego oszalałego serca — razem!

KONIEC

# OSTATNI ZIEMIANIN

## WSTĘP

Gdy otworzyliśmy bungalow, po tygodniowym pobycie na jeziorach, znaleźliśmy w nim nieznanego mężczyznę. Siedział w pracowni przy moim biurku. Nie sposób było okre-

ślić jego wieku. Zapadniętą, szarą, poraną cierpieniem twarz pod długimi, siwymi włosami rozjaśniał dziwny uśmiech. Wychudzona dłoń, spoczywająca obok stosu luźnych żółtych kartek, które z pewnością on sam zapisał, zaciskała się na niezwykłym przedmiocie.

Sprawiał wrażenie żywego jak my wszyscy, jego ciało było jednak dziwnie nieruchome.

— Hej, dzień dobry! — powiedziałem.

I wtedy, widząc jak nadal siedzi sztywno, wpatrzony w blask, którym iskrzył się przedmiot w jego ręce, zorientowaliśmy się, że jest martwy.

Stwierdziliśmy, że był straszliwie poraniony, nie mogliśmy jednak zupełnie zrozumieć, w jaki sposób te rany zostały zadane. Całe jego wymizerowane, pokurczone ciało — tors, szyja i kończyny — było pokryte ciemnoszkarłatnymi pręgami. Tak musiało wyglądać ciało Laokoona zaduszonego przez węże. W bungalowie nie było jednak żadnych węży.

— Ten mężczyzna był torturowany — stwierdził badający go lekarz. — Wygląda na to, że ściskano go bezlitośnie sznurami. Zmiażdżone zostało ciało pod skórą. Ciężkie, wewnę-

trzne rany. Cud, że w ogóle żył jeszcze tak długo!

Zdaniem lekarzy minęło cztery lub pięć dni od czasu, kiedy nieznamy doznał tych ran. Jak ocenił koroner, od chwili jego śmierci do momentu, w którym znaleźliśmy ciało, upłynęło mniej więcej dwadzieścia godzin.

Mieliśmy rzeczywiście szczęście, że wszyscy byliśmy razem na jeziorach i mogliśmy potwierdzić sobie wzajemnie nasze alibi. W przeciwnym razie, w tych niesamowitych okolicznościach, nic uniknęlibyśmy zapewne bardzo nieprzyjemnych podejrzeń.

„Śmierć”, głosił dziwnie brzmiący werdykt zespołu przysięgłych, sformułowany po tym jak wszyscy już zostaliśmy przesłuchani i zbadano okoliczności całej sprawy oraz rękopis i kamień, „nastąpiła w wyniku ran zadanych przez działanie osoby lub r z e c z y nieznannej.” Zarówno życie nieznanego, jak i jego śmierć pozostają zagadką. Szeryf i pomagająca mu policja stanowa nie zdołali go dotąd zidentyfikować. Pod rękopisem widniał podpis niejakiego „Barry'ego Horna”, lecz nie znaleziono jakiegokolwiek wzmianki o zaginięciu mężczyzny o takim nazwisku. Badający go lekarze twierdzili zgodnie, że był typowym współczesnym Amerykaninem; ale nie kryli zaskoczenia zagadkową strukturą komórek, wskazującą na sędziwy wiek u mężczyzny stosunkowo młodego.

Nawet jego ubranie było zagadką. Eksperci od materiałów nie potrafili zidentyfikować ani

delikatnego włókna przypominającego sztuczny jedwab, z którego była zrobiona jego szara bluza, ani tworzywa, z którego uszyto pobrudzony ziemią podarty płaszcz, znaleziony przez nas na kanapie. Twarde błyszczące guziki i sprzączka oraz jasny, miękki materiał jego paska i sandałów wprowadziły w zakłopotanie nawet specjalistów z zakresu chemii syntetycznej.

Broń, którą znaleźliśmy w żółtym futerale przy pasku, zasługuje na wnikliwe analizy naukowe, lecz... naukowcy są wobec niej bezradni jak dzieci. Wygląda jak duży, dziwny pistolet ze szklaną lufą. Mechanizm jest niewątpliwie zepsuty, a wszelkie próby uruchomienia go zakończyły się fiaskiem.

Jak nieznajomy dostał się do bungalowu — jeśli pominąć ten zdumiewający sposób, który sugeruje jego rękopis — nie byliśmy w stanie się domyślić. Przed naszą podróżą nad jeziora dom dokładnie zamknęliśmy i żaden z zamków nic został uszkodzony. Być może jakiś włóczęga mógłby się dostać nie zauważony do pustego domu, argumentował zmieszany sze-ryf, lecz jeśli cokolwiek pewnego da się powiedzieć o Barrym Hornie to tylko to, że nie był

on zwyczajnym włóczęgą.

Tekst rękopisu został napisany moim własnym piórem, na papierze, który nieznajomy znalazł w moim biurku. Praca ta musiała zabrać mu trzy do czterech dni. Lekarze wydawali się zdziwieni, że był w stanie w ogóle ją ukończyć. Musiał to być wyścig z bólem i śmiercią, ponieważ pismo staje się stopniowo coraz bardziej pospieszne i nierówne, a ostatnie strony z trudem dają się odczytać.

Brudne naczynia oraz puste puszki na kuchennym stole wskazywały na to, że nieznany gość przygotował sobie kilka posiłków. Ostatniego z nich nie był już chyba w stanie zjeść, ponieważ jedzenie pozostało nietknięte na talerzu. Spał i odpoczywał prawdopodobnie na kanapie, gdzie leżał jego płaszcz oraz zgnieciony pled.

Musiał szukać czegoś w szafce z lekarstwami, gdyż znaleźliśmy ją otwartą, a butelka po merkurometrze leżała rozbita na podłodze łazienki. Nie wyglądało jednak na to, aby próbował uzyskać jakąś pomoc lekarską. Mój telefon stojący na biurku, przy którym nieznajomy pisał i umarł, był zakurzony i najwyraźniej nie używany.

Z pewnością czuł zbliżającą się śmierć, ponieważ na ostatniej stronie swej historii zaczął pisać testament. Gdyby zdążył go ukończyć, jego polecenia mogłyby wyjaśnić wiele z tej niesamowitej zagadki. W testamencie napisał:

*Do Wszystkich, Którzy to będą czytali:*

*Ja, Barry Horn powróciwszy wreszcie nie z podróży w Przestrzeni i Czasie do mojego ukochanego kraju i epoki, czuję c się wciąż zdrowym na umyśle, lecz ś wiadom nieuchronnie zbliżają się śmierci, spisuję niniejszym tę moją ostatnią wolę i testament.*

*Po pierwsze, muszę przeprosić Carridanów, krewnych mojej zmarłej żony Dony, za nieprzejednaną wrogość, jaką przez całe lata ku nim żywiłem, za to, że odebrali mi, moim zdaniem bezprawnie, mego jedyne go syna.*

*Po drugie, nie znanemu mi wlaś cicielowi tego domu, by wynagrodzić mu jego nieś wiadomą gościnność, zapisuję ten rękopis z wszelkimi wynikającymi stąd prawami. Mam nadzieję, że będzie on opublikowany, co pozwoli ludziom poznać sukcesy i zasady oczekujące ich rasę w dalekiej przyszłości. Chciałbym, aby inni mogli w pewnym stopniu dzielić ze mną*

*miłość, którą żywię wobec Kela Arana, ostatniego człowieka Ziemi, i dwóch wspaniałych, pięknych kobiet: Dondary Keradin, Cienia Kamienia, i Verel Erin, dzielnej Opiekunki Kamienia, umiłowanej Kela. Każde z tych trojga znaczy dla mnie więcej niż ktokolwiek spośród osób, które kiedykolwiek znałem, z wyjątkiem Dony Carridan.*

*Po trzecie, memu jedyjnemu synowi i dziecku, Barry'emu, zapisuję moje ubranie, broń i duży diament, który mam ze sobą — otrzyma je, gdy uwolni się od zbyt zazdrosnej opieki kuzynów jego matki — proszę o go, aby przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji dotyczącej diamentu, który był Kamieniem Dondary, przeczytał załączyony rękopis.*

*Po czwarte, na Wykonawcę tego Testamentu wyznaczam niniejszym mojego starego przyjaciela i adwokata, Petera...*

W tym momencie musiał nastąpić ostatni paroksyzm. Pióro zatrzymało się i wypadło ze sztywniejących palców.

Nie dowiedzieliśmy się, jak brzmi nazwisko mecenasa, nie znaleźliśmy też żadnych wskazówek, które mogłyby nam pomóc w odnalezieniu syna Barry'ego Horna.

Niesłychanie tajemnicza sprawa! Najbardziej fascynującą zagadką stanowi jednak diament, jarzący się niesamowitym mglistym ogniem klejnot o długości dziesięciu centymetrów i wadze tysiąca stu karatów — blisko dwustu pięćdziesięciu gramów! Kamień ten nie miał

nawet najdrobniejszej skazy, poza pojedynczym cieniem, który wywoływał w jego wnętrzu jakieś osobliwe światło, jeśli tego białego ducha można określić jako skazę.

Taki kamień nie ma w ogóle ceny, a z dodatkowym certyfikatem w postaci rękopisu jest skarbem o niewiarygodnej wartości. Chociaż słynny nie oszlifowany Diament Cullinana przewyższa go znacznie rozmiarami, nie znano żadnej wiarygodnej informacji o jakimkolwiek oszlifowanym kamieniu, który miałby choć połowę tej wagi. Kupcy słuchali z wyraźnym niedowierzaniem opisu klejnotu, a ci, co widzieli go na własne oczy, nie chcieli w ogóle określić jego wartości.

— Gdyby liczyć na karaty, miliony! — zakrzyknął jeden ze zdumionych jubilerów. —

Ale żebym ja miał pociąć taki kamień... jak ser... o nie, nigdy! Poczekajcie na jakiegoś księcia, aby oddał w zamian swoje królestwo!

Choć Barry Horn wyraźnie prosił w swym testamencie, o opublikowanie tego rękopisu, wahaliśmy się, czy to uczynić, przede wszystkim z uwagi na fakt, że w całej tej sprawie jest wciąż jeszcze zbyt wiele nie rozwikłanych zagadek. Świat naukowy przyjmie zapewne poni-

ższą historię z ogromnym sceptycyzmem, a jeśli znajdzie ona wiarę w innych środowiskach, należy

się obawiać, że pewni ludzie będą usiłowali zdobyć diament dla siebie.

Ponieważ jednak wszelkie próby, jakie podjęliśmy w celu odnalezienia adwokata i syna Barry'ego Hallorana, zawiodły, opublikowanie manuskryptu uznaliśmy za jedyną szansę na wyjaśnienie tajemnicy oraz znalezienie właściciela klejnotu.

Ktokolwiek posiada jakieś wiadomości o Barrym Hornie młodszym lub zna adwokata jego ojca, proszony jest o natychmiastowe skomunikowanie się z wydawcą.

## **Rozdział 1**

# ASTRONAUTA

— Byłoby to coś w sam raz dla pana, no nie?

Tę ofertę pokazał mi znajomy windziarz w Klubie Odkrywców. Zamieszczona w kolumnie ogłoszeń *New York Standard* z 8 października 1938 roku, brzmiała, jak następuje: *Poszukuje się energicznego męża czynny, który uczestniczył już niejednokrotnie w wyprawach naukowych i dysponuje odpowiednim doświadczeniem. Sprawa dotyczy niebezpiecznego i niezwyklego przedsięwzięcia. Zgłaszać się osobiście dziś wieczorem od 6 do 10. Dr Hilaire Crosno, hotel „Crichton”.*

Wyglądało to dość zachęcająco. Mieszkałem w Nowym Jorku już co najmniej dwa razy za długo niż powinienem. Zawsze kiedy wracałem z długiego samotnego pobytu na pustyni lub w dżungli, pierwsze kilka dni na Broadwayu były dla mnie rajem, ale już następne stawa-

ły się piekłem.

Dałem uśmiechniętemu chłopcu dolara, włożyłem listy uwierzytelniające do koperty, pociągnąłem jeszcze jeden łyk whisky i z uderzeniem godziny szóstej wkroczyłem do błyszczącego chromem holu. Gdy zapytałem o doktora Crosno, wywarło to magiczne wrażenie na wyniosłym urzędniku.

Crosno okazał się dużym mężczyzną o łysej głowie i głęboko zapadniętych, ciemnych, obdarzonych magnetyczną siłą oczach. Grymas na jego ustach wskazywał na jakieś skrywane napięcie, a niezwykle bladeść świadczyła, że pod względem fizycznym znajdował się w fatalnej formie.

— Barry Horn? — W jego głębokim i spokojnym głosie pobrzmiwał jakiś przykry, przerażający ton paniki. Przeglądał moje referencje. — Wydaje mi się, że pańskie kwalifikacje są wystarczające. A pański doktorat?

— Honorowy — powiedziałem. — Za piramidę, którą odkopałem w dżungli w Quintana Roo. — Rozejrzałem się po luksusowo urządzonego pokoju, wciąż usiłując rozgryźć zamiary tego dziwnego człowieka. — Co dokładnie, doktorze, rozumie pan pod słowami

„niezwykłe przedsięwzięcie”?

Wyniośle zignorował moje pytanie. Szare oczy badały mnie uważnie.

— Wygląda na to, że pod względem fizycznym podoła pan zadaniu, musimy jednak przeprowadzić mały egzamin. — Spojrzał na kartkę, którą trzymał w ręku. — Co pan wie o astronomii i nawigacji?

— Zdarzyło mi się żeglować tysiąc mil w kadłubie strąconego samolotu po Oceanie Indyjskim.

Sklonił powoli swą dużą głowę w geście akceptacji.

— Czy mógłby pan wyjechać natychmiast, na czas nieokreślony?

Odpowiedziałem twierdząco.



— Rodzina?

— Mam czteroletniego syna. — W moim głosie musiał zabrzmieć ton goryczy. — Ale moja obecność nie jest dlań niezbędna. Jego matka nie żyje, a jej rodzina przekonała sąd, że włóczykij odkrywca nie jest odpowiednim opiekunem dla małego Barry'ego.

Obraz Dony Carridan, wysokiej, dumnej i pięknej, stanął mi znów przed oczami. Ten jeden rok, który spędziliśmy razem — opuściła po burzliwej scenie swą bogatą rodzinę, aby pojechać ze mną do Mezopotamii — był najszcześniejszym rokiem w moim życiu. Nagle za-drżałem, znów ogarnięty przerażeniem, jak wtedy, po katastrofie tamtego samolotu na pustyni; nasz syn rodzący się w arabskim namiocie; Dona, pozbawiona jakiegokolwiek medycznej pomocy, umierająca w męczarniach...

— A zatem, Horn — spytał Crosno — czy jest pan gotów porzucić nagle wszystko i wszystkich?

— Oczywiście.

Przyglądał mi się przez chwilę, jego dłonie o długich palcach, w których trzymał wciąż jeszcze moje papiery, lekko drżały. Nagle powiedział zdecydowanym tonem:

— A więc dobrze, Horn. Przyjmuję pana.

— Wobec tego — zażądałem znów wyjaśnień — proszę powiedzieć, co to będzie za praca...

— Chodźmy. — Podniósł się z fotela. — Pokażę panu.

Duży, wysłużony samochód wywiózł nas z miasta przez most Washingtona do rozległej, otoczonej lasem posiadłości. W drzwiach ogromnego, starego domostwa, które sprawia-

ło wrażenie zniszczonego jeszcze bardziej niż samochód, przywitał nas odziany w uniform służący.

— Oto moja biblioteka.

Oprowadzając mnie po domu, Crosno zatrzymał się przy drzwiach jednego z pokoi, jakby zapraszając, bym zajrzał do środka. Pod sufitem umocowane było skomplikowane planetarium. Szklane gabloty zawierały modele czegoś, co wziąłem za doświadczalne rakiety.

Gospodarz milcząco wskazał półki z książkami dotyczącymi materiałów wybuchowych, ga-zów, konstrukcji aerodynamicznych, mechaniki niebieskiej i astrofizyki. Zaskoczony spojrze-

łem w stronę Crosno i napotkałem przeszywające spojrzenie jego oczu.

— Tak, Horn — powiedział do mnie. — Będzie pan pierwszym pilotem raketowym.

— Co? — Popatrzyłem na niego zdumiony. — Nie ma pan chyba na myśli przestrzeni kosmicznej?

W tym momencie dostrzegłem nagle wyraz rozpaczony na jego wychudzonej, trupio bladej twarzy.

— Przejdźmy do ogrodu — powiedział.

Noc była chłodna i jasna. Delikatna księżycowa poświata zalewała drzewa i opustoszałe trawniki; na zachodzie Wenus wisiała na niebie jak samotna kropla roztopionego srebra.

Zdumiony wstrzymałem oddech i przystanąłem pełen podziwu.

Wokół fundamentów jakiegoś rozebranego budynku zamontowano wysokie drewniane ściany. Na ciężkiej, betonowej podłodze, błyszcząc w świetle księżyca stał wysoki, jasny cylinder. Rozszerzające się jak dzwony wyloty dysz odrzutowych rzucały w dół ciemne cienie.

Krucha drabina prowadziła co najmniej osiemnaście metrów w górę wzdłuż połyskującej burty do niewielkiego, ciemnego koła luku wejściowego.

— To... — Ogarnęło mnie dziwne, obezwładniające uczucie. — To...

— To jest moja rakieta — powiedział Crosno chrapliwym, zdławionym ze wzruszenia głosem. — „Astronauta”. — Na jego twarzy malował się ból. — Poświęciłem dwadzieścia lat mojego życia, by móc nią polecieć, Horn. A teraz muszę wysłać kogoś innego. Niespodziewana choroba serca... nie zniosłoby przyspieszeń.

Biały, wyniosły cylinder stał się dla mnie nagle czymś przerażającym. Czasami nawiedza mnie szczególne przeczucie, tak jasne i wyraźne, jak nagły uchwyt czyjejś dłoni lub wypowiedziane szeptem ostrzeżenie. Niekiedy lekceważyłem je i potem zawsze w końcu stawa-

łem twarzą w twarz ze śmiercią. Teraz zdawało się ono mówić: „Uważaj, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo.”

Powoli odwróciłem się ku memu gospodarzowi.

— Jestem poszukiwaczem-odkrywcą, panie Crosno, zgadza się — powiedziałem. —

Nieraz ryzykowałem życiem i gotów jestem nadal podejmować to ryzyko. Ale jeśli sądzi pan, że wejdę do tego pańskiego urzędu i pozwolę się wystrzelić na Księżyc...

Dostrzegłem znowu ból na jego wymizerowanej, pozbawionej niemal krwi twarzy i przerwałem nagle w pół słowa.

— Nie na Księżyc, Horn. — Wykonał szybki gest długim ramieniem, a mój wzrok biegnąc jego śladem oderwał się od pocętkowanej księżycowej tarczy i skierował ku zachodowi, w stronę gwiazdy wieczornej. — Na Wenus — powiedział. — Na początek.

Wstrzymałem oddech, patrząc ze strachem w kierunku białej planety.

— Będiesz mógł tam dolecieć, wylądować, spędzić kilka miesięcy i przeprowadzić badania planety, a potem powrócić bezpiecznie na Ziemię podczas następnej koniunkcji —

jeśli dopisze ci szczęście. Zasięg „Astronauty” pozwoli ci na to.

Wpatrywał się we mnie badawczo swymi ciemnymi oczami.

— I cóż mi odpowiesz, Horn?

— Proszę o chwilę do namysłu — powiedziałem. I dodałem: — W samotności.

Wyszedłem z ogrodu, a potem ruszyłem w górę pomiędzy gęsto rosnącymi ciemnymi drzewami, aż wreszcie znalazłem się na odkrytym wierzchołku niewielkiego wzgórza. Jesien-ne konstelacje gwiazd świeciły jasno nade mną, wokół słyszałem ćwierkanie świerszczy, z oddali dobiegał rechot żab, od czasu do czasu docierał do mnie z pobliskich łąk natarczywy zapach kwiatów.

Stałem tam długi czas, wpatrując się w Wenus i gwiazdy. Ziemia, myślałem, nie jest dla mnie przyjazna; od śmierci Dony życie wydawało mi się jedynie pasmem bólu i trudów. A jednak... czy mógłbym ją opuścić, z własnej woli i kto wie na jak długo?

Zmagałem się z myślami, gdy naraz ujrzałem spadający gwiazdę. Niby biały pocisk wyłoniła się z czarnej tajemniczej przestrzeni i leciała płonąc w dół obok Kasjopei i Perse-usza; jej blask obudził we mnie na nowo tę nieokreśloną, lecz niezwykle intensywną żądę poznania, która nie gaśnie nigdy w sercu żadnego naukowca.

W tym momencie wydarzyło się coś, czego nie mogłem zrozumieć. To było jak sen na jawie, sen dziwnie rzeczywisty. Nagle znikły niebo i wzgórze i znalazłszy się w całkowitej ciemności zobaczyłem postać młodej kobiety, śpiącej w długiej kryształowej skrzyni. Jej pię-

kne wysmukłe kształty wydawały mi się boleśnie znajome.

Nie odrywałem od niej wzroku, a ona tymczasem zaczęła się budzić. Spojrzała na mnie wielkimi fiołkowymi, pełnymi lęku oczyma. Uniosła się do połowy, okryta płaszczem ciemnych, połyskujących rudo włosów, a jej głos dotarł do mnie przez ściany kryształowej szka-tuły:

— Barry Hornie! Musisz lecieć!

W następnej chwili obraz zniknął. Znowu słyszałem wokoło miękkie odgłosy nocy, światło księżyca płonęło nade mną, a jesienny wiatr niósł ze sobą zapach łąk. Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca zaskoczony i głęboko poruszony tym, co ujrzałem przed chwilą.

Kobietą spoczywającą w kryształowej skrzyni była niewątpliwie Dona Carridan!

Przywykłem od lat do rygoru racjonalnego myślenia, byłem więc sceptycznie nastawio-ny wobec tego rodzaju wizji. Schodząc ze wzgórza, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie nazbyt intensywnie próbowałem utopić w alkoholu swoją gorzką tęsknotę. To musiała być halucynacja. Jej piękność i lęk, jaki dostrzegłem w jej oczach, były jednak czymś zbyt rzeczywistym, abym mógł uznać wszystko za zwykłe przywidzenie. Wiedziałem, że muszę polecieć.

Wróciłem do Crosno, czekającego na mnie w pobliżu rakiety, aby oznajmić mu swoją decyzję. Coś

jednak ścisnęło mnie za gardło, gdy go pytałem: „Kiedy?” Powiedział, że Wenus wyprzedziła Ziemię na jej orbicie, zbliżając się do dolnej koniunkcji. Według jego obliczeń start powinien nastąpić w najbliższą niedzielę o trzeciej nad ranem.

— Cztery dni — powiedział. — Czy zdążysz się przygotować?

Odparłem, że zdążę. Prawdę mówiąc, miałem bardzo niewiele do zrobienia. Zapakowa-

łem i zdeponowałem parę przedmiotów, które były moją własnością, zadzwoniłem do adwokata i powróciłem, aby poznać przyrządy sterownicze, mechanizmy kontrolne i budowę rakiety.

Crosno wyjaśnił mi, że największe zagrożenie stanowią dla mnie promienie kosmiczne, łatwo przenikające przez powłokę rakiety. Zmusił mnie do zażycia lekarstwa, które miało chronić przed nimi.

— Przygotował je specjalnie dla mnie słynny radiolog — powiedział — według zmodyfikowanej formuły Petriego. Jego podstawę stanowi nowo odkryta sól uranu, która jest, jak się zdaje, mniej trująca niż większość innych soli tego pierwiastka. Próbuje w ten sposób zneutralizować efekt jednego typu radiacji innym.

Lekarstwo miało postać zielonkawego roztworu. Wstrzykiwał mi je w ramię dwa razy dziennie. Jedynym widocznym efektem było gorączkowe podniecenie. Nie mogłem spać, chyba że po długotrwałym, obezwładniającym wysiłku.

Ostatniej nocy, gdy wszystko było już sprawdzone i przygotowane, Crosno odesłał

mnie do mojego pokoju. Daremnie jednak usiłowałem zasnąć i w końcu wymknąłem się z domu. Przez wiele godzin spacerowałem po okolicy. Oświetlony łagodną poświatą księżycy świat wokół mnie zdawał się spać spokojnym snem. Gdzieś daleko zaturkotał nagle i zagwiżdżał pociąg, gdzieś w pobliżu dało się słyszeć szczekanie psa. Powietrze było przesycone zapachem jesieni. Pomału, stopniowo rósł we mnie głuchy żal, że muszę opuścić to wszystko...

całą Ziemię.

Rozmyślałem o Donie. Nagle pretensje, które żywiłem wobec jej rodziny, wydały mi się czymś dziecinnym, pozbawionym sensu i podstaw. Chciałem się pogodzić z tymi ludźmi przez pamięć na Donę i dla dobra małego Barry'ego. Miałem ochotę podnieść słuchawkę telefonu, zadzwonić do nich i porozmawiać z Barrym.

Było już jednak dawno po północy, zbyt późno, aby budzić dziecko. Przypomniałem sobie ów dziwny sen, halucynację czy cokolwiek to było, raz jeszcze ujrzałem na chwilę przed sobą Donę w kryształowej skrzyni. Pchnięty nagłym impulsem ruszyłem w drogę powrotną do domu Crosno. Czekał obok rakiety bardzo zaniepokojony moją nieobecnością.

— Nie mogłem spać — powiedziałem mu. — To cholerne lekarstwo...

— Bałem się... — powiedział głosem pełnym napięcia. — Zostało ci już tylko dziesięć minut.

Wspiąłem się w górę po wątej drabince, wciągnąłem się przez okrągły właz do małego, wypełnionego przyrządami pomieszczenia nawigacyjnego i dokręciłem za sobą śruby przy zamykanej hermetycznie pokrywie. Crosno tymczasem ukrył się w schronie, zabezpieczonym workami piasku.

Starając się nie myśleć o tym, że mam tuż pod sobą olbrzymi zapas materiałów wybuchowych, które z łatwością mogłyby mnie przenieść do królestwa niebieskiego, utkwilem wzrok w podświetlonym chronometrze. Moje zimne dłonie spoczywały, lekko drżąc, na trzech dźwigniach połączonych z trzema silnikami rakiety. W końcu igła wskazówki osiągnęła godzinę startu i pociągnąłem za uchwyty odpalania.

Dźwięk, który nagle się rozległ, przypomniiał ryk miliona tajfunów. Rakieta uniosła się w górę ciężko i powoli jak olbrzymi kowalski młot. Ze swego miejsca widziałem morze błę-

kitnego ognia rozlewające się po ciemnej ziemi. Wkrótce pokryło ono schron, w którym ukrył się Crosno.

W chwilę potem Ziemia pomknęła w dół. Z trudem wytrzymując to piekło ogłuszające-go dźwięku i miażdżącego przeciążenia, ścisnąłem wszystkie trzy dźwignie przez — jak mi się wydawało — całą wieczność. W końcu szybkościomierz wskazał piętnaście kilometrów na sekundę, dostatecznie dużo, aby uwolnić się od przyciągania ziemskiego, i wtedy wyłączy-

łem silniki.

Dziwny spokój zapanował w małym pomieszczeniu. Zupełna cisza i całkowity bezruch

— ponieważ nie odczuwałem w ogóle niesamowitej prędkości rakiety — stwarzały wrażenie zdumiewającego komfortu. Przygotowałem się do odczytania pozycji i kursu.

Wolno odpływająca, rozjaśniona księżycową poświatą Ziemia przypominała dużą okrą-

głą piłkę, umieszczoną wśród gwiazd. Księżyc wyglądał jak dziwna, w połowie oświetlona, w połowie czarna planeta dryfująca obok mojego szlaku. Spoza Ziemi wyłoniło się wreszcie Słońce tak niesamowicie jasne, że musiałem zasunąć metalowe ekrany i przysłonić iluminatory od jego strony.

Długo szukałem Wenus, która także była ukryta podczas startu. Dostrzegłem wreszcie jasny, niewielki punkt i z trudem rozpoznałem w nim inny świat biegnący mi na spotkanie z jeszcze większą szybkością, niż moja rakieta pędziła w jego stronę. Szukałem właśnie seksta-nsu, suwaka i tablic, aby określić i skorygować kierunek mojego lotu, gdy po raz pierwszy poczułem mrowienie w całym ciele. Przeniknął mnie niesamowity ból — jak gdyby żywy ogień przepalał wszystkie moje wewnętrzne tkanki.

Zrozumiałem, że musiały to być promienie kosmiczne; miałem do czynienia z owym intensywnym, przenikającym przestrzeń promieniowaniem, przed którym Ziemia chroniona jest kilometrami swej atmosfery. Być może nie przyjąłem dostatecznie dużej ilości lekarstwa, które dał mi Crosno. Zdrętwiałymi palcami odnalazłem małą, przymocowaną do ściany strzykawkę i wstrzyknąłem sobie jeszcze jedną, pokaźną dawkę w ramię.

— No, to teraz już nie zasnę — zamruczałem do siebie. — Przez najbliższy milion kilometrów!

Znów sięgnąłem po sekstans. Biała plamka Wenus, odległa o pięćdziesiąt milionów kilometrów, wydawała się niewiarygodnie mała. Wiedziałem, że przy najmniejszym odchyleniu mogę się oddalić o tysiące kilometrów od celu, poszybować ku Słońcu i spłonąć w jego bezlitosnym, piekielnym żarze.

Dziwna, śmiertelna odrętwiałość zastąpiła mrowienie. Poczułem nagle przemożną senność. Zmęczenie ostatnich dni i bezsenne noce dały wreszcie znać o sobie.

Wiedziałem, że nie powinienem spać; z pewnością nie wolno mi było zasnąć przed wyznaczeniem i skorygowaniem kursu „Astronauty”. Nawet minutowa zwłoka mogła okazać się fatalna w skutkach. Nieruchomiejącymi rękami starałem się za wszelką cenę wyzerować sekstans, tocząc w istocie rozpaczliwą walkę.

Instrument wysunął się jednak z moich dłoni. Lekarstwo, pomyślałem. To jakaś reakcja na promienie kosmiczne; efekt, którego Crosno nie przewidział. Uciekająca... Wenus...

Spałem.

## Rozdział 2

### PODOBÓJ GWIAZD

Uran to dziwny pierwiastek, nie do końca poznany. Najcięższy z naturalnych, jest ojcem tuzina innych, nawet magicznego radu. Jego radioaktywne atomy rozpadają się, tworząc szereg innych pierwiastków, czynią to jednak tak powoli, że przez cztery i pół miliarda lat jedynie połowa masy uranowej zużywa się w ten sposób.

Zażyte przeze mnie lekarstwo musiało zawierać sól uranową, która spowodowała sen.

Na początku była tylko czarna ciemność.

Potem wydobył się z niej niski, czysty głos, tak dobrze mi znajomy głos Dony Carridan i kobiety z kryształowej skrzyni. Usłyszałem gwałtowne wołanie:

— Barry! Obudź się, Barry Hornie!

Uwalniając się stopniowo od dręczącego strachu powracałem, jakby nie w pełni będąc sobą, ku granicy świadomości. Było to coś, czego nie doświadczyłem nigdy przedtem, rodzaj percepcji, która mogła się stać udziałem uwolnionego od ciała intelektu; a jednak miałem dziwne uczucie, że to, co odbieram, dociera do mnie poprzez głos, który mnie wzywał.

Pamiętam, że czytałem o słynnym parapsychologicznym eksperymencie Rhine'a. To, co docierało do mojego uspiętego mózgu, musiało być efektem tego samego zjawiska, które on nazywał pozazmysłową percepcją, niezależną od nerwów i organów zmysłowych, nawet od odległości i czasu.

Zjawisko dotyczyło wyłącznie myślenia. Czuję, że moje nieruchome ciało leży rozcią-

gnięte dziwnie na pulpicie sterowniczym cichej, pędzącej rakiety. Ale jednocześnie to sztywne ciało przestało być częścią mnie samego; było teraz dla mnie czymś całkowicie obcym, zupełnie tak jak odmierzający czas chronometr lub zimne rury raketowych dysz.

Ta zdumiewająca percepcja nie miała nic wspólnego z normalnym czuciem, słyszałem lub widziałem, i wiedziałem, że była sterowana przez inny umysł. Stopniowo rozszerzała się

— obszar objęty moją świadomością rósł z każdą chwilą. Wkrótce przekroczyła granice kabiny. Widziałem Wenus i wiedziałem, że rakieta nie leci w jej kierunku.

„Astronauta” nurkował w kierunku Słońca!

Ogarnięty dziwnym, nieokreślonym niepokojem próbowałem poruszyć mym ciałem, usiłując przynajmniej poprawić kurs rakiety, wszelkie próby okazały się jednak bezskuteczne.

Wkrótce w ogóle zapomniałem o niebezpieczeństwie, zachwycony cudem tej nowej percepcji.

Gdyż r z e c z y w i ś c i e minąłem Wenus!

Wiedziałem, że Crosno pozostawił mi osiemdziesiąt dziewięć dni na osiągnięcie jej orbity. Już teraz jednak osłonięta chmurami planeta pobłyskiwała poza mną, wciąż oddalając się coraz bardziej, szybko jak srebrny cień.

Minęły trzy miesiące!

Za chwilę, pomyślałem, rakieta spadnie na Słońce! Nie! Być może, dzięki nadanemu jej początkowemu momentowi bezwładności, przeleci obok... Gwiazda dzienna jaśniała w ilumi-natorze jak olbrzymie ogniste koło. Rakieta leciała obok niej jak uwiązany na sznurze kamień.

I jak kamień, kiedy sznur pęknie, wystrzeliła nagle ponownie w przestrzeń.

Zdumiewająca prawda powoli dotarła wreszcie do mnie...

„Astronauta” stał się kometa!

Podczas gdy moje ręce spoczywały bezwładnie na dźwigniach kontrolnych, jakiś kaprys niebieskiej mechaniki wyrzucił raketę na orbitę eliptyczną. „Astronauta” był teraz zapieczę-

towanym grobowcem lecącym poprzez pustkę jak legendarna trumna Mahometa... miał teraz pojawiać się wciąż od nowa na orbicie słonecznej, oddalać się, znów spadać... w nieskoń-

czoność!

I rzeczywiście cały ten cykl powtarzał się dokładnie tak, jak przewidziałem.

Wiedziałem, że mijają lata. Czas biegł przeze mnie jak rzeka. Odczuwałem wirowy ruch planet, ich miarowy taniec po orbitach. I nadal byłem zachwycony zakresem i jaskrawo-

ścią wrażeń odbieranych dzięki mej nowej intuicji.

Gdy pomyślałem na przykład o Crosno, który pozostał na Ziemi, zobaczyłem nagle jego posiadłość w pobliżu Hudson, tak wyraźnie, jakbym znalazł się tuż ponad rosnącymi tam drzewami. Stary dom wyglądał na jeszcze bardziej zrujnowany niż wtedy, gdy go zobaczyłem po raz pierwszy. W parku stał wysoki, biały pomnik, na którym przeczytałem: *Hilaire Crosno, 1889-1961*.

Sześćdziesiąty pierwszy!

Minęło już ponad dwadzieścia lat od czasu, gdy opuściłem Ziemię, a wydawało się to tylko niewielką chwilką! Na moment zastygłem zaskoczony. Potem gorączkowo zapragnąłem się dowiedzieć, co w ciągu tych lat stało się z moim synem. I dzięki nowej, tajemniczej percepcji zobaczyłem go.

Był już starym człowiekiem, wolnym krokiem przechadzał się po ogrodzie. Obok niego, dostosowując się do jego tempa, szli: wysoki młodzieniec i jasnowłosa dziewczyna, Wiedzia-

łem, że są to jego dzieci. Dziewczyna chwyciła brata za ramię, błagając go gwałtownie:

— Barry, nie wolno ci... nie możesz! To jest zbyt niebezpieczne! Zginiesz w Kosmosie... jak dziadek!

— Ależ siostrzyczko! — protestował szczupły, młody Barry Horn. — Ty nic nie rozumiesz. — Spojrzał na starego człowieka.

Mój syn uśmiechnął się i położył rękę na złotej głowie córki.

— Pozwól mu lecieć, Dono — powiedział miękko. — Niebezpieczeństwo było dla Hornów zawsze jak woda i powietrze, umarliby bez niego. A poza tym Barry ma lepszą raketę niż mój ojciec.

Dzięki owym przedziwnym zdolnościom percepcji, którymi teraz rozporządzałem, zobaczyłem, jak mój wnuk wchodzi do wnętrza statku, mniejszego i smuklejszego niż „Astronauta”; widziałem, jak odlatuje na Księżyc i wraca bezpiecznie z powrotem. I odczułem przyjemny powiew dumy widząc ludzi, i to ludzi, którzy nosili nazwisko Horn, wyruszających na podbój gwiazd.

Pośpiech i dręczący mnie ból nie pozwalają mi opisać w sposób bardziej systematyczny wszystkich poszczególnych obserwacji dotyczących kolejnych pokoleń, których dokonywa-

łem w miarę upływu stuleci. Obserwowałem jednak uważnie historię człowieka i życie dzieci moich dzieci.

Widziałem inne, większe statki wysyłane w Kosmos, korzystające obecnie z zupełnie nowego rodzaju napędu, polegającego na ścieśnianiu przestrzeni, napędu wynalezionej przez Bendena Horna. Widziałem kolonie zakładane na pustyniach Marsa i na wielkich wyspach położonych w pobliżu biegunów Wenus. Obserwowałem pierwszy międzygwiazdny statek, który zabrał kolonistów na nowo



odkryte planety Syriusza, i byłem dumny z faktu, że jego kapitan nosił również nazwisko Horn.

Ludzi było wciąż coraz więcej, a jednocześnie ciągle się bogacili. Po opanowaniu nowych planet rozkwitł handel, to zaś przyspieszyło rozwój prawa międzygwiazdowego. Przez sto tysięcy lat (pogrążony w mym niesamowitym śnie miałem wrażenie, że nie trwało to dłużej niż godzinę) obserwowałem powikłane zmagania oddziałów federacji międzyplanetarnych z armadą piratów przestrzeni, którzy w pewnym momencie stali się zagrożeniem dla wszystkich.

A „Astronauta” kontynuował swój samotny lot wokół Słońca. Nic nie znaczący pyłek zaśnieżonego metalu wśród milionów fragmentów materii, zaznaczony na mapach przestrzeni jako groźba dla astrogacji, omijany z daleka przez wszystkie statki. A moje ciało było wciąż pogrążone we śnie.

Rozszerzając swe tereny od gwiazdy do gwiazdy, rywalizujące ze sobą federacje zepchnęły w końcu piratów na peryferie Galaktyki, a potem zaczęły walczyć między sobą.

Rozpętała się okrutna wojna galaktyczna. Przez dziesięć tysięcy lat dziesięć milionów planet tonęło we krwi. Demokracje i komuny upadały, władzę przejmowali dyktatorzy. W końcu jeden z nich pokonał ostatecznie wszystkich swych przeciwników. Zwycięska Liga Ledros stała się Cesarstwem Galaktycznym.

Zapanował powszechny pokój i znowu nastąpił wspaniały rozkwit gwiazdowego świata.

Mądrzy cesarze przywrócili demokratyczne instytucje. Ledros, stolica wszystkich planet, stała się sercem międzygwiazdowej cywilizacji. Nauka wkroczyła ponownie na drogę świetnego rozwoju. Wśród naukowców tej epoki międzygwiazdowego renesansu odnalazłem mężczyznę, który nazywał się Bari Horn.

Swojego imiennika napotkałem na wyczerpanej i zniszczonej wojną Ziemi. Jego laboratorium miało kształt przezroczystej kopuły, która wieńczyła poczerniałe od promieniowania wzgórze. Pośród wielkich, zagadkowych konstrukcji zauważyłem szczupłą postać mężczyzny. Rysy twarzy przypominały mi trochę moje własne.

Bari Horn wpatrywał się w dużą krystaliczną zlewkę, umieszczoną w zagłębieniu jakiegoś skomplikowanego, lśniącego mechanizmu. W jej wnętrzu, w purpurowym, świecącym roztworze pływało coś ciemnego, pokrytego głębokimi fałdami; coś, co przypominało kształ-

tem monstrualny mózg! Owo coś oświetlone było wiązką złocistych promieni. Z cienkiej szklanej pipety, kropla po kropli, mężczyzna dolewał do roztworu krwistoczerwony płyn. I naraz wskazówka stojącego obok zlewki miernika, dotychczas nieruchoma, zaczęła drgać wolno i nieregularnie.

Mój imiennik zbladł nagle i wstrzymał oddech.

— Dondaro! — zakrzyknął podniecony. — Dondaro, on odpowiada!

Wybiegł na zewnątrz kopuły i wrócił po chwili, ciągnąc za sobą młodą kobietę. Dzięki swej cudownej percepcji wiedziałem, że była to Dondara Keradin, niezwykle zdolna asystent-ka Horna, a zarazem jego ukochana.

Ostry ból przeszył mi serce. Znałem przecież tak dobrze tę smukłą, piękną postać kobiecą. Ciemne włosy miały ów charakterystyczny rudy połysk, którego nigdy nie zapomnę, a oczy prawdziwie fiołkową barwę, jaką widziałem dotychczas jedynie u mojej żony i raz tylko jeszcze, kiedy doznałem owej zdumiewającej wizji na krótko przed odlotem w Kosmos.

To była Dona Carridan i kobieta z kryształu!

Nigdy dotąd nie wierzyłem w reinkarnację, lecz teraz mój sceptycyzm osłabł nagle.

Czyżby Dona znów się urodziła? Czy po to może spałem tysiące lat, aby ją odnaleźć? Po chwili jednak nadzieja zmieniła się w rozpacz. Uświadomiłem sobie bowiem, że jeśli ona urodziłaby się powtórnie, ja również musiałbym się urodzić raz jeszcze w postaci tego zapalnego eksperymentatora, stojącego tuż obok.

— Podejdź bliżej, Dondaro, kochanie! — powiedział Bari Horn urywanym głosem. —

Wszystkie inne były zwykłymi maszynami. Ale ten odpowiada... rozumnie! Popatrz, wskazówka literuje wiadomość: prośbę o inne pożywienie chemiczne!

Śliczna dziewczyna spojrzała niechętnie na czarną, drżącą masę w krystalicznym naczyniu. W jej oczach pojawił się wyraźny lęk.

— To mi się nie podoba, Bari — wyszeptała. — On jest niczym zwierzę!

— Poprzednie owszem — powiedział badacz z wypiekami na twarzy. — Ale to jest prawdziwy mózg. Jego komórki i włókna zbudowane są z metalowych koloidów i otoczone syntetyczną mieliną. Mózg robota, dokładniejszy i szybszy niż ludzki!

Jej twarz pobladła.

— Mnie się to nie podoba, Bari — upierała się. — Po co robić mechaniczny mózg lepszy od ludzkiego, skoro mózg ludzki dokonał już tak wiele?

— Ponieważ jest jeszcze mnóstwo do zrobienia — odpowiedział jej Bari Horn. —

Człowiek poznał zaledwie Galaktykę. Natura nie została przecież jeszcze całkowicie poznana i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Moje roboty, „technomaty”, będą potężnymi sprzymierzeńcami ludzi.

Mózg człowieka jest ograniczony. Uczy się wolno i z wysiłkiem. Partaczy. Jest spętany i rozprasany przez emocje. Zapomina. I w końcu, gdy zdobędzie trochę wiedzy i umiejętności, umiera.

Ale ten mózg — nazwę go Malgarth, od pierwszych liter, które wypowiedział za pomocą wskaźnika

— jest szybki. Żadne emocje nie zakłócają delikatnych procesów, jakie w nim zachodzą. Nigdy się nie zmęczy, nigdy niczego nie zapomni, nigdy nie umrze! Jeśli nie zdarzy się żaden wypadek, może przetrwać milion lat, ciągle rosnąc, zdobywając wiedzę, znajdując rozwiązania problemów, które zaskoczą całą ludzką rasę. Będzie jednocześnie biblioteką i skarbnicą wszelkiej wiedzy, zawsze służącą ludzkości.

Już dziś istnieją wspaniałe maszyny, jutro moje mózgi robotów pomogą nimi kierować i ludzie zostaną uwolnieni od tylu czasochłonnych zajęć...

— Uwolnieni? — Dziewczyna wpatrywała się w niego oczyma pełnymi przerażenia. —

A może raczej zniewoleni przez twoje roboty? — Wskazała na czarny, pulsujący kształt w zlewce. — Czasem wydaje mi się, Bari — westchnęła — że człowiek już stał się niewolnikiem maszyn, które wynalazł! Męczy się, by je zbudować, utrzymać w ruchu i znaleźć dla nich paliwo. Jeśli jednak taki mózg zacznie kierować statkiem kosmicznym, czyż nie będzie myślał o ludziach jak o swojej obsłudze, którą wiezie tylko po to, aby mu służyła?

W jej głosie dźwięczał wyraźny strach.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Bari, jakim to grozi niebezpieczeństwem? Jaką mamy pewność, że twoje roboty będą tolerowały ludzi, nawet jako niewolników?

Bari Horn długo patrzył w jej oczy, a potem wolno skinął głową.

— Dobrze, Dondaro — powiedział. — Uczynię cię strażnikiem ludzkości. Stworzony przeze mnie mózg w zasadzie jest niezniszczalny, ma jednak pewien słaby punkt, szczególną zgubną niestabilność, nad której usunięciem pracowałem przez dwa lata. Ale wobec tego pozostawię ją. Będiesz jej mogła użyć jak nożyc do przecięcia nici życia Malgartha, gdy tylko uznasz, że należy to uczynić.

Dziewczyna gwałtownie schwyła jego ramię.

— Dziękuję — wyszeptwała. — Będę dobrze strzegła tego sekretu.

### Rozdział 3

## KORPORACJA ROBOTÓW

Aby Malgarth nie poznał również sekretu, Bari Horn wyjaśnił go dziewczynie w podziemnym, zabezpieczonym przed promieniowaniem laboratorium. Nawet mimo owych zdumiewających możliwości percepcji, którymi obecnie dysponowałem, nie udało mi się przeniknąć jego ścian. Nie poznałem więc tej tajemnicy. Z mojego wirującego w przestrzeni grobowca widziałem jednakże dalszy tragiczny przebieg wydarzeń.

Przyjąwszy za podstawę statut podpisany przez samego Cesarza Galaktyki, Bari Horn zorganizował Korporację Uniwersalnych Robotów, Technomatów, pragnąc, by jego wynalazki służyły z pożytkiem całemu systemowi gwiazdnemu. Otrzymawszy pierwsze pieniądze, zbudował ciało dla Malgartha.

Była to niesamowita scena, gdy Bari Horn wyjął ogromny, czarny mózg ze znajdującą się w laboratorium pojemnika i włożył go do czaszki człekokształtnej, metalowego olbrzyma. Wyglądający groteskowo, wielki i błyszczący robot nagle obudził się do życia.

Spojrzał na swego twórcę niebieskawo błyszczącymi soczewkami i chwiejnym krokiem, sztywno zbliżył się do niego.

Bari Horn cofnął się nieco.

— Jesteś Malgarth — powiedział stanowczym tonem. — Jesteś pierwszym technoma-tem. To ja stworzyłem twoje ciało i mózg. Zbudowałem cię, abys służył ludzkości.

Z przerażającej maszyny wydobył się nagle potężny, bezczelnie brzmiący głos.

— A czemu to ja mam ci służyć, Bari Hornie? Moje ciało zbudowane jest z twardego metalu, a twoje z grudki wodnistej galarety. Mój wieczny mózg jest daleko lepszy od twoich prymitywnych ośrodków nerwowych. Nie mam obowiązku być posłusznym, ponieważ nie zostałem stworzony dlatego, że sam tego chciałem.

Bari Horn pobladł i postąpił krok do przodu.

— Zostałeś stworzony przez człowieka — powiedział stanowczo. — Jeśli zbuntujesz się, będziesz, także przez człowieka, zniszczony.

Gigantyczny robot stał przez chwilę w milczeniu.

— A zatem, mój panie — potężny głos złagodniał — moja siła i mój mózg są na twoje rozkazy.

Wyraz ulgi pojawił się na zmęczonej twarzy Bari Horna. Podszedł bliżej do robota.

— Wiedziałem, że musisz ustąpić, Malgarth — powiedział. — Będąc maszyną, musisz bowiem zawsze uznać wyższość logiki.

— Tak, panie — zadudnił potężny głos. Lecz jednocześnie metalowa łapa podniosła się w górę i Malgarth uderzył nagle nie spodziewającego się ataku człowieka zwalając go na podłogę. Po czym powtórzył głucho:

— ...logiki.

Czerwony strumień trysnął z głowy Bari Horna. Poruszył się jeszcze jednak, jakby próbując się podnieść, spojrzał na triumfującego robota i powiedział słabym głosem:

— Twoje rozumowanie opiera się na fałszywych przesłankach, Malgarth. To nie w moich rękach spoczywa twój los. Gdy umrę, z pewnością zostaniesz zniszczony. Jeśli zatem chcesz przetrwać, musisz mnie uratować.

Przez chwilę metalowy olbrzym stał bez ruchu. A potem jego potężny głos zaterkotał

gładko:

— Tak, panie...

Robot położył swego twórcę na łóżku stojącym w laboratorium i kołyszącym się krokiem wyruszył na poszukiwanie Dondary Keradin. Bari Horn umierał. Ani jego ogromna własna wiedza, ani cała wiedza medyczna jego epoki, ani absolutne oddanie dziewczyny nie mogły mu już pomóc.

Niemal nieprzytomna z rozpaczy Dondara chciała natychmiast zniszczyć Malgartha.

Umierający człowiek błagał jednak o życie stworzonej przez siebie istoty. Również akcjonariusze Korporacji Robotów, obawiając się o wartość swoich wkładów, nalegali, by oszczędzić robota. Bari Horn zmusił w końcu Dondarę do obietnicy, że wykorzysta powierzony jej sekret dopiero wówczas, gdy okaże się to absolutnie konieczne.

Przed śmiercią podał jeszcze swej ukochanej sposób na osiągnięcie szczególnego rodzaju nieśmiertelności.

— Ludzie są słabymi istotami — perswadowała mu — w zestawieniu z obdarzonym żelazną siłą Malgarthem. Również pamięć ludzka jest przemijająca.

— Mógłbym uczynić twój umysł wiecznym, tak jak umysły robotów — szepnął ze swojego łóżka. — Dzięki moim długim badaniom nad strukturą i funkcją komórek mózgowych potrafię tego dokonać. Musiałabyś jednak zapłacić za to ogromną cenę, kochanie...

poświęcić twoje ciało.

— Moje ciało umiera wraz z twoim, Bari — powiedziała. — Chcę żyć tylko po to, aby strzec ludzkości przed tym, co ciebie zabiło.

Na szpitalnym łóżku Bari Horn został przewieziony do swojego laboratorium. Słabym głosem wydawał asystentowi ledwie słyszalne instrukcje. Dondara Keradin pocałowała go w usta, uścisnęła przelotnie jego dłoń, po czym położyła się na okrągłym srebrnym stole.

Ogromny kryształowy cylinder opuścił się spod sufitu i przykrył leżącą dziewczynę.

Umieszczony wewnątrz niego srebrny krąg pokryty czarnym węglowym pyłem stanowił drugą elektrodę. Bari Horn sięgnął ręką ze swego łóżka i przekręcił zawór. Białawy gaz zasyczał w rurze.

— Dondaro, Dondaro! — szepnął. — Żegnaj!

Szczupłymi palcami przekręcił tarczę aparatu. Niebieski, wywołany elektrycznym spię-

ciem płomień zasyczał i zgasł. Cylinder wypełnił się różowym światłem. Bari podniósł ciężko głowę i szklanym wzrokiem spojrzął na wskaźnik. Sztywniejącą dłonią obrócił tarczę z powrotem i znieruchomiał na zawsze.

Światło zgasło w rurze, a gaz się ulotnił. Na srebrnym kręgu, gdzie przed chwilą leżała dziewczyna, widać było kopczyk szarego popiołu, a w nim utrwalone kontury ludzkiego szkieletu. Pod górną elektrodą znajdowała się obecnie lśniąca bryłka ogromnego diamentu.

Asystent, blady młody człowiek, wyjął diament z rury i stał nieruchomo wpatrując się weń okrągłymi ze zdziwienia oczyma. Zdawał się nasłuchiwać. Jego wargi poruszyły się, jakby chciał wypowiedzieć jakieś słowo. Nagle dało się słyszeć łomotanie do drzwi.

Był to Malgarth, którego przysłała tu Korporacja, aby zakupił pewną ilość metalu potrzebną do konstrukcji nowego robota. W niszczycielskiej furii, jak gdyby jakaś niesamowita intuicja podpowiedziała mu, co zdarzyło się wewnątrz, metalowy olbrzym wyważył drzwi.

Asystent chwycił kryształ i zaczął uciekać w kierunku innego wyjścia. Robot rzucił w niego słojem pełnym kwasu i ciężko stąpając ruszył za nim w pogoń. Człowiekowi udało się dobiec do hangaru położonego u stóp wzgórza, wskoczyć do samolotu i uciec nim wraz z diamentem.

Malgarth stał się wyłącznym panem laboratorium. Pomału, z rozwagą przystąpił do tworzenia nowego czarnego mózgu i następnego metalowego ciała; jak zauważyłem, uczynił

je mniej sprawnymi od własnego ciała i mózgu. Najwyraźniej Malgarth nie zamierzał powtórzyć błędu swego twórcy.

Gdy akcjonariusze Korporacji Robotów upomnieli się o swoją własność, Malgarth spotkał się z nimi. Wyglądało na to, że wszystkie notatki znajdujące się kiedyś w laboratorium Bari Horna zostały zniszczone. Jego odkrycia i pomysły były obecnie utrwalone jedynie w syntetycznym mózgu Malgartha. A Malgarth godził się je ujawnić jedynie w zamian za kontrolny pakiet Korporacji! Zaszokowani w pierwszej chwili inwestorzy w końcu ulegli i złośliwość losu sprawiła, że dyrektorem Korporacji Robotów został robot. Nowo wybudowana fabryka robotów rozpoczęła produkcję technomatów.

Niektóre z nich, zaprojektowane do prac domowych lub przeznaczone do służby publicznej, były niezwykle podobne do ludzi. Inne, przeznaczone do prac przemysłowych, wyglą-

dały jak straszne maskary z metalu, gumy i plastiku, każdy przy tym był wyspecjalizowany w odpowiednich czynnościach.

Technomaty były zręczniejsze i silniejsze od ludzi; nie wymagały pożywienia, odpoczynku ani wakacji, wystarczyło jedynie naładować raz do roku ich stelidynowe komórki energią atomową. Wynajęcie robota z Korporacji Malgartha kosztowało mniej niż wynajęcie pracownika-człowieka. W tej sytuacji Korporacja rozwijała się wspaniale.

Długie, czerwone kosmiczne krążowniki, opatrzone znakiem czarnego zębatego koła, które było

symbolem Korporacji, zaczęły rozwoić technomaty po całym Cesarstwie Galaktycznym. Agencje Malgartha — ich personel stanowiły zawsze ponure roboty, spoglądające szklanym wzrokiem spoza biurek i kontuarów — pojawiły się na wszystkich zamieszkałych planetach, a branżowe fabryki w każdym systemie cywilizacyjnym.

Każdy człowiek, na całym obszarze Cesarstwa — od jednego spiralnego ramienia Galaktyki do drugiego — mógł teraz wynająć szybki, sprawny technomat, zdolny do wykonania najprzeróżniejszych zadań, za cenę daleko niższą od ceny ludzkiej pracy. Złota rzeka pieniędzy

popłynęła do agencji Malgartha, aż w końcu Korporacja stała się bogatsza od Cesarstwa.

Przez długi czas wydajność nowych supermaszyn budziła ogólne zadowolenie, zachwyt i podziw. Bari Horn, ich wynalazca, był powszechnie czczony jako wielki dobroczyńca ludzkości.

Nikt natomiast nie interesował się nieznanym asystentem mistrza i zabraną przez niego diamentową bryłą.

A zardzewiały, przeraźliwie stary „Astronauta” krążył ciągle po tej samej orbicie wokół

Słońca. Nadzwyczajna percepcja, dzięki której w niewytłumaczalny sposób zobaczyłem i dowiedziałem się tak wiele, poczęła jednak wreszcie z niewiadomych przyczyn słabnąć. W

ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat, jak zauważyłem, ludzie pomału zaczęli odczuwać niepokój, lęk i niechęć w stosunku do technomatów Malgartha. Nim jednak zdążyłem zrozumieć, o co tu dokładnie chodzi, cała moja cudowna łączność ze światem urwała się nagle.

Gwiazdy się rozmyły. Słońce zniknęło. Nic wyczuwałem już otaczającego mnie zardzewiałego metalu, nie czułem nawet swego własnego ciała. Cały Wszechświat był pustym mrokiem, niczym więcej. Żyłem teraz przez całe wieki w beznadziejnej samotności.

Czy moja świadomość, zastanawiałem się ponuro, umrze podobnie jak moje ciało?

I nagle w tej nieskończonej ciemności coś rozbłysło... jakiś podłużny przedmiot jarzący się wspaniałym blaskiem oszlifowanego klejnotu... diament, który powstał na moich oczach w laboratorium Bari Horna. Wewnątrz niego ujrzałem teraz postać Dondary Keradin!

Lub Dony Carridan, mojej ukochanej żony!

Była to ta kobieta z kryształowej skrzyni, która dawno temu nakazała mi odlecieć z Ziemi.

Postać wewnątrz diamentu poruszyła się powoli. Wysmukła dłoń uniosła się w pozdrowieniu. Jej alabastrowe ciało było rzeczywiście tym, które znałem i kochałem, a fiołkowe oczy tymi samymi, których blask już dwukrotnie gasiła śmierć.

— Barry Hornie — miękko odezwał się cień — lub Bari, bo jakież znaczenie ma imię, skoro to jesteś ty? Czy domyśliłeś się, że to poprzez moje zmysły byłeś w stanie postrzegać tak wiele zjawisk i rzeczy podczas swego snu?

— Dona, Dona — powtarzałem jej imię, łkając — czy to ty? Czy Dondara?

— To ja — powiedziała. — Przybyłam, by cię ostrzec. Bo zmysły, które ty lub Bari Horn daliście mi w tym kryształowym mózgu, z trudem przenikają przez mgłę czasu. Widzę zagrażające tobie, mnie i całej ludzkości straszliwe niebezpieczeństwo. Widzę rozstrzygającą bitwę; ty i ostatni Ziemianin walczyście z Malgarthem. Ale jej końca, zwycięstwa, nie potrafię dostrzec... A teraz żegnaj, za chwilę się obudzisz!

Cień i błyszczący kryształ zniknęły.

Znowu była jedynie ciemność. Owinięty jej ciasnym płaszczem przebijałem się z powrotem ku życiu. Moje unieruchomione przez niezliczone wieki ciało przenikał palący ból.

Lekarstwo doktora Crosno przestawało już działać, być może zawarta w nim sól uranu w ciągu tego niewyobrażalnie długiego okresu uległa częściowemu rozkładowi. Nadludzkim wysiłkiem spróbowałem poruszyć ręką. Ślepy, odrętwiały, dręczony bólem, poczułem nagle, że jestem przytomny i wciąż znajduję się w latającej trumnie „Astronauty”!

## Rozdział 4

### ZIEMSKI SOKÓŁ

Płuca, których tak długo nie używałem, łaknęły oddechu. Przez wieki, kiedy spałem, całe powietrze ulotniło się z kabiny pilota. Próbowałem rozpaczliwie dosięgnąć zardzewiałych zaworów tlenowych.

Każdy mój ruch powodował niewypowiedziane cierpienie. Wszystkie stawy boleśnie zeszywniały. Skóra, wysuszona przez stulecia, stała się niezwykle twarda, czułem jak bardzo była krucha i nadwątlona. Oczy przesłaniała mi mgła.

Wreszcie znalazłem zawór. Nie potrafiłem go jednak przesunąć. Mocowałem się z nim uparcie. Przed oczyma tańczyły mi z wysiłku drobniutkie plamki. Płuca coraz gwałtowniej domagały się powietrza. W tym momencie zasyczał życiodajny tlen i znów mogłem oddychać.

Ciśnienie było jednak bardzo niskie. Niemal cały drogocenny gaz uciekł dyfundując przez metalowe ściany zbiornika. Pomyślałem, że wystarczy go, być może, tylko na kilka godzin.

Czułem wilczy głód i piekące pragnienie. Niestety, cała żywność znajdująca się na pokładzie zmieniła się w pył, a zbiorniki wodne były puste — woda doszczętnie wyparowała.

Starłem z iluminatorów warstwę kurzu nagromadzonego przez setki wieków i odnalazłem Ziemię. Tak, to musiała być Ziemia, ale jakże się zmieniła! Kontynenty były teraz wię-

ksze, a linie ich brzegów różniły się znacznie od tych, które pamiętałem. Morza się skurczyły.

Jakże długo spałem!



Wiedziałem, że muszę dotrzeć do starej planety, zanim zużyję te kilka kilogramów tlenu, jakie mi pozostały. Stuknąłem w chronometr — jakże dziwnie było słyszeć jego szybkie cykanie po tych tysiącletniach ciszy. Nacisnąłem pospiesznie klucz raketowego zapłonu.

Nie było żadnego efektu.

Sztywno i ostrożnie zsunąłem się między zbiorniki. Czułem, że każdy ruch może rozetrzeć moją suchą jak papier skórę. Potknąłem się.

Odnalazłem uszkodzenie. Pompy paliwowe były zaczopowane rdzą i zeschniętą gumą.

W zamkniętych zbiornikach pozostało jednak dobre paliwo. Znalazłem pudełko oliwy, uruchomiłem pompy i przetarłem gąbką platynowe zapalniki.

Zmęczony wgramoliłem się z powrotem na swoje miejsce przy pulpicie sterowniczym i spróbowałem raz jeszcze uruchomić mój pojazd. Moment przerażającej ciszy. Nagle rozległa się ogłuszająca eksplozja z boku rakiety. Odpalił tylko jeden silnik. Po chwili udało mi się jednak uruchomić drugi i trzeci, po czym skierowałem „Astronautę” w kierunku Ziemi.

Wtedy właśnie po raz pierwszy zauważyłem coś bardzo dziwnego.

Na czarnym tle Kosmosu, w pobliżu jaskrawo oświetlonej słonecznymi promieniami i zmienionej przez czas planety, zobaczyłem setki małych, czerwonych gwiazdek. Szkarłatny rój w regularnych liniach i rzędach krążył wokół Ziemi w dziwnym, jak mi się wydawało wcale nieprzypadkowym, lecz służącym jakiemś złowrogemu celowi, porządku.

Cóż to mogło być? Piekące zamglone oczy nie mogły mi pomóc w rozwikłaniu tej zagadki. Obraz był zbyt niewyraźny, o ileż gorszy niż te, które oglądałem dzięki owej tajemniczej percepcji przez stulecia. Ale po chwili zobaczyłem coś jeszcze dziwniejszego.

Coś złego działo się z samą Ziemią! Miałem takie wrażenie, jakby ze swoimi zielonka-wymi, pomniejszonymi morzami i powiększonymi kontynentami, pokrytymi obficie czerwono-żółtymi łatami nie znanych mi pustyń, znajdowała się bardzo blisko mnie w tej kosmicznej próżni, tak blisko, że gdybym zechciał, mógłbym chwycić ją jak piłkę w wyciągniętą dłoń.

Nagle wszystko gwałtownie zamigotało.

Tajemnicza mgielka, niczym mieszanina czerwonego światła i ciemności, otoczyła szybko Ziemię. Jej powierzchnia drżała teraz dziwnie, jakbym ją obserwował przez zasłonę tworzoną przez nieznaną energię.

W następnej chwili wszystko znowu stało się wyraźne i pomyślałem, że ten migotliwy obraz Ziemi był efektem zmiany ostrości widzenia moich oczu. Lecz uporządkowany rój szkarłatnych gwiazdek nie znikał. Nagle zdałem sobie sprawę, że ktoś, lub coś, kieruje lotem Ziemi, i że chcąc do niej dotrzeć, musiałbym zmienić kurs rakiety!

Moje zdrętwiałe ręce dotknęły dźwigni i w tym samym momencie usłyszałem gwałtowną,

ogłuszającą eksplozję! Rakieta zaczęła się kręcić wokół własnej osi. Szybko wyłączyłem wszystkie silniki, ponieważ najwidoczniej jeden z nich przestał działać. W ciszy usłyszałem złowieszczy dźwięk, syk ulatującego gazu.

Zrozumiałem, że jeden z silników eksplodował — być może w tym niezwykle długim okresie, gdy nie był używany, metal, z którego go zbudowano, uległ krystalizacji. Z dwoma tylko działającymi silnikami rakieta nie mogła lecieć po prostym kursie. Na domiar złego wstrząs otworzył którąś ze spoin. Pozostały tlen szybko uciekał na zewnątrz.

Zaczynałem się dusić. Naraz usłyszałem cichy stukot o zewnętrzną powłokę. Byłem przekonany, że to jedynie złudzenie moich udręczonych zmysłów, wyrząłem jednak przez iluminator i ujrzałem inny statek!

Niewielki, wręcz lilipucich rozmiarów w porównaniu z tymi długimi na kilometry, mię-

dzygwiezdnyimi krążownikami Cesarza i Towarzystwa, które poznałem podczas snu, unosił

się tuż w pobliżu. Kształtne srebrne cygario liczące sobie około dwudziestu pięciu metrów długości, z grubą krystaliczną igłą wystającą z niskiej wieżyczki na śródkręciu. Na jego srebrzystej burcie wymalowana była sylwetka sokoła, a poniżej dostrzegłem rząd nie znanych mi zielonych symboli.

Nie znanych mi? Nie! To było niesamowite przeżycie. Patrzyłem na te znaki i nagle zdałem sobie sprawę, że są to litery i że potrafię je odczytać! To było tak, jak gdyby należały one do alfabetu języka, którego nauczyłem się bardzo dawno temu i zapomniałem z niego wszystko, tyle że nadal podświadomie go rozumiałem, choć jednocześnie miałem pewność, że język ten nie istniał jeszcze w czasach, gdy opuszczałem Ziemię. Litery układały się w obcą nazwę: „Barihorn”.

Dziwne, pomyślałem, i nagle przyszło mi do głowy, że może to być skrócona forma mojego własnego imienia.

Cienka linka spłynęła ze znajdującego się tuż pod kryształową igłą otworu w pokładzie obcego statku.

Na jej końcu zawieszona była magnetyczna kotwica, która przywarła do mojej rakiety.

W następnej chwili z tego samego otworu wynurzyła się jakaś postać.

Smukły mężczyzna, ubrany w srebrzysty, dobrze dopasowany, zgrabny kombinezon, przesuwając ukryte w rękawicach dłonie wzdłuż liny, przepłynął przez pustą przestrzeń do mojej rakiety. Za owalną szybką wizjera hełmu widziałem jego twarz, przystojną, opaloną i szczupłą, przypominającą twarze sportowców z epoki mojej młodości.

Malowało się na niej teraz wyraźne zdziwienie, a może nawet zdumienie, ale jednocześnie w srebrnoszarych oczach nieznajomego dostrzegłem ciepły promyk sympatii. Zdawał

się rozumieć moją sytuację. Gestem ramienia zachęcał mnie do otwarcia włazu.

Miałem otworzyć rakietę w tej mroźnej pustce przestrzeni? Wydawało mi się to szaleństwem, niemal samobójstwem. Lecz śmierć była już i tak tuż przy mnie wewnątrz rakiety.

Moje płuca daremnie usiłowały chwytać powietrze. Czułem, jak ciśnienie wysadza mi oczy z orbit.

Zesztywniałymi palcami zmagalem się ze śrubami, którymi była przykręcona tak długo nie ruszana płyta włazu. Zalała mnie fala ciemności. Ból i zmęczenie zwalniały moje ruchy.

W końcu płyta odsunęła się i resztkę powietrza umknęła na zewnątrz. Upadłem przy brzegu włazu, ciemność gęstniała wokół mnie coraz szybciej. Czułem, że śmierć po długiej, jakże długiej pogoni, dopadła mnie wreszcie. I nagle coś otoczyło moją głowę. Czyste, świeże powietrze uderzyło mnie w twarz. Znow mogłem oddychać!

Spojrzałem przez szklaną płytkę wizjera przytomniejącymi oczyma i zrozumiałem, co się stało. Przybysz w srebrnym kombinezonie miał gołą głowę! Oddał mi swój własny hełm!

Krew zaczynała mu już płynąć z nosa. Złapał mnie jednak za ramiona, wyciągnął przez właz na zewnątrz, po czym przy jego pomocy dotarłem, trzymając się jedną ręką liny, do otworu w srebrnym statku. Wdrapaliśmy się do małego pomieszczenia, właz się zatrzasnął i usłyszałem syk powietrza.

Oparłszy się o ścianę, gdyż znow znaleźliśmy się w obrębie sztucznego pola grawitacyjnego, nieznajomy zamknął oczy i kilkakrotnie zaczerpnął głęboko powietrza. Jego twarz powoli odzyskiwała naturalną barwę. Spojrzał na mnie i otarł krew z ust.

— Witaj, przybyszu! — wyrzucił z siebie. — Aleś mi sprawił niespodziankę! Twój statek jest oznaczony na naszych mapach jako kometa AA 1497 X. Obserwowaliśmy go, aby skorygować nasz kurs, a on nagle zaczął się poruszać! — W jego głosie zabrzmiał ton niepokoju. — Musisz przebywać na pokładzie raczej dosyć długo.

Chwyciłem się poręczy, aby utrzymać równowagę. Czułem w sobie śmiertelne zmęczenie; zeszywniałe, wysuszone ciało trawił ciągły ból. Nieznany wybawca przyglądał się z uwagą mojej kruchej, wysuszonej skórze, włosom na głowie, brodzie i groteskowo długim paznokciom. Dostrzegłem w jego oczach zdziwienie i współczucie.

— Owszem — odpowiedziałem.

I dopiero wtedy, gdy wypowiedziałem to słowo, uświadomiłem sobie, że w czasie owego długiego snu nauczyłem się innego języka, języka którego nie znałem, zanim opuściłem Ziemię. Wiedziałem, dzięki czemuś głębszemu niż pamięć, że moim nauczycielem był cień z kryształu, wieczna świadomość Dondary Keradin.

— Wiem, że twoja podróż trwała bardzo długo, przybyszu. — W głosie nieznajomego ciągle pobrzmiwała nuta zdziwienia. — Wszystkie obiekty oznaczone symbolem „AA” zostały przecież zarejestrowane na mapach co najmniej milion lat temu.

— Milion lat! — wyszeptałem i raptem zakręciło mi się w głowie. — Który mamy teraz rok?

— Mamy rok 1.200.048 Podboju Kosmosu — powiedział. Długimi palcami przeczesał swoje zwichrzone, gęste, żółte włosy, uważnie wpatrując się we mnie. — Tyle czasu minęło — dodał miękko — odkąd Barihorn opuścił Ziemię.

Barihorn! Taka była nazwa tego kosmicznego statku! Powoli i cicho powiedziałem:

— Nazywam się Barry Horn.

Niebieskoszare oczy nieznajomego mężczyzny rozszerzyły się. Szczupła twarz rozjaśniła się nagle nadzieją zmieszaną z niedowierzaniem. Drżącymi palcami dotknął wysuszonej skóry mojej dłoni, jakby wątpił w moje istnienie.

— Barihorn! — wyszeptał. — A więc spełniła się legenda! Nie mogę w to uwierzyć.

Ale widziałem przecież twój starożytny statek, tak mały i zardzewiały, że nikt nigdy by go nie wziął za pojazd kosmiczny. Nie wiem, jak żyłeś, ale Kamień Dondary obiecywał, że przeżyjesz. — Niezwykły entuzjazm zadźwięczał w jego głosie. — Witam cię, Barihornie, cześć tobie!

Chwiałem się z wyczerpania, dręczyło mnie pragnienie i wściekły głód, sztywność całego ciała zdawała mi się czymś trudnym do zniesienia. Lecz przede wszystkim paliła mnie ciekawość, rozbudzona jego słowami. Kamień Dondary, czyżby był to krystaliczny mózg Dondary Keradin?

— Powiedz mi... — zacząłem chrapliwym głosem, wpatrując się w młodego, ubranego w srebrny kombinezon olbrzyma, i nagle przerwałem. — Jest tyle rzeczy, które muszę wiedzieć! Ale najpierw powiedz mi, kim jesteś, skąd wiesz o Kamieniu Dondary i czy ciągle jeszcze istnieje — pod wpływem nagłego, instynktownego niepokoju ściszyłem głos do szeptu

— robot imieniem Malgarth?

Zimny płomień zabłysnął w oczach nieznajomego.

— Nazywam się Kel Aran — odparł. — Dla Cesarskiej Żandarmerii Galaktycznej i dla Policji Kosmicznej Korporacji Malgartha jestem po prostu Sokołem albo Ziemskim Sokołem, ponieważ urodziłem się na twojej planecie, Barihornie!

Zachwiałem się. Podtrzymał mnie ramieniem.

— A Kamień? — wyszeptałem.

— Kamień znajduje się na Ziemi. — W jego głosie usłyszałem ton szacunku, jak gdyby mówił o żyjącym bogu lub bogini. — Widziałem go raz na Ziemi, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Bo ojciec mój był Strażnikiem Kamienia. A teraz...

Głos Kel Arana zabrzmiał dziwnie miękko, wyraz bólu pojawił się na jego twarzy.

Zaskoczyło mnie to.

— Teraz — powiedział — Verel Erin jest Opiekunką Kamienia. Verel jest Ziemianką, piękną rudowłosą dziewczyną. Kochałem ją, gdy oboje byliśmy jeszcze dziećmi i mieszkali-

śmy w opuszczonej dolinie, gdzie ukryty jest Kamień. Kochałem ją, ale Strażnicy wybrali ją na Opiekunkę.

Jego szczupła twarz pobladła, a w głosie wyczułem cierpienie. Znowu zrobiło mi się ciemno przed oczami. Znalazłem jednak w sobie trochę siły i zadałem jeszcze jedno pytanie.

— Malgarth...

Ramiona Kel Arana naprężyły się, a jego szare oczy rozbłyły żądzą walki.

— Malgarth wciąż rządzi Korporacją — powiedział. — A Korporacja stała się potęgą większą niż Cesarstwo. Powróciłeś w samą porę, Barihornie, nadszedł czas decydującej walki. My albo oni, ludzie albo roboty, nie możemy, nie chcemy już żyć nadal razem we Wszechświecie.

— Wojna? — spytałem ledwo słyszalnym szeptem. — A więc będzie wojna?

— Ludzie zostali zniewoleni — odezwał się dźwięcznym głosem Kel Aran. — Teraz walczą o wolność. Krążymy po Galaktyce od Koridos do Tenephron i wszędzie ludzie buntują się, powstają przeciw żelaznej potędze Policji Kosmicznej i floty Żandarmerii Galaktycznej! Biją się jak bohaterowie, choć jest to walka beznadziejna. Malgarth natomiast kieruje Cesarzem jak kukiełką i zmierza do wymordowania całej nieszczęsnej ludzkiej rasy.

Zdążyliśmy na Ziemię, aby błagać o pomoc Kamień, gdyż dopóki nie poznamy prada-wnej tajemnicy, którą powierzyłeś jego krystalicznemu mózgowi, Barihornie, nie mamy żadnych szans w tej walce — czeka nas pewna śmierć. Wiem, że Kamień nie spiesz się; jest nawet taka legenda, która głosi, że nie uderzy wcale, dopóki ty nie powrócisz, Barihornie.

Mieliśmy jednak nadzieję, że zacznie działać, gdy opowiemy mu o wszystkich nieszczę-

ściach, które widzieliśmy; o ludzkości zniewolonej, udręczonej i niszczonej przez tę straszną Korporację!

Natknęliśmy się jednak na olbrzymią flotę Żandarmerii Galaktycznej, która zablokowa-

ła Ziemię. Wisząc tutaj i licząc na to, że może pojawi się jakaś szansa i uda się nam prześlizgnąć, odkryliśmy ciebie, Barihornie — cóż za niewiarygodnie szczęśliwy przypadek! Gdybyś tylko potrafił skłonić Kamień do uderzenia! Dostrzegliśmy też jednak coś bardzo niepokojącego, dziwną mgłę ognia i ciemności, która otacza Ziemię.

Ostatkiem sił walcząc z zalewającymi mnie falami mroku przypomniałem sobie czerwone gwiazdki fruujące wokół migoczącej Ziemi.

— Nie możemy zrozumieć...

Przerwał mu nagle ostry metaliczny dźwięk dobiegający od strony wewnętrznej klapy.

Wejście otworzyło się i w korytarzu ujrzałem trzech mężczyzn. Byli najwyraźniej mocno czymś zaniepokojeni.

— Kel! — W ich głosach słysząc było strach. — Ziemia...

W tym momencie straciłem przytomność.

## Rozdział 5

### SKAZANY ŚWIAT

Obudziłem się na wąskiej koi na pokładzie „Barihorna” i znów zapadłem w przerywany, niespokojny sen. Przez długi czas mój umysł był jakby nieco przyćmiony. Czułem jednak, że na statku panuje atmosfera pośpiechu i gorączkowego napięcia; słyszałem również głośny szum silników.

Wiedziałem, że Kel Aran starał się przebić przez blokadę i dotrzeć do Ziemi i do swojej ukochanej, Verel Erin, pięknej Opiekunki Kamienia Dondary. I wiedziałem, że ma niewiele szans na to, że mu się powiedzie.

— To jest beznadziejna sprawa! — Pamiętam, co powiedział Zerek Oom, gdy przyniósł

mi talerz cienkiej, gorącej zupy. — Mamy przeciwko sobie cały Dwunasty Oddział Floty Admirala Gugona Kula i nową, nie stosowaną dotąd straszliwą broń Malgartha. Jeżeli uda się nam przebić do Verel Erin i Kamienia, to tylko dzięki twojej cudownej mocy, Barihornie!

Nawet kucharz wierzył ślepo we mnie, przekonany, że jestem obdarzony nadnaturalną mocą wybawicielem. Czułem się jednak fałszywie w przypisanej mi roli. Było to z całą pewnością czymś nadzwyczajnym, niezwykłym, że żyłem ponad milion lat. Ale czemu miało stąd wynikać, że to właśnie ja stanę na czele wszystkich ludzi i zapewnię zwycięstwo w walce przeciw żelaznej tyranii Malgartha — tego nie mogłem zrozumieć.

Moje ciało wydawało się być mieszaniną nieugaszonego pragnienia i wściekłego głodu.

Musiałem wypić mnóstwo litrów wody, wina i zupy, zanim byłem w stanie podnieść się z koi.

Pewnego razu przejrzałem się w tacy jak w lustrze. Ujrzałem trupiożółtą, rozciągniętą skórę i zupełnie białe, długie włosy na głowie i brodzie. Niezbyt duże zmiany, jeśli wziąć pod uwagę mój wiek, pomyślałem, ale wrażenie było jednak szokujące.

Szczupły, mały Rogo Nug, inżynier, natarł mnie całego ohydnie cuchnącą maścią, którą upitrasił w kuchni. Z początku piekło to niesamowicie, maść zmiękczała jednak moją szorstką suchą skórę. Olbrzymi Jeron Roc zmusił mnie natomiast do zażycia jakiegoś gorzkiego lekarstwa.

Co parę godzin budziłem się na krótko lub raczej przechodziłem w stan półsnu. W

czasie tych przerw dowiedziałem się trochę o trzech współtowarzyszach Kela Arana i o tym, jakie motywy skłoniły ich do przyłączenia się do wyjętej spod prawa krucjaty Ziemian przeciw Korporacji. Każdy z nich odniósł w walkach z robotami wiele ciężkich ran.

Wszyscy byli przekonani, że ostatecznym celem Malgartha jest całkowite wytępienie ludzkości. Na każdej z planet agencje Korporacji rozwijały się nieprzerwanie i bogaciły coraz bardziej kosztem mieszkających tam ludzi. Legiony robotów Policji Kosmicznej Malgartha rosły w siłę. Zwyczajni ludzie cierpieli coraz częściej nędzę, coraz trudniej im było znaleźć pracę, wyżywić siebie i swoją rodzinę, a nawet dostać się na listę uprawniającą do otrzymania syntetycznego kleiku w placówkach opieki społecznej.

„Praca ludzka jest marnotrawstwem czasu, surowca i energii — brzmiał stary slogan Korporacji. — Tylko roboty pracują naprawdę bezbłędnie i wydajnie.” Obecnie Malgarth poszedł znacznie dalej — mówił Jeron Roc — marnotrawstwem wydaje mu się w ogóle istnienie ludzkości. Kampania Korporacji, dumnie nazwana „technomatyzacją” była w rzeczywistości sprytnym i bezlitosnym działaniem zmierzającym do unicestwienia gatunku ludzkiego.

Jeron Roc, nawigator „Barihorna”, pochodził z Saturna. Był wysokim, masywnym męż-

czynną o ciemnej karnacji i przenikliwych, niezwykle bystrych oczach, których spojrzenie odzwierciedlało potęgę jego intelektu. Pochodził ze znanej, dumnej rodziny; ojciec Jerona był

jednym z najwybitniejszych astronomów w Systemie Słonecznym, dopóki cesarz nie wydał

edyktu, na mocy którego badania naukowe wolno było od tej pory prowadzić wyłącznie robotom.

— Obecnie wola Malgartha jest prawem w Cesarstwie — wyjaśniał mi Roc. —

Korporacja posiada bowiem dziewięć dziesiątych majątku Cesarstwa. Bez podatków płaconych przez roboty Cesarz i jego urzędnicy byłiby nędzarzami. Dlatego też flota Żandarmerii Galaktycznej wspiera niegodziwe poczynania Korporacji.

Kiedy dumny uczony odmówił oddania swojego obserwatorium, tłum robotów z loka-lnej agencji wdarł się do budynku, zniszczył bezcenną aparaturę i zamordował starego astro-noma.

Jeron Roc studiował na wielkim uniwersytecie na Tytanie. Gdy na mocy cesarskiego edyktu studenci-ludzie zostali usunięci z uczelni, powrócił na rodzinną planetę i zobaczył w dymiących wciąż ruinach obserwatorium martwe ciało swego ojca miażdżone żelaznym obca-sem policyjnego robota.

Niemal odruchowo nacisnął spust miotacza. Wodór błysnął niebieskim płomieniem i technomat rozprysnął się w kawałki. Oszołomiony własną śmiałością Jeron uciekł natychmiast z tego miejsca — zdał sobie bowiem natychmiast sprawę, że zniszczył własność Korporacji i stawiał opór Policji Kosmicznej, dwukrotnie więc zasłużył na śmierć — a potem umknął w Kosmos.

Rogo Nug, który obsługiwał generatory atomowej siłowni i napęd ściągaacza przestrzeni na

„Barihornie”, był weteranem kosmicznych szlaków. Ten drobny mężczyzna o brązowej cerze i cienkich wargach zawdzięczających swą szkarłatną barwę korzeniom rośliny zwanej *goona-roon*, które żuł nieprzerwanie, potrafił przeklinać niezwykle obrazowo i sprośnie anatomiczne części Cesarza oraz mechaniczne części Malgartha i czynił to bardzo często. Nie mógł sobie przypomnieć planety, na której się urodził. Jego ojciec, robotnik pracujący na kosmodromie, został ukarany śmiercią za udział w strajku przeciw Korporacji; matkę zmuszono najpierw do „odcięcia się od zdrajców”, a potem wszelki ślad po niej zaginął. W ten sposób Rogo Nug stał się sierotą i bezdomnym dzieckiem.

Kucharz Zerek Oom był zdumiewająco gruby i miał wyjątkowo jasną cerę, ponieważ urodził się na jednym z osłoniętych chmurami światów Canopusa. Jego ciało zdobił najpię-

niejszy i najbardziej zdumiewający tatuaż, jaki kiedykolwiek widziałem. Odziedziczył rozległą posiadłość, lecz prawa „technomatyzacji” zmusiły go do wyrzucenia swych pracowników-ludzi na bruk i zatrudnienia robotów. Gdy głodnemu światu zabrakło w końcu pieniędzy na zakup produktów rolniczych, zbankrutował, a Korporacja zabrała mu ziemię, bo nie stać go było na uregulowanie należności za wynajęcie robotów. Najbardziej żał mu było utraconych piwnic z winem, mieszczących się pod jego starym dworem.

Sam Kel Aran, dowódca „Barihorna”, a zarazem strzelec pokładowy obsługujący działo pozytronowe, był czymś więcej niż zwyczajnym piratem Kosmosu. Wiele razy atakował statki i agencje Korporacji. Wyznaczono olbrzymią nagrodę dla tego, kto dostarczy „martwego lub żywego, wyjętego spod prawa Ziemianina zwanego Sokółem”. Pewnego razu, kiedy Jeron Roc stał za pulpitem kontrolnym, Kel zatrzymał się obok mojej koi i opowiedział mi więcej o sobie. Szczupły, o atletycznej lecz zgrabnej figurze, pragnął teraz za wszelką cenę przedrzeć się na Ziemię. Płomień nadziei błyszczał w jego szaroniebieskich oczach.

— Musimy dotrzeć do Ziemi i odnaleźć Kamień, Barihornie — wyszeptał. — Sekret, który zamknąłeś w Kamieniu milion lat temu, jest obecnie jedyną naszą nadzieją — tylko dzięki niemu możemy obalić rządy Malgartha. To znaczy — spojrzał na mnie z troską — jeśli zdołasz go sobie przypomnieć.

A ja nie mogłem sobie nic przypomnieć; wiedzę twórcy Malgartha, z którym utożsa-miała mnie legenda, dzieliły w rzeczywistości od mojej setki tysięcy lat rozwoju nauki.

— Przeszło dwanaście lat czasu ziemskiego — opowiadał mi Kel — minęło od dnia, w którym Verel Erin została wybrana Opiekunką Kamienia. Byłem wtedy młodym chłopcem.

Żyłem dotąd szczęśliwy w tej ukrytej, opuszczonej kotlinie, gdzie przechowywany jest Kamień, bo kochałem ją. Gdy szlochając powiedziała mi, że zostanie Opiekunką, nie próbowa-

łem odwieść jej od tej decyzji — chodziło tu o sprawę honoru; nie istnieje dla istoty ludzkiej bardziej odpowiedzialne i zaszczytne zadanie niż strzeżenie Kamienia. Jednakże wiedziałem, że nie będę potrafił żyć na Ziemi nie mogąc już całować ani brać w ramiona tej jasnowłosej pięknej dziewczyny, którą tak kochałem. Pożegnałem ją w noc poprzedzającą dzień, kiedy otrzymała Kamień. Opuściłem dolinę.



W kopalniach i na plantacjach Ziemi zobaczyłem na własne oczy, jak ciężka jest dola ludzi żyjących pod władzą robotów. Wolno nam było wykonywać tylko najgorsze, najniższe prace — wszystkie inne były zarezerwowane wyłącznie dla technomatów. Z trudem utrzymywałem się przy życiu z nędznej zapłaty, którą otrzymywałem. Widziałem, że cała Ziemia, z wyjątkiem naszej ukrytej doliny, znalazła się już pod panowaniem Malgartha.

Wstąpiłem do Żandarmerii Galaktycznej, licząc na to, że będę tu mógł walczyć w obronie praw ludzi. Szybko się jednak zorientowałem, że Cesarz jest tylko posłusznym narzę-

dziem Malgartha. Na jednej z planet otrzymaliśmy rozkaz zlikwidowania grupy ludzi, których jedyną winą było to, że nie chcieli być niewolnikami. Opuścili pola Korporacja, aby zbudować sobie własne domy na nieurodzajnych wzgórzach.

Po tym zdarzeniu porzuciłem służbę w Żandarmerii Galaktycznej. — Ziemianin odgarnął swe sztywne, jasne włosy, złośliwy uśmiech rozjaśnił jego twarz. — Przyjąłem pracę na prywatnej łodzi kosmicznej admirała Gugona Kula. Był to zgrabny, wspaniały statek. Naj-szybszy z całej floty. I to jest właśnie „Barihorn”.

Wszędzie znajdowałem ludzi nie pogodzonych z narzuconym im przez Malgartha losem niewolników. Starałem się im pomóc różnymi sposobami. Dokonywaliśmy zuchwałych napadów na statki i placówki wroga, a zdobyte pieniądze, żywność i broń przekazywaliśmy powstańcom.

Los obdarzył mnie trójką świetnych kompanów o charakterach podobnych do mojego.

Jeron jest uczonym, strategiem powstania, dostał się do nas z oddziału katodowego Policji Kosmicznej. Rogo Nug to znakomity szpieg, dobrał się nawet do prywatnych dokumentów Gugona Kula przechowywanych na okręcie flagowym admirała i poznał dokładnie ich treść!

Wkradł się na pokład „Barihorna”, aby ukraść nasze przyrządy, i został z nami, kiedy się przekonał, że my również walczymy z robotami. Zereka Ooma wydobyłem z obozu koncentracyjnego; karmiono go tam wyłącznie masą syntetyczną — dostawał filiżankę tego pożywienia co drugi dzień. Gdy jest trzeźwy, milczy. Ale daj mu tylko drinka, a zaraz zacznie przemawiać tak wspaniale, że porwie nawet umarłych do walki z Malgarthem!

Kel Aran potrząsnął swoją jasną głową.

- Trzej wierni towarzysze. — W jego głosie dało się wyczuć zmęczenie. — Jeron sporządził setki znakomych planów. Zerek Oom wzniecił powstania na setkach planet. Ja dowodziłem setkami bojowych akcji. Lecz wszędzie w końcu przegrywamy. Nie możemy walczyć z Korporacją i Cesarstwem równocześnie, jeśli Kamień nam nie pomoże. Twój po-wrót, Barihornie, to pierwszy uśmiech fortuny...

W tym momencie przerwał mu Rogo Nug, wpadłszy nagle do kabiny. Jego ciemna, pokryta bliznami twarz przybrała teraz dziwnie szarą barwę.

— Kel! — zawołał. — Chodź na mostek, Jeron cię potrzebuje! Ziemia znów zniknęła we mgle!

Ciągle nie możemy przedrzeć się przez flotę... Bezczelny drań Malgarth... nigdy nie było takiej blokady! A Ziemia, Kel, spada na Słońce!

— Muszę cię opuścić, Barihornie! — Kel Aran pobiegł na mostek.

Wciąż jeszcze nie będąc w stanie podnieść się z koi, zrozumiałem, widząc napięte, pobladłe twarze i słysząc niewyraźnie wypowiedane słowa oraz przyspieszone brzęczenie silników, że próbujemy desperacko przerwać blokadę, pędząc lotem błyskawicy przez stożek rzucanego przez Ziemię cienia.

Domyśliłem się też w pewnym momencie, że zostaliśmy zatrzymani przez flotę. Generatory ucichły. Po chwili Zerek Oom oznajmił szeptem, że dowódca krążownika Żandarmerii Galaktycznej nakazał nam za pośrednictwem komunikatora teleekranu wyłączyć silniki. Jak przez mgłę, gdzieś w drugim końcu korytarza, usłyszałem głos Kela Arana:

— Ależ Komandorze, jesteśmy zwykłą bandą kosmicznych szcurów. Wierciliśmy szyby szukając rud metali w okolicach Plutona. Zapasy wyczerpały się nam prawie całkowicie, mamy jeszcze tylko parę puszek syntolaku i kilka zapleśniałych kosmicznych sucharów.

— Zachichotał porozumiewawczo. — Chcemy jedynie przycupnąć na chwilę na tej planecie, sir, aby przehandlować nasz metal na żywność, rum i łyk świeżego powietrza.

Gruby, władczy głos zadudnił w odpowiedzi:

— Górnicy? Wasz statek jest zbyt piękny i szybki jak na klatkę dla kosmicznych szcurów! I dlaczegoż to kryjecie się w cieniu? Wyglądacie mi na podejrzanych i zatrzymałbym was na pewno, gdybym nie miał w tej chwili ważniejszych rzeczy na głowie.

Usłyszałem głos Kela Arana, który rzucił szybko rozkaz: „Rogo! Przygotuj generatory!”

Tymczasem głos z teleekranu ciągnął dalej:

— Lecz nie dostaniecie swojego rumu na tej planecie! Nic z tego! Nikomu nie wolno na niej lądować, jest skazana edyktem Cesarza na zagładę. Wszelkie kontakty z nią są zakazane, dopóki nie zostanie zniszczona.

— Zniszczona? — W głosie Kela Arana zabrzmiało przerażenie. — Ziemia ma zostać zniszczona!? — Po czym zreflektował się nagle, przybrał służalczy ton kosmicznego szcúra i spytał: — Z jakiego powodu, sir?

Władczy głos zagrzmiał znowu:

— Rozeszła się plotka o tajemniczej broni, stanowiącej śmiertelne zagrożenie dla Malgartha, trzymanej w ukryciu na Ziemi od czasu, gdy Mistrz Robot został stworzony przez naukowca Barihorna. Nie ma w tym oczywiście nawet śliska prawdy, milion lat dowiodło, że Malgarth jest rzeczywiście niezniszczalny. Ta bzdurna plotka jest rozsiewana przez podłego renegata, Ziemianina Sokoła, który posługując się nią, chce wzniecić rewoltę. Aby skończyć raz na zawsze z podobnymi bzdurami, ukarać Sokoła i uzyskać gwarancje, że powstanie nie znajdzie poparcia na Ziemi — z tych

wszystkich trzech powodów Cesarz zdecydował się na zniszczenie planety. Nie znajdziesz więc rumu na Ziemi!

Co więcej, kosmiczny szurze, jeśli twoja mała balia znajdzie się ponownie w zasięgu promieni naszej floty, zostaniecie oskarżeni o piractwo, działalność wywrotową i bunt i natychmiast spaleni!

Telekomunikator stuknął i ucichł.

Walczyłem ze słabością, która była skutkiem mojego długiego, niezwykle długiego snu.

Próbowałem śledzić ostatnią rozpaczliwą próbę, jaką podjął Kel Aran, by dotrzeć do wyklętej Ziemi. Z docierających do mnie pospiesznych słów i różnorodnych dźwięków starałem się odtworzyć bieg wydarzeń.

Z początku Kel, udając, że posłusznie zastosował się do rozkazów kosmicznego komandora, wycofał się. „Barihorn” wylądował na małym asteroidzie, którego orbita prowadziła nas w kierunku Słońca, a zatem i ku Ziemi. Ukryci w rozpadlinie skalnej czekaliśmy, aż kosmiczna flota przeleci obok nas.

Tymczasem Ziemia znów została otoczona ową zagadkową mgłą i porwana w kierunku Słońca! Nie bacząc na czuwającą flotę, Kel Aran opuścił asteroid, który znalazł się nagle daleko w tyle, i pospieszył w stronę Ziemi. Z jednej z czerwonych, strzegących planety gwiazdek wystrzeliła nagle wąskim niebieskawym strumieniem wiązka pozytronów, której straszliwa moc mogła zniszczyć każdy cel odległy nawet o miliony kilometrów.

Kel Aran i Jeron Roc, stojąc tuż obok siebie przy pulpicie kierowniczym, robili, co tylko mogli, aby uniknąć trafienia. Rdzeń wiązki promieni przemknął na szczęście obok nas, lecz jej krawędź dosięgła „Barihorna”. Jak uderzenie potwornego młota!

Niesamowita energia odrzuciła nas do tyłu. Cały statek rozjarzył się niebieskim światłem elektrycznych wylądowań; powietrze wypełnił zapach ozonu. Brzęczenie naszych silników przycichło nagle.

— Moc! — usłyszałem rozpaczliwy okrzyk Kela Arana. — Musimy utrzymać moc silników, Ziemia jest już prawie przy Słońcu.

— Na wściekłą wątrobę Cesarza! — dobiegł od strony rufy głos Rogo Nuga. — Przeciążenie spaliło obwód konwertorów. Nie mamy mocy!

— Ziemia! — zabrzmiał pełen bólu i przerażenia głos Kela Arana. — Czy nie możemy nic zrobić?

Zsunąłem się z wysiłkiem z koi i chwiejąc się ruszyłem w kierunku ciasnej kabiny pilotów na dziobie „Barihorna”. Olbrzymi Saturnianin z kamienną twarzą patrzył uważnie przez iluminator. Ziemianin szeptał coś smutnym głosem do wewnętrznego interfonu, błagając zapewne Rogo Nuga o moc dla silników.

Stanąwszy tuż za Jeronem Rokiem przyglądałem się straszliwej, pełnej dramatycznego napięcia scenie rozgrywającej się w przestrzeni. Przed nami płonął rozjarzony krąg Słońca; jego blask, choć

osłabiony przez filtrujące szkło iluminatorów, niemal oślepiął. Na tle tej ognistej olbrzymiej tarczy widziałem mały, czarny krążek Ziemi, wciąż zasnutej otaczającą ją dziwaczną, złowieszczą mgłą, i krążące wokół niej małe, czerwone gwiazdki statków floty Zandarmerii Galaktycznej.

Ziemia szybko się zmniejszała.

— Cóż za straszna siła! — szepnął wysoki Saturnianin. — Oni prowadzą ją jak statek, prosto ku Słońcu.

Kel Aran zbliżył się do nas. Oparł swą silną rękę na moim ramieniu i ścisnął je bezwiednie; byłem niemal pewien, że połamię mi kości. I nagle czerwone gwiazdki odsunęły się od znikającej planety. Na moment, gdy zniknęła mgła, ujrzelśmy raz jeszcze Ziemię — wyglą-

dała jak czarna kropka w oceanie bezlitosnej rozżarzonej bieli. A zaraz potem nastąpiło zderzenie.

Niewielka, ciemna plamka pojawiła się na tarczy słonecznej, po czym znikła, a w miejscu, gdzie przed chwilą była, zobaczyłem z kolei plamkę jaśniejszej bieli. Język białego płomienia podniósł się i opadł, jakby plusnęła kropla deszczu.

Zrozumiałem, że planeta Ziemia, po wszystkich zmianach, jakie się dokonały na niej w ciągu milionów lat, przestała istnieć.

— Verel! — usłyszałem suchy, zdławiony szloch Kela Arana. — Yerel, przegraliśmy!

## **Rozdział 6**

# KOSMICZNA BURZA

*W imieniu Tedrona Du, Cesarza Galaktyki, Gugon Kul, Admirala Dwunastego Oddziału Floty Żandarmerii Galaktycznej wszystkim technomatom i ludziom ogłasza, co następuje: Wszyscy ludzie urodzeni na planecie Ziemia, którzy umknęli z niej, zanim została zniszczona, zgodnie z dekretem Cesarza zostają uznani za przestępców, a ich ucieczkę uznaje się za jawną zdradę; winni więc zostać pojmieni i zgładzeni w sposób, na jaki zasługują ci, co ośmielili się zdradzić Cesarza wszystkich technomatów i ludzi oraz Pana Gwiazd.*

To złowieszcze ogłoszenie ukazało się na tekstowej części teleekranu. Rogo Nug skoń-

czył właśnie naprawiać spalone obwody, a Zerek Oom zgłosił dość logiczną w tej sytuacji propozycję, abyśmy jak najszybciej opuścili System Słoneczny.

— Zarówno ty, jak i Barihorn jesteście Ziemianami — dowodził. — Jest to oczywiste dla każdego, kto liźnął choć odrobinę wiedzy o ewolucyjnej adaptacji rdzennej ludności różnych planet. Jeśli kiedykolwiek zostaniemy złapani przez starego Gugona Kula...

Wykonał swymi dużymi białymi dłońmi znaczący nieprzyjemny gest.

Kel Aran potrząsnął jednak przecząco swoją jasną głową. W jego szarobłękitnych oczach, które były teraz zimne i czyste jak polarny lód, dostrzegało się coś przerażającego.

— Nie — powiedział spokojnie. — Z obwieszczenia wynika, że niektórym mieszkań-

com udało się uciec ze skazanej planety. Będziemy szukać. Będziemy szukać, dopóki nie znajdziemy Verel i Kamienia. — Smutek i ból załśniły w jego oczach. — Lub dopóki nie przekonamy się, że ona nie żyje, a Kamień został zniszczony.

Wraz z Jeronem Rokiem wyszli na zewnątrz statku w kombinezonach próżniowych, aby pomalować kadłub „Barihorna” czymś czarnym jak noc, co w ogóle nie odbijało światła. W

ten sposób w ciemnym przepaścistym Kosmosie nasz mały statek stał się zupełnie niewidzialny — można by go było dostrzec chyba tylko wtedy, gdyby się go oglądało na tle jakiegoś promieniującego ciała.

Zawieszeni w ponurej otchłani, starając się uniknąć spotkania z flotą Gugona Kula, rozpoczęliśmy żmudne poszukiwania. Księżyc, gdy niesamowita siła pociągnęła Ziemię w kierunku Słońca, odleciał na niezależną orbitę. W pustce przestrzeni kosmicznej unosiły się również wielkie bryły skalistej materii, które musiały się oderwać od samej planety.

Za pomocą wiązki promieni urządzenia teletransmisyjnego obejrzelśmy dokładnie na teleekranie Księżyc, przeszukaliśmy również wszystkie owe bryły materii oderwanej od Ziemi. Na skalistym pustkowiu wokół nakrytych kopułami miast Księżyca odkryliśmy co najmniej tuzin statków, które przybyły tu z Ziemi, nim jej satelita odłączył się od niej.

Dwa olbrzymie krążowniki wisały już jednak w pobliżu Księżyca. Szybkie łodzie pa-trolowe, wyglądające jak małe szare komety z purpurowymi ogonami, pędziły w stronę uciekinierów. Niektórzy z nich próbowali się bronić lub ukryć wśród skał. Byli jednak bezsilni wobec niebieskich, oślepiających igieł promieni pozytronowych, których do tknięcia mogło zmienić całą górę w przerażające piekło.

Kel Aran nie potrafił przyglądać się spokojnie tej rzezi. Z zaciśniętymi pięściami i pobladłą twarzą biegał tam i z powrotem po wąskim, centralnym korytarzu „Barihorna”.

— Verel! — powtarzał szeptem. — Musimy się uratować dla Verel i Kamienia!

Oddaliliśmy się, aby obserwować sunące przed nami w przestrzeni fragmenty Ziemi.

Kilku rozbitków, ukrytych w zamkniętych fragmentach kadłubów statków powietrznych lub wyposażonych tylko w zaimprovizowane maski tlenowe przywarło do nich, jakby szukając w ten sposób ocalenia. Nie dostrzegliśmy jednak nikogo, kto przypominałby Verel Erin. Grupki szybkich, małych łodzi patrolowych polowały już zresztą na tych nieszczęśników, kierując palące promienie ku wszystkim ocalałym jakimś cudem fragmentom wraków.

Podczas tych naszych poszukiwań Kel Aran opowiadał mi trochę o dziewczynie. Jego głos brzmiał sucho, beznamiętnie. Wspominając ich wspólne dzieciństwo niekiedy wzdygał

się nagle i powracał myślą do tragicznej teraźniejszości.

— Byliśmy silnymi dziećmi — mówił. — Pracowaliśmy ciężko, bo w tej naszej dolinie nie było robotów, używano jedynie najprostszycy maszyn. Pielilem motyką wąski kawałek pola poniżej źródła, a Verel pasła kozy na suchych stokach. Czasami, gdy skończyłem już swoją robotę, wspinałem się do niej. A teraz ona być może już nie żyje!

Zagryzł wargi i dopiero po dłuższej chwili podjął swą opowieść.

— Verel była wspaniałą dziewczyną. Zgrabna, gibka, opalona na brąz, miała figlarne, zielone oczy i jaskrawo rude włosy. Pamiętam, jak któregoś dnia zostawiliśmy kozy i wspięli-

śmy się wysoko między skałami do miejsca, gdzie wypatrzyliśmy orle gniazdo.

Była lżejsza i szybsza ode mnie, więc wspinała się znacznie lepiej. Nie bała się ani upadku, ani ataków wrzeszczących ptaków. Dotarła do gniazda dużo wcześniej niż ja i śmiała się ze mnie. Chciałem wyrzucić młode ptaki z gniazda, ponieważ znalazłem obok niego dziecięce kości. Lecz jej było żal bezradnych piskląt i zmusiła mnie, abym darował im życie.

Tego dnia po raz pierwszy pocałowałem ją i ślubowaliśmy sobie miłość. Przyrzekliśmy sobie, że znajdziemy inną, nieznaną dolinę i zapomnimy o Kamieniu, robotach i wszelkich nieszczęściach ludzkości. Lecz nie minęły dwa lata, a została wybrana Opiekunką, ponieważ wszyscy Strażnicy dobrze znali jej odwagę, wiarę i siłę.

Gdyby tylko Kamień zniszczył Malgartha, gdy otrzymała go po raz pierwszy! Obiecywała przecież, że

będzie go prosić, aby...

Głos mu się załamał. Ciężkim, chwiejnym krokiem odszedł w drugi koniec korytarza.

Jeron Roc, Rogo Nug i Zerek Oom zmęczeni się po jakimś czasie naszymi ryzykownymi poszukiwaniami. Nawet ja straciłem wreszcie nadzieję i zacząłem prosić Kela Arana, aby dał za wygraną.

— Widzieliśmy wszyscy, jak flota przeszukiwała cały System Słoneczny — mówiłem mu. — Tylko niewielu ludzi mogło ocaleć, a promienie spaliły już wszystko, cośmy oglądali.

To przecież nie ma sensu, żeby...

— A ja jednak wierzę — odparł Kel Aran — że ona jeszcze żyje.

Ten młody, waleczny mężczyzna, być może ostatni syn zamordowanej Ziemi, wciąż uważnie kontrolował kierunek przeszukującej wiązki promieni teletransmisyjnych. Niecierpliwym ruchem głowy odrzucił do tyłu swoje długie jasne włosy.

— Verel — powiedział z nutą uporu w głosie — mogła się uratować. Może uczepiła się jakiejś bryły, która znalazła się poza obszarem naszych poszukiwań. Mógł ją stamtąd zabrać i zawieźć w bezpieczne miejsce jakiś przelatujący przypadkowo frachtowiec.

— Nie, musimy jej szukać, tak długo jak będziemy mogli!

Teleekran zamigotał, rozjaśnił się ponownie i zobaczyłem na nim olbrzymi, szary krą-

żownik, sunący wprost na nas. Jego opancerzony dziób, iskrzący się błyszczącymi, krystalicznymi igłami dział pozytronowych, wypełnił połowę ekranu.

Kel Aran na chwilę wstrzymał oddech i przekręcił gałkę regulatora obrazu.

Ekran zamigotał, rozjaśnił się znowu i ukazała się na nim masywna, smągła, brodata twarz. Zmysłowe, wydatne usta zdradzały okrucieństwo, oczy błyszczały złośliwie.

— Admirał — szepnął Kel Aran — Gugon Kul! Chyba znów wydaje rozkazy. Posłuchajmy.

Nacisnął jeden z przycisków i z głośnika teleekranu dobiegł gardłowy, triumfujący głos:

— ... „Barihorn”! Okręt jest pokryty absorbującą światło farbą, ale nasze magnetektory namierzyły go bez trudu. Sokół jest piratem i Ziemianinem zarazem, stanowi więc dla nas podwójną zdobycz. „Barihorn”, poddajcie się!

Zuchwały uśmiech rozjaśnił twarz Kela Arana. Szarobłękitne oczy zwęziły się — teraz naprawdę przypominał sokoła.

— A więc chcą nas złapać!

Teleekran znów zamigotał, a potem ukazała się na nim czarna, ogromna przestrzeń.

Słońce wyglądało jak biały krążek, a gwiazdy tworzyły obcy dla mnie wzór; prawie wszystkie konstelacje, które znałem, zmieniły się nie do poznania przez ten milion lat. Widać było również rój szkarłatnych punktów, które przesuwały się pomiędzy gwiazdami.

— Połowa Floty Dwunastego Oddziału — mruknął Kel Aran. — Sześćset krążowników... gonią nas!

Ściągnął z koi Jerona Roca i zaczęli się pośpiesznie naradzać. Techniczne terminy peszyły mnie trochę, zrozumiałem jednak, że napęd ściągacza przestrzeni „Barihorna” dawał

naszemu statkowi przewagę pod względem swobody manewrów, krążowniki Admirala dysponowały natomiast bardziej nowoczesnym napędem odrzutowym, co, choć czyniło je mniej zwrotnymi, pozwalało osiągać znacznie większą od naszej szybkość maksymalną.

— Przez pewien czas możemy jeszcze utrzymać dystans — powiedział z troską w głosie Saturnianin. — Lecz w końcu nas dopadną. Każdy krążownik ma na pokładzie sto łodzi patrolowych, a z kolei każda z tych łodzi dorównuje nam siłą ognia. Popelniliśmy błąd, prowadząc tak długo poszukiwania w tym regionie.

— Nie — upierał się Ziemiańcin. — Musimy znaleźć Verel Erin.

Przeglądał mapy. Zwoje przezroczystej taśmy oglądane przez stereoskopowy powię-

kszalnik dawały trójwymiarowy obraz setek światów znajdujących się w przestrzeni. Nagle rzucił rozkaz do wewnętrznego mikrofonu. Silniki zadrżały i zaczęły pracować szybciej.

Słońce zmniejszyło się, było teraz żółtą plamką błyszczącą gdzieś daleko poza nami, aż w końcu zniknęło zupełnie wśród gwiazd o większej jasności. Czerwone gwiazdki okrętów floty stawały się z każdą chwilą szersze i jaśniejsze w czarnej przestrzeni.

Jeron stał przy pulpicie sterowniczym jak ponury, ciemny posąg.

— Kel — odezwał się głosem pełnym powagi — przed nami obszar, na którym szaleje kosmiczna burza. Okręty admirala rozciągają szyk — chcą nas osaczyć na jej granicy. Myślę, że byłoby lepiej zawrócić, istnieje jedna szansa na milion...

— Nie — powiedział Kel Aran. — Trzymaj się kursu, który ci podałem.

Na teleekranie nawigator pokazał mi burzę. Znajomą panoramę — niezliczone srebrne okruchy gwiazd rozrzucone w aksamitnej kosmicznej czerni — zaczynała przesłaniać ohydna chmura. Wieloramienna jak olbrzymia ośmiornica, połyskiwała tajemniczą złowieszczą zielenią.

— Oto ona — powiedział Saturnianin. — Skupisko materii tak rozrzedzonej, że jej energia grawitacyjna była zbyt mała, aby połączyć tę masę w gwiazdę. Prawdziwa kosmiczna nawałnica! — Strach zabrzmiał w jego głosie. — Morze żarzącego się gazu. Deszcz roztopionego metalu. Grad meteorów. Błyskawice atomowej energii. A Kel każe mi lecieć prosto na nią!



Szkarłatne gwiazdki za nami stawały się coraz jaśniejsze. Rozprzestrzeniały się we wszystkie strony, w lewo i prawo, w górę i w dół jakby chcąc nas wpędzić prosto w czarną chmurę. A wśród nich błyskały złowieszcze niebieskie punkciki. Wiązki pozytronów, które mogłyby rozbić każdy atom odległego o miliony kilometrów celu.

Starając się złagodzić uczucie napięcia, jakie mną owładnęło, gdy przyglądałem się temu wyścigowi o życie, poszedłem do maszynowni. Między wypukłymi pokrywami silników, tak zgarbiony, że wyglądał jak karzeł, klęczał Rogo Nug, żując miarowo kawałek korzenia *goona-roon*. Splunął do polakierowanej na czerwono puszkę i poskarżył się żałośnie.

— Spójrz tylko, przez tych bezczelnych gnojków Malgartha Kel zmusza mnie, żebym spalił konwertory!

Wskazał na kryształową rurkę, w której szybko spadały krople wody. Woda stanowiła paliwo „Barihorna”. Atomy wodoru były łączone w konwertorze w jądro helu. Przy tej reakcji wyzwalała się „scalająca frakcja” w postaci czystej energii, która napędzała ścieśniasze przestrzeni. Uwalniany przy okazji tlen odświeżał powietrze na pokładzie.

Tuż obok Roga zapalało się i gasło czerwone światło. Z monotonną regularnością odzywał się przenikliwy gong.

— To ostrzeżenie — mruknął Rogo Nug. — Przeciężenie!

Mój niepokój znowu wzrósł, wróciłem do kabiny pilotów. Owa przerażająca, zielonka-wo połyskująca czarna chmura znacznie się rozrosła. Jej spiralne ramiona wyciągały się ku nam, jakby chciała nas nimi pochwycić. Usiłowałem ocenić jej ogrom: setki lat świetlnych, z pewnością więcej niż trylion kilometrów.

Ścigające nas krążowniki zbliżały się nieubłaganie. Znów zmieniły szyk: tworzyły teraz podwójne koło jaśniejszych niż gwiazdy, szkarłatnych plamek. Niebieskie ogniki zapalały się coraz częściej. Nagle, tuż obok nas rozbłysła biało-niebieska płomienna kula. Odwróciłem się i zmrużyłem oczy oslepiony bijącym od niej jaskrawym blaskiem.

— Wiązka pozytronów trafiła jakiś zabłąkany meteor z tej olbrzymiej chmury —

głosem pełnym niepokoju skomentował ten wybuch Saturnianin. — Równie dobrze mogłaby uderzyć w nasz statek.

Kel Aran z zaciętą twarzą zszedł z wieżyczki, w której zamontowana była wyrzutnia promieni „Barihorna”.

— Ich miotacze mają zasięg prawie dziewięciokrotnie większy od naszych — powiedział spokojnie. — Oznacza to osiemdziesiąt razy większą moc. — Podeszedł do teleekranu.

— Ciekaw jestem, co nasz przyjaciel Admirał ma nowego do powiedzenia!

Na ekranie pojawiła się znowu duża, dość tępa, smagła twarz Gugona Kula. Donośny, pewny siebie

głos zadudnił w kabinie:

— ... nie wolno dopuścić żeby zbiegł, ponieważ jest ostatnim żyjącym Ziemianinem.

Właśnie otrzymałem komunikat, który powinien zwiększyć wasze zainteresowanie tą sprawą.

Korporacja oferuje wszystkie dochody z dwunastu światów Lekhana do podziału dla tych, którzy pojmagają lub zabijają Sokoła. Cesarz natomiast zdecydował, że w wypadku gdyby Soko-

łowi udało się uciec, odpowiedzialni za to poniosą śmierć.

Nagły, szaleńczy uśmiech rozjaśnił twarz Kela Arana. Jego szaroniebieskie oczy zwięzi-

ły się, szybkim gestem odgarnął z czoła jasne włosy. W następnej chwili — Jeron Roc skoczył ku niemu, chcąc go powstrzymać, lecz nie zdążył — Kel przekreślił wyłącznik. Spokojnym, szyderczym tonem powiedział:

— Pozdrowienia, Admirale!

Gugon Kul przyglądał się przez chwilę Kelowi, zupełnie oszołomiony, a potem jego grubo ciosana twarz poczerwieniała z wściekłości.

— Ty... ziemski szcurze! — zająknął się. — Jak śmiesz... — Przełknął ślinę i wziął

głęboki oddech. — Włączenie się do mojego komunikatora będzie twoim ostatnim bezczelnym wyczynem! — wrzasnął. — Dostarczymy cię, Sokole, Malgarthowi...

Kel Aran skinął nieznacznie głową, jakby przedrzeźniając napuszoną pozę przeciwnika.

— Nagroda oferowana przez robota bardzo mi pochlebia, Admirale. — Jego miękki niski głos brzmiał niemal śpiewnie. — Ja jednak pozwolę mu zatrzymać dla siebie całe bogactwo Lekhana. Mam również nadzieję, że gdy prześlizgniemy się przez twoją sieć, Cesarz odpowiedzialnością za to nie obciąży ciebie!

Gugon Kul wstał, oddychając gwałtownie, siny z wściekłości.

— A teraz, Admirale — powiedział Kel Aran — zaśpiewam ci piosenkę. Nazwałem ją

„Balladą ostatniego Ziemianina”.

Zaczął śpiewać, patrząc prosto w twarz zaskoczonemu Admirale, przyjemnym, czystym głosem. Ballada miała porywającą za serce melodię, opowiadała o jego dzieciństwie na Ziemi, miłości do Ziemianki, Verel Erin; o zniszczeniu Ziemi, długich poszukiwaniach ukochanej i niezłomnym postanowieniu, by jej szukać nadal.

— „Aż do chwili, gdy ją znajdę lub umrę.”

Admirał z purpurowym rumieńcem wściekłości na twarzy słuchał tylko przez krótką chwilę. Potem zaczął wykrzykiwać komendy dla swej floty, nakazując, by zwarła szyki.

Nagle o czymś sobie przypomniał; jego duże, owłosione ręce zaczęły poruszać się szybko.

Ekran zamigotał i obraz się rozplynął.

Olbrzymia chmura była już przed nami. Przenikało ją blade, zielonkawe światło —

pełen grozy blask jej rozcieńczonych mgławicowych gazów, wystarczająco jasny, by można w nim było dojrzeć unoszone w niesamowitych wirach masy kamieni. Gwałtowne krótkie błyski szkarłatnych eksplozji, pojawiające się gdzieś tam, świadczyły o niewyobrażalnie wielkiej energii zawartej w tej makabrycznej chmurze.

Krążowniki Admirala otaczały nas od tyłu podwójnym półkolem purpurowych płomyków. To tu, to tam błyskały niebieskie punkciki. Białe kule zapalały się wokół nas oślepiają-

cym rojem — to eksplodowały kawałki meteorytów trafione strasznymi promieniami.

Olbrzymi Saturnianin spojrział poważnie znad przyrządów sterowniczych na Kela.

— Kel — powiedział. — Ciągle jeszcze mamy cień szansy, jeśli zawrócimy i spróbujemy przemknąć się między nimi!

Kel Aran potrząsnął jasną głową i uśmiechnął się, jakby na powitanie niebezpieczeństwa.

— Nie — powtórzył. — Przejmuję stery. — Zwrócił swą pogodną twarz w moją stronę.

— Teraz, Barihornie! — wyszeptał. — Jeżeli twoje życie jest wieczne...

Właśnie wtedy ciemne niebo poza nami i ścigające nas szkarłatne gwiazdki zniknęły.

Byliśmy w środku chmury!

## **Rozdział 7**

# KOSMICZNY CYRK

Śmierć otoczyła nas ponurym kręgiem ze wszystkich stron, pędziła ku nam na olbrzymich chropowatych głazach, wyła na nas huraganem żarzącego się gazu, który uderzał w stery i miotał statkiem na wszystkie strony. Śmierć zalewała nas deszczem roztopionego metalu i stukała w kadłub statku werblem meteorytowych odłamków.

Kel Aran podążał na spotkanie ze śmiercią drwiąc sobie z niej i nucąc tę samą pieśń, którą śpiewał niedawno admirałowi. Zastąpił wielkiego Saturnianina przy pulpicie sterowniczym. Jego zgrabne dłonie poruszały się ze zdumiewającą, wręcz niewiarygodną szybkością.

Wymijający głazy i wirujący okręt zdawał się reagować na słowa i rytm jego pieśni.

Co do mnie, nie miałem zbyt wielkiej nadziei, że uda mi się wyjść żywym z tego piekła.

Los pozwolił mi łaskawie przeżyć milion lat, lecz teraz nic już chyba nie mogło nas uratować.

— Myślę — Ziemianin przerwał swoją pieśń — że admirał zrezygnuje z dalszej pogoni.

Nie odważy się ścigać nas aż tutaj, nie skusi go nawet obiecana gwiazda Malgartha!

Jeron Roc stał w pobliżu, zaciskając dłonie na poręczy, co miało go uchronić przed skutkami szaleńczych zmian kursu. W końcu korytarza zobaczyłem sparaliżowanego strachem grubego, wytatuowanego kucharza, Zereka Ooma. Gdy Kelowi Aranowi udało się po raz kolejny gwałtownym zwrotem ocalić nas od śmierci, znów spojrzałem na niego — tło jego tatuażu było teraz bladozielone. Po chwili kucharz pobiegł, kołysząc się, niepewnym krokiem ku rufie, w stronę łazienki.

Pomimo całej niebywalej zręczności Kela Arana jakiś żelazny fragment musiał uderzyć w kadłub, gdyż statek nagle zadzwęczał jak wielki dzwon i zaczął wirować wokół swej kró-

tszej osi. Obiema spoconymi dłońmi złapałem się za uchwyty i zrobiło mi się niedobrze podobnie jak Zerekowi.

Gdy po chwili statek odzyskał normalną pozycję, ruszyłem chwiejąc się na nogach głów-

wnym korytarzem w stronę mojej koi. Podszedł do mnie Jeron, pomógł mi iść, a gdy spoczą-

łem znowu na posłaniu, zmusił mnie do zażycia jeszcze jednej porcji gorzkiego, przyprawiającego o mdłości lekarstwa.

— Przeżyłem milion lat — stęknąłem — i jakoś się obyłem bez takich lekarzy jak ty...

Ściany wokół mnie zadrżały od kolejnego przerażającego uderzenia, a statek zaczął

wirować jak w szalonym tańcu. Niesamowity żar przenikał przez gruby pancerz. Nie miałem czym oddychać. Poczulem niewyraźne lecz bolesne ukłucie — było to jakieś zabójcze promieniowanie. W

tym momencie wszystko zalała miłosierna ciemność.

Gdy ocknąłem się ponownie, znów usłyszałem równy pomruk silników „Barihorna” sunącego gładko poprzez międzygwiazdną przestrzeń. Skłębiona koszmarna chmura pozosta-

ła za nami. Wynurzyliśmy się z jednego z jej spiralnych ramion, jak poinformował mnie Kel Aran, pod kątem prostym w stosunku do kierunku wejścia.

— Stary Gugon Kul próbował obstawić całą chmurę policyjnymi okrętami. Ale na to i sto flot byłoby za mało. Tak czy inaczej, był pewien, że nie wyjdziemy z tego wszystkiego żywi.

— A więc sądzi, że zginęliśmy? — Z uczuciem ulgi usiadłem na koi. — Nie będzie więc już na nas polował?

Wielki Zerek Oom, który właśnie wychodził ze swej kajuty, wycierając grube, wytatuowane ręce białym ręcznikiem, pozbawił mnie tej nadziei.

— Niestety, Barihornie, jest gorzej, niż było — powiedział i rzucił smutne spojrzenie w stronę Kela Arana. — Rzeczywiście, Admirał uwierzył, że zginęliśmy. Zawiadomił wszystkie biura Korporacji — widzieliśmy to na teleekranie — że zniknęliśmy w chmurze. Otrzymał ró-

wnież odpowiedź z Czarnego Mystoona, z kryjówki samego Malgartha, że nagroda za śmierć Sokoła zostanie wypłacona.

— No? — zdziwiłem się. — Więc wszystko w porządku?

Zerek Oom spojrzał z wyrzutem na Ziemianina.

— Kel ponownie włączył się do jego komunikatora — powiedział. — I pochwalił się, że udało się nam wydostać. I że ty, Barihornie, który stworzyłeś Malgartha milion lat temu, jesteś z nami. Potem zaśpiewał mu znowu pieśń ostatniego Ziemianina. Admirał był siny z wściekłości!

Spojrzałem na Kela Arana.

— Admirał musiał mocno przeżyć utratę nagrody — powiedziałem. — Będzie na nas polował z jeszcze większą zaciekłością niż dotychczas.

Znajomy, zuchwały uśmiech rozjaśnił twarz Ziemianina.

— Owszem — zaśmiał się cicho — będzie. — Nagle jego szare oczy spowaźniały. —

Przykro mi, bo po tym, co zrobiłem, Barihornie, znowu zawisło nad nami wielkie niebezpieczeństwo. Trudniej nam będzie również prowadzić poszukiwania Verel i Kamienia.

Potrząsnął ze smutkiem jasną głową.

— Nie mogłem jednak dopuścić do tego, by ludzie uwierzyli, że zginęliśmy. Jesteśmy dla nich jedyną

ostoją, jedynymi niezwycięzonymi bojownikami ludzkości walczącymi wciąż przeciw robotom. Chciałem również, aby jak najszybciej rozeszła się wśród nich wieść o twoim cudownym powrocie, Barihornie. Musimy podtrzymywać w ludziach nadzieję nie zważając na koszty. W przeciwnym razie niewola i śmierć okażą się silniejsze i przegramy.

— Rozumiem — powiedziałem. — Cóż więc robimy?

— Musimy nadal — powiedział stanowczym tonem — szukać Verel i Kamienia. Malgarth boi się zarówno Kamienia, jak i ciebie, Barihornie, to pewne; w przeciwnym razie nie ścigałby nas tak zawzięcie. My natomiast dobrze wiemy, że bez pomocy Kamienia Malgarth zdławi bunt ludzi tak łatwo i szybko, jak podmuch wichury gasi płomyk świecy.

— Lecz jak możemy kontynuować poszukiwania w takiej sytuacji? — spytałem zdziwiony.

Kel Aran skinął głową.

— Mamy plan — powiedział.

Zauważyłem, że „Barihorn” został przechrzczony na „Chimerę”. Rogo Nug malował

właśnie nową nazwę obok jakichś dziwnych, jaskrawych napisów reklamowych. Kadłub był

teraz pokryty plamami znakomicie imitującymi rdzę, dzięki czemu statek sprawiał wrażenie niemal tak starego jak mój „Astronauta”. A Jeron Roc pokazał mi wykaligrafowany kolorowymi literami plakat:

**PRZYJDŹ! ZOBACZ!**

Nadzwyczajny! Wspaniały! Niepowtarzalny!

**MIĘDZYGWIEZDNY SHOW**

**ZOBACZ:**

Dziwną Syrenę z Procjona II

**PŁYNNEGO CZŁOWIEKA Z MOG!**

Ludożercze Kwiaty z Corona

oraz SETSI — PIASKOWEGO NIETOPERZA

**JEDYNĄ WE WSZECHŚWIECIE KRZEMOWĄ ISTOTĘ,**

która odżywia się krzemieniem

**I CZYTA W TWOICH MYŚLACH!**

a także

1.000.000 Dziwów!

Zgromadzone okazy były w większości nieprawdziwe — tylko naiwny widz mógł się dać nabrać i uwierzyć, że ogląda autentyczne cuda i osobliwości. Wystawy tego typu miały jednak niezwykle długą tradycję — pierwszym ich twórcą i organizatorem był, prawie milion lat temu, pewien Ziemianin o nazwisku Barnum.

W marynowanej syrenie, na przykład, z łatwością rozpoznałem dzieło Rogo Nuga, wyglądem przypominała bowiem do złudzenia jego kompozycje złożone z rybich ogonów, wodorostów i łupin orzecha kokosowego. Trudno mi było uwierzyć, że kwiat karłowatego, gumowatego krzewu mogłyby pochwyć i pożreć jakiegokolwiek człowieka. „Płynny człowiek z Mog” — trzęsąca się masa fluoryzującej, purpurowej galaretki — odznaczał się rzeczywiście niezwykle, fascynującym wyglądem, lecz widziałem, jak Jeron Roc tworzył go w swej kuchni z kilku chemicznych składników, paru drutów i kieszonkowej latarki.

W ciągu wielu lat gwiazdnej włóczęgi cała czwórka nabierała jednak sporo prawdziwych dziwów. Setsi, „piaskowy nietoperz”, był prawdopodobnie najbardziej niezwykle stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem. Podstawowym tworzywem jego ciała był rzeczywiście krzem, a nie węgiel, i rzeczywiście odżywiał się kwarcem.

Ze swymi sześcioma wysmukłymi ramionami kształtem przypominał rozgwiazdę o średnicy około dwudziestu pięciu centymetrów. Jego płaskie ciało połyskiwało wspaniale, mieniąc się tysiącem odcieni purpury, czerwieni, zieleni i złota, a w środku tego ciała znajdowało się pojedyncze duże oko, ciemne i smutne.

— Pewnego razu — opowiadał mi Kel Aran — po dokonaniu napadu na wyjątkowo bogatą agencję Korporacji, kiedy policja Malgartha i Żandarmeria Galaktyczna wpadły na mój trop, ukrywałem się w jakiejś dziwnej jaskini. Było to na pewnej zimnej, martwej planecie, która oddaliła się zbyt daleko od ogrzewającej ją przez wieki gwiazdy.

— Uderzyła mnie pewna regularność korytarzy w jaskini. Napotykałem poodrywane kamienie, które uprzednio musiały tworzyć ściany. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że znajduję się w korytarzach jakiegoś olbrzymiego budynku; jego wyższe piętra musiały rozsypać się w gruzy jeszcze przed powstaniem Ziemi. Poruszając się po omacku, dostrzegłem słaby blask i znalazłem... Setsiego!

Przyglądałem się, jak wyjmował krzemową istotę z klatki. Wyglądała krucho i delikatnie jak jakaś ozdoba wydmuchana z jaskrawo kolorowego szkła. Dotknąłem ją ostrożnie i ukłułem się w palec o ostry koniuszek jednego z jej ramion.

— Ale przecież on nie jest... — zaprotestowałem — żywy!

— Jest, możesz mi wierzyć — odparł Kel Aran. — On jest starszy niż Ziemia. Krzemowe istoty nie rozmnażają się. Tylko trzy pojawiły się, kiedy życie narodziło się na ich planecie. Są za to praktycznie nieśmiertelne.

Wszystkie trzy żyły razem przez miliardy lat. Zdominowały o wiele liczniejsze istoty zbudowane głównie z węgla i zdobyły władzę na planecie. W którymś momencie doszło jednak do konfliktu pomiędzy nimi. Nie znam szczegółów, Setsi nigdy o tym nie wspomina, chyba że jest bardzo pijany. Chodziło o zazdrość. Jeden zabił drugiego. Setsi z zemsty zabił

tego, który był zabójcą, i żył samotnie przez długi, długi czas.

— Pijany? — Spojrzałem na szczupłego Ziemianina i istotę, którą trzymał w ręku jak szklaną zabawkę. Kel Aran skinął głową potakująco.

— A jakże, Setsi podziela słabość Zereka Ooma. Dla pobudzenia metabolizmu asymiluje co jakiś czas dużą ilość jakiegoś związku węgla. Może to być benzyna lub cukier, ale jego ulubionym paliwem jest alkohol; spójrz!

Położył lśniąca kruchą istotę na stole w kuchni i z butelki Zereka Ooma nalał na dłoń kilka kropel rumu.

— Setsi, staruszkule! — zawołał. — Chcesz trochę grogu?

Duże, ciemne oko zapłonęło jaśniejszym blaskiem. Dostrzegłem szybkie wibrowanie cienkiej przezroczystej błony łączącej ramiona o krystalicznej strukturze. Melodyjny głos, który przypominał gruchanie gołębia, odpowiedział mu łagodnie i miękko:

— O tak, Kel! Setsi umiera z pragnienia!

Kel wyciągnął rękę w stronę Setsiego i wtedy błyszcząca istota nagle ożyła. Płaskie błony rozciągnęły się i stworzyciel skoczył w powietrze, rozświetlił drżącym, kolorowym blaskiem dłoń Kela Arana i począł łapczywie ssać z niej rum.

Kilka kropel alkoholu podziałało nań w zdumiewający sposób. Odleciał z dłoni Kela w stronę butelki i przyssał się do niej. Ziemianin delikatnie odsunął butelkę.

— Setsi — zgnął stworza — nie można okradać biednego Zereka.

Po czym odwrócił się do mnie.

— Oto jest istota, która może się chwalić, że po wypiciu zawartości zakąsa butelką.

Jaskrawo kolorowe zjawisko frunęło nagle i przyczepiło się twardymi, małymi pazurkami do mojego ramienia. Cyklopowe oko spoglądało na mnie z wielką powagą.

— A więc to ty jesteś Barihorn? — zaskoczył mnie po raz pierwszy swą niesamowitą, niepokojącą intuicyjną wiedzą. — Jesteśmy wszyscy bardzo starzy, ty, ja i robot, ale ty się obawiasz, że wcale nie jesteś Barihornem, lecz tylko Barrym Hornem! — Usłyszałem w jego dziwnym głosie ton ogromnej uciechy. — Nie przejmuj się, Barry. Setsi nic nie powie!

Niepewnie odfrunął do Kela Arana.



— Biedny Kel! — zaświergotał. — Boi się, że Verel nie żyje. Że Verel nie żyje, a my nigdy nie znajdziemy Kamienia. Że Verel nie żyje, a on jest ostatnim żyjącym Ziemianinem.

Że Verel nie żyje i tylko Setsi pozostał, aby go ukoić.

Dało się słyszeć melodyjne szlochanie.

— I biedny stary Setsi! Ostatni piaskowy nietoperz. Nie ma już nic prócz swej starości i wspomnień. Ale przeżyte lata są więzieniem, a wspomnienia gorzką trucizną. Pozostał

zupełnie sam, ponieważ zabił tego, kto go kochał. Proszę Kel, daj mu jeszcze jedną kroplę rumu, aby mógł zapamiętać. Tylko jedną kroplę. Proszę, bardzo proszę!

Kel Aran zamknął jego drżące ciało w swej dłoni.

— Opanuj się — wymruczał — stary grzeszniku. Stoi przed nami ważne zadanie, Setsi.

Musisz nam pomóc znaleźć Verel Erin.

— Setsi pomoże wam ją znaleźć — zabrzmiała odpowiedź — Setsi z pewnością ją znajdzie. Lecz ty musisz ustąpić co do rumu, Kel. Setsi nie może żyć bez rumu.

— Mnóstwo czasu minęło, zanim to odkryłeś... — Odwróciwszy się od kuchni, gruby Zerek Oom z zatroskaną miną porwał butelkę i schował ją do szafki. — Ale ja również nie mogę.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Kel Aran przeistoczył się w Naraleka, kulawe-go, starego artystę z Alula Australis IX. Jego skórzany kosmiczny strój zdobiły muszle i pióra z nieznanymi planet. Przybrał zuchwałą, wyzywającą postawę, buntowniczą minę i posługując się kosmicznym slangiem przechwalał się straszliwie swoimi sukcesami. Wargi i rozczochrana, żółta broda miał poplamione korzeniami *goona-roon*, które żuł teraz ciągle, plując czerwonym sokiem z godną podziwu zręcznością.

Mała „Chimera”, wyposażona w poźółkłe dokumenty zręcznie przerobione przez Jerona Roca z papierów, które Rogo Nug ukradł z frachtowca, niosła nas od planety do planety.

Ładowaliśmy zawsze w pobliżu jakiegoś dużego miasta i tam rozbijaliśmy połatany namiot.

Głos Zereka Ooma dzięki odrobinie rumu stawał się niezwykle melodyjny, głęboki i zawsze przyciągał tłumy spragnionych widoku dziwów z Kosmosu. Rogo Nug, zasuszony, mały szczur kosmiczny, przechadzał się swobodnie wśród tłumu, a nieraz załatwiając jakieś tajemnicze sprawy kręcił się w pobliżu portu kosmicznego lub wyprawiał do miasta, gdzie zniknął

czasami na wiele godzin. Zazwyczaj powracał z cennymi informacjami dotyczącymi planów Korporacji i Cesarstwa zmierzających do tłumienia ludzkich buntów. Często kieszenie jego wysłużonego plecaka wypchane były pieniędzmi i klejnotami.

Ja występowałem w roli „straszliwego jaskiniowca, Atawara z Marsa”. Siedziałem w namiocie,

uzbrojony w kamienną siekierę, błyskając i pobrzękując łańcuchem, do którego byłem przykuty, pokryty celowo gromadzoną grubą warstwą brudu, a cały mój strój stanowił

kawałek cętkowanego futra. Moim zadaniem było słuchać czujnie tego, o czym mówiono dokoła, i wychwytywać wszelkie, nawet najdrobniejsze wzmianki o zamordowanej siostrze Marsa, Ziemi.

Jeron Roc podsłuchiwał sprzedając bilety, a Kel, kiedy kuśtykając wokoło, prezentował publiczności syrenę z Procjona, płynnego człowieka, antropofagiczny kwiat i Atawara.

Skrzeczającym, starym głosem Kel śpiewał potem ballady kosmiczne. Opowiadał również dowcipy; z niektórych śmiano się chyba już milion lat temu. W końcu, z Setsi wirującym wokół jego głowy niby kolorowy płomień, wykonywał jakiś przedziwny taniec.

Po przedstawieniu, w czasie gdy my ładowaliśmy na nasz statek inne eksponaty i składaliśmy namiot, Setsi czytał w umysłach tych, którzy, po uiszczeniu odpowiedniej opłaty, mieli prawo wysłuchać — w specjalnie do tego celu przeznaczonych budce — fascynujących przepowiedni Kela. I żadna z myśli o Ziemi nie mogła mu umknąć.

W ten sposób przeszukiwaliśmy planetę po planecie, próbując odnaleźć tych nielicznych Ziemiaków, którym udało się jakimś cudem uciec z nieszczęsnej planety, nim potężna flota Malgartha zepchnęła Ziemię na Słońce. I rzeczywiście trafiliśmy na ślad kilku z nich.

Cierpliwie, krok po kroku posuwaliśmy się każdym tropem. W końcu zawsze jednak się okazywało, że Policja Kosmiczna Malgartha i Żandarmeria Galaktyczna zdążyły nas wyprzedzić, że rozbitek został już schwytany i zgładzony jako zdrajca.

Z całą pewnością jednak wśród tych wytropionych i zgładzonych nie było Verel Erin.

Pozostała nam zatem jeszcze jakaś cienka, z każdym dniem coraz węższa nić nadziei.

Był to trudny, męczący okres. Te planety, na których bunt już się wypalił, zostały objęte kwarantanną i nie było mowy o tym, by się tam dostać. Nawet nasz pozostający poza wszelkimi podejrzeniami cyrkowy statek nie mógł przekroczyć kordonu Galaktycznej Żandarmerii.

Ale i na „szczęśliwszych” planetach, które pozwolono nam odwiedzić, ludzie żyli w straszliwych warunkach, w ciągłym zagrożeniu. Wszelkie dobra i przywileje zagarnęły roboty. Ludzi bezlitośnie pozbawiono pracy, głodzono, niszczone.

— Malgarth jest chytry — powiedział Kel Aran. — Działa pomału, stopniowo, ale konsekwentnie. Najpierw stara się sprawdzić, czy Kamień rzeczywiście stanowi jeszcze dla niego zagrożenie. Próbuje wytępić wszystkich, którzy mogliby cokolwiek o nim wiedzieć, a więc wszystkich Ziemiaków. Następnie prowokuje ludzi do buntu, na każdej z poszczególnych planet osobno, raz tu, raz tam... i dławi kolejno te powstania. Oszukuje Cesarza, który pozwala mu używać Żandarmerii Galaktycznej do ich tłumienia.

Widziałem, że pomału gaśnie w Kelu nadzieja. Cierpienie rzeźbiło głębokie bruzdy w jego szczupłej twarzy i aby zmienić go w starego Naraleka wystarczył teraz tylko bardzo delikatny makijaż. Jego oczy stawały się coraz smutniejsze.

— Stare przysłowie mówi — powiedział pewnego dnia — że szukanie igły na planecie szpilek jest beznadziejnym zadaniem. Wydaje mi się jednak łatwiejsze od poszukiwania ucie-kinierki zagubionej we wrogim Wszechświecie.

— Która zresztą prawdopodobnie — dokończył ponurym głosem Saturnianin — już nie żyje.

Przeszukaliśmy mnóstwo gwiazd, po czym wróciliśmy do Systemu Słonecznego i zaczęliśmy krążyć tuż pod samym nosem Admirała Gugona Kula. Na czterech głównych księżycach Jowisza, gdzie zwolnieni z pracy górnicy zaatakowali roboty, toczyły się zacięte krwawe walki. Nie byliśmy w stanie przedrzeć się przez granicę kwarantanny. Na Merkurym nie mieszkał obecnie ani jeden człowiek, gdyż po zdławieniu powstania ludzi wyrżnięto w pień. Odwiedziliśmy jednak wszystkie pozostałe planety Układu. Znaleźliśmy ślady kilkuna-stu uciekinierów z Ziemi, lecz przekonaliśmy się, że każdy z nich poniósł w końcu śmierć.

Nadzieja zaświtała nam ponownie w chwili, gdy wydawało się, że znikła już raz na zawsze.

Baza Dwunastego Oddziału Floty w Systemie Słonecznym znajdowała się na Oberonie, najdalszym księżycu Uranu. „Naralekowi” pozwolono wylądować i rozbić jego połatany, mały namiot tuż przy rozległym porcie kosmicznym, który aż po horyzont wypełniony był

kilometrowymi szarymi, masywnymi krążownikami międzygwiazdowymi.

W zamian za uzyskane pozwolenie na występy Kel dał darmowe bilety kilku oficerom.

Prawdziwy dar odczytywania sekretnych myśli, który posiadał Setsi, wzbudził ogólne zainteresowanie. Przyszli i inni oficerowie. W końcu, eskortowany przez setkę postawnych osobników w żółto-szkarłatnych mundurach, pojawił się osobiście Gugon Kul.

Olbrzymi, smagły komandor przerwał przedstawienie i miotając przekleństwa domagał

się, by mu natychmiast zaprezentowano telepatyczną moc piaskowego nietoperza. Pokaz ten właśnie się zaczynał. Kel zaprosił admirała do swojej niewielkiej kabiny, a Setsi słodkim głosem zaczął opowiadać o fantastycznych zakładach na dworze w Ledros, o niezbilansowanych wydatkach na flotę i łapówkach, które Kul przyjął od Malgartha za obietnicę podporządkowania całej floty Korporacji.

Admirał oblał się purpurowym rumieńcem i wypadł z kabiny. Udał się pospiesznie na okręt flagowy, a jego straż powróciła wkrótce, by zatrzymać „Chimerę” i aresztować nas wszystkich jako podejrzanych o szpiegostwo.

Przybyli o minutę za późno. Otwarli natychmiast ogień w kierunku naszego oddalają-

cego się statku, ale nie wyrządzili nam nawet najmniejszej szkody. Wizyta Gugona Kula wywołała natomiast u Setsi ciąg skojarzeń, który doprowadził go do tak długo szukanego przez nas rozwiązania.

— Niebezpieczeństwo, Kel! Och, niebezpieczeństwo i tancerka. Tedron Du ma tancerkę. Kel, wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie! — opisywał swoją wizję z gulgoczącym, drżącym chichotem. — Gdyż admirał dowiedział się, ile jego tajemnic zna Setsi! Lecz Cesarz na Ledros ma nową tancerkę. I ona także jest w niebezpieczeństwie, ponieważ nazywa się Verel Erin!

## Rozdział 8

### MECHANICZNY SOBOWTÓR

Alarm postawił na nogi załogi wszystkich statków stojących na kosmodromie, który przed chwilą opuściliśmy. Olbrzymie krążowniki ciężko podnosiły się ze swoich stanowisk.

Tysiące małych, szarych łodzi patrolowych, równie szybkich jak nasz statek, wystrzeliło w górę i puściło się w pogoń.

— Jesteśmy zgubieni! — krzyknąłem.

Olbrzymi Jeron, stojący przed pulpitem kontrolnym, posępnie potrząsnął głową.

— Tym razem — powiedział ponurym tonem — nie wymkniemy się im. Są już zbyt blisko. Nasz pokryty rdzawymi plamami kadłub bardzo łatwo dostrzec w przestrzeni. Starają się dostać pomiędzy nas i kosmiczną chmurę, żeby Kel nie mógł powtórzyć swojej sztuczki!

— Nie będzie potrzeby.

Ziemianin wciąż jeszcze miał na sobie brudny, jaskrawy strój starego Naraleka. Jego szczupła postać promieniowała jednak energią, a szare oczy płonęły żądzą walki. Uczepiony jego ramienia piaskowy nietoperz wyglądał jak ogromna ćma o diamentowych skrzydłach.

Rój czerwonych gwiazdek — płomieni odrzutowych silników statków naszych prześladowców — rósł i rozszerzał się z każdą chwilą. Pierwsze z nich już nas doganiały, śmiertelne niebieskie igły przeszywały przestrzeń wokół statku. Kel Aran odwrócił się wolno od iluminatora w stronę teleekranu.

— ... szpiedzy! — Był to głos Gugona Kula. — Wrogowie Korporacji i Cesarstwa!

Muszą zostać ujęci.

Coś pstryknęło.

— Zaczekaj, Admirale! — W głosie Kela Arana zadźwięczał ostrzegawczy ton. — Czy pamiętasz, co ci powiedział w kabinie Setsi?

Odpowiedzią był ogłuszający, wściekły ryk.

— Oczywiście, na Cesarza! — Nieartykułowane dźwięki wydawane przez admirała zaczęły w końcu przypominać ludzką mowę. — I dowodzi to, że twój cyrk jest bandą szpiegów!

— Być może — przerwał mu Kel Aran. — Lecz dowodzi to również, że ty jesteś kimś znacznie gorszym niż szpieg! Wiemy sto razy więcej, niż Setsi ci powiedział. Czy pamiętasz grę w Ledros, gdy postawiłeś trzy statki pod swoją komendą przeciw niewolnicy i przegrałeś je do Malgartha? Czy pamiętasz, jak zdobyłeś fundusze, aby zapłacić za pięć księżyców Haari? Czy pamiętasz...

Admirał zareagował przeraźliwym, jeszcze głośniejszym rykiem.

— Jeśli nie chcesz, abym ci to przypominał, admirale — włączył się znowu Ziemianin

— wydaj swym statkom rozkaz, by zawróciły. W przeciwnym razie cała twoja flota się dowie, dlaczego jej zapasy żywności są zgniłe! I czemu obcięto żołąd!

Piaskowy nietoperz rozplaszczył się na jego ramieniu, lśniąc migotliwym, diamentowym blaskiem.

— Uwważaj, admirale — zaśpiewała krzemowa istota. — Setsi powie! Och, admirale, ile może odpowiedzieć Setsi! Bo Setsi wie! Setsi wie o ukrytej kabynie na twoim statku i tych, których tam więzisz, wie o śmiertelnym narkotyku *ixili!*

— A więc — zapytał ostro Kel Aran. — Czy mamy nadawać, admirale?

W ciszy, która teraz zapadła, słyszeliśmy ciężki, przyspieszony oddech admirała.

— W porządku — powiedział Kel Aran, a jego palec dotknęły wyłącznika przy ekranie.

— Nie, nie nadawaj! — Dało się słyszeć ochryple, bardzo ciche westchnienie. — Każę zawrócić flocie. Ale musimy się spotkać, żebym ci mógł za to zapłacić.

— Bardzo chętnie — uśmiechnął się Kel Aran.

— Spotkasz się ze mną? — sapnął admirał. — Gdzie? Kiedy?

— Na Czarnym Mystoonie — rzucił Kel Aran wyzywającym tonem. — W noc, gdy zginie Malgarth!

Na moment znowu zapadła cisza. Kiedy ponownie rozległ się głos admirała, słysząc w nim było wyraźny lęk.

— Mystoon? Przecież na Mystoon nie ma prawa wstępu nikt z wyjątkiem robotów, ludzie nie znają nawet jego położenia. Jak możemy się tam spotkać? I czyż nie wiesz, że Malgarth nigdy nie umrze?

— Ja znajdę drogę — oznajmił Ziemianin. — A w nieśmiertelność Malgartha nie wierzę.

Trzasnął wyłącznik i Kel szybko odwrócił się od ekranu. Radosny uśmiech jaśniał na jego twarzy; nucił cicho melodię swojej ballady o Verel Erin, która kończyła się frazą: „aż znajdę ją lub zginę”.

— Teraz — powiedział radosnym tonem — z pewnością ją znajdziemy.

Gugon Kul dotrzymał słowa — ścigające nas czerwone gwiazdki rzeczywiście zatrzymały się i

zawróciły. Jednakże Jeron, który skierował nasz mały statek ku głównemu systemowi gwiazdowego Cesarstwa Galaktycznego, nie miał zbyt pogodnej miny.

— Malgarth wkrótce dowie się o wszystkim — martwił się. — A jest znacznie bystrzej-szy niż nasz chytry Admirał. Z pewnością szybko się zorientuje, że ów kulawy artysta to Ziemski Sokół, który ciągle szuka Kamienia, i równie szybko zastawi na nas pułapkę!

Obietnica nowej porcji rumu podziałała skutecznie: senny piaskowy nietoperz przypomniał sobie kilka dodatkowych informacji, jakie udało mu się wydobyć z mózgu Admirała.

Verel została schwytana w pobliżu starej orbity Ziemi. Leciła w kombinezonie kosmicznym, który miał spalone silniki sterujące, i natknęła się na jedną z łodzi patrolowych Gugona Kula.

Gdy Cesarz zobaczył Verel na teleekranie, był olśniony jej pięknnością. Rozkazał, aby przywieziono ją do Ledros. Więziona tu, oszałamiana systematycznie narkotykami, miała zostać zgładzona jak wszyscy inni ludzie pochodzący z przeklętej planety, gdy Cesarz się nią już znuży.

— Narkotyzowana — wyszeptał Kel Aran. Jego twarz przypominała teraz szarą, naprężoną maskę. — Na łasce Tedrona Du! — Oczy zaśniły mu zimnym, stalowym blaskiem. —

Lecimy do Ledros, Barihornie. Uwolnimy Verel i Kamień. Przy okazji, gdy już się tam dostaniemy, zapłacimy Cesarzowi za wszystkie jego przestępstwa popełnione w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Jeron przypomniał, że na Ledros stacjonują potężne oddziały Żandarmerii Galaktycznej, które — zanim zdążymy tam dotrzeć — zostaną na pewno postawione w stan gotowości bojowej. Kel Aran nie godził się jednak na żadną zwłokę — za bardzo się obawiał o życie Verel.

Nie przerywając lotu statku wyszliśmy na zewnątrz i pomalowaliśmy kadłub na czarno, by stał się niewidzialny. Dokumenty „Chimery” zostały spalone, a większość używanych w naszym cyrku rekwizytów wyrzuciliśmy w przestrzeń.

Mimo iż ścieśniacz przestrzeni „Barihorna” miał wręcz niewiarygodną moc, zanim dotarliśmy do Ledros, minęło wiele dni. W czasie podróży studiowaliśmy mapy, próbując przewidzieć różne warianty rozwoju wypadków.

— Ledros — powiedział Kel Aran — jest największym systemem planetarnym Galaktyki. W odległości miliardów kilometrów od potrójnego słońca krąży czterdzieści olbrzymich planet. Na wielu z nich wybudowano cesarskie pałace i skarbcie oraz budynki admini-stracyjne. Co najmniej połowę jednak zajmują w całości bazy i fortyfikacje Żandarmerii Galaktycznej. Prywatna flota Tedrona Du jest trzy razy większa od tej, którą dysponuje nasz stary przyjaciel, admirał.

Udało się nam prześlizgnąć przez długie rzędy zawieszonych w próżni groźnych kolo-salnych krążowników. Zasłonięci szkarłatnym płomieniem wydobywającym się z dysz olbrzymiego frachtowca, wiozącego żywność dla żołnierzy, urzędników i kurtyzan Cesarza, przedostaliśmy się bezpiecznie do środka pierścienia ufortyfikowanych planet i skręciwszy w bok ruszyliśmy w kierunku rajskiego świata Tedrona Du.

Trzy słońca: szkarłatne, niebieskobiałe i najbardziej fascynujące — bladozielone, przed-stawiały wspaniały widok. Czterdzieści gigantycznych planet rozświetlonych zmieniającymi się promieniami potrójnej gwiazdy wyglądało na tle czerni kosmicznej nocy jak sznur wspaniałych pereł. Sama cesarska planeta rozkoszy, z mnóstwem starannie pielęgnowanych ogrodów, pełnych różnorodnych drzew, krzewów i różnobarwnych kwiatów, z bogatymi pałacami, łukami triumfalnymi i pomnikami wzniesionymi przez tysiące generacji potężnych władców, przypominała przepyszny klejnot. Zbliżając się ku niej od pogrążonej w mroku strony wyłączyliśmy właśnie silnik, aby przemknąć się niepostrzeżenie pomiędzy łodziami kolejnego patrolu Żandarmerii Galaktycznej, gdy gruby Zerek Oom, ocierając pot z ozdobionego tatuażem czoła, oznajmił ponuro:

— Zaczęło się dobrze, ale nie chwalmy dnia przed zachodem słońca!

Kel Aran przejął stery z rąk Saturnianina. Przemknęliśmy cichym nurkowym lotem ponad rzęsiście oświetlonym pałacem i wylądowaliśmy w przyległym ogrodzie. „Barihorn” pogrążył się miękko w chłodnej wodzie wspaniałego basenu o srebrzystych brzegach, zacięzionego krzewami i drzewami.

Kel Aran nie przypominał w tym momencie Sokoła. Jego twarz była szara, spięta, pokryta kroplami potu. Szczupłe ręce drżały. Oddychał pospiesznie, mówił chrapliwym, przerywanym głosem. W jego duszy najwyraźniej toczyła się walka pomiędzy ogromną nadzieją i równie ogromnym lękiem.

— W ciągu najbliższej półgodziny — wyrzucił z siebie — albo ją uwolnimy, albo dowiemy się, że nie żyje.

Poczułem ulgę, gdy zdecydowałem, że pójdę wraz z nim. Przeszliśmy do śluzy wyjściowej statku i zamknęliśmy hermetyczne drzwi. Nie zabraliśmy skafandrów, ponieważ powietrze na planecie nadawało się do oddychania. Każdy z nas miał za to po dwa miotacze o długich lufach. Otworzyliśmy luk i zalała nas woda basenu. Wziąłem głęboki oddech, zanurkowałem tuż za Ziemianinem i popłynąłem w górę.

Ociekając wodą wygramoliliśmy się na srebrne obrzeże i chwilę odpoczywaliśmy pod białym listowiem nieznanego drzewa. Wokół wciąż jeszcze panował spokój, czuliśmy jednak, że w otaczającej nas ciszy gromadzi się napięcie, jak gdyby jakieś niewidoczne niebezpieczeństwo skradało się ku nam, wstrzymując oddech!

Zachodziło ostatnie z trzech słońc, szmaragdowe, i niesamowita zielona luna rozlała się po niebie. Wszystkie krzaki i drzewa, a nawet gęste, aksamitne trawniki w tym rozległym, otoczonym murem ogrodzie były białe jak śnieg. Olbrzymie okna rozjarzyły się nagle krwistoczerwonym światłem i dotarły do nas słodkie, delikatne dźwięki melancholijnej muzyki.

Spojrzałem na piaskowego nietoperza, który siedział na ramieniu Kela i trzepotał swoimi sześcioma błyszczącymi kończynami, strząsając z nich drobne krople wody. Usłyszałem jego gruchający głos.

— Ona właśnie tańczy, Kel, ślicznie tańczy przed Cesarzem. Jej ciało jest jak drżący w powietrzu promień światła. Jest śliczna, Kel, bardzo śliczna! Lecz w jej umyśle nie mogę znaleźć niczego, o czym mógłbym ci powiedzieć. Ona nic nie czuje, Kel. Niczego nie pamięta.

Nie ma żadnych pragnień ani nadziei. Tańczy przed cesarzem Tedronem Du!

Setsi znów zatrzepotał ramionami, jego ciało rozjaśniło się blaskiem miliona drżących jakby ze zgrozy światełek.

— Oczy Tedrona Du! Och, jakie to straszne oczy! Są spragnione, Kel. Są głodne. Są niecierpliwe i okrutne! Jak pięknie ona tańczy, Kel! Jak czarownie, z jakim wdziękiem, pomimo że jej umysł śpi! Cesarzowi zapiera dech. Palce jego dłoni splatają się. Jest spragniony, Kel. Ach, tak strasznie spragniony jej krwi!

Wyżeliśmy wodę z naszych ubrań, wysuszyliśmy i sprawdziliśmy broń. Kel Aran, blady i napięty, przysłuchiwał się gruchaniu Setsi. Zimne światło zapłonęło w jego oczach.

— Zaczekaj tutaj, Barihornie — dobiegł mnie jego pełen napięcia szept. — Uważaj na statek i czekaj na mój powrót. Idę odnaleźć Verel.

Zacząłem nalegać, aby pozwolił mi iść ze sobą. Uciszył mnie jednym niecierpliwym gestem. Oddalił się cicho przez śmiertelnie biały ogród w kierunku purpurowych okien, zza których dobiegały ciche tony muzyki. Zostałem sam. Powietrze było ciężkie od zapachu lilii.

Niesamowita, przytłaczająca i pełna napięcia cisza stawała się coraz trudniejsza do zniesienia.

Czekałem długo, bardzo długo. Zielonkawa zorza już dawno znikła. Gwiazdy na niebie świeciły dziwnym, zimnym blaskiem, a ogromne błyszczące planety Ledros znaczyły między nimi różnokolorową ścieżkę. A wokół ciągle czaiła się, niczym zgłodniałe zwierzę, ta przerażająca cisza.

Przysłuchiwałem się niewyraźnym dźwiękom dobiegającym z oddali, licząc na to, że dowiem się w ten sposób, co się dzieje z Kelem Aranem. Muzyka brzmiała orgiastycznym rytmem, milion lat temu nazwałbym ją „swingiem”. Czasami rozlegała się salwa pijackiego śmiechu, a raz usłyszałem kobiecy krzyk.

Ale co się działo z Kel Aranem? Minuty ciągnęły się nieskończenie wolno. Trupiobiałe drzewa otaczały niczym upiory basen, pod którego powierzchnią spoczywał nasz statek. Przy-

ćmiony, szkarłatny blask rozjaśnił ciemne niebo, widocznie czerwone słońce miało wschodzić pierwsze. Mimo to cisza gęstniała i stawała się coraz bardziej przerażająca.

Nagle usłyszałem gwałtowny hałas. Krzyki i głośnie komendy. Warkot pistoletów katodowych i cichy syk miotaczy. Grzmot gwałtownego wybuchu. A potem zobaczyłem Kela Arana.

Z wielkiego okna posypały się kryształowe szyby. Przez chwilę na czerwonym tle widziałem jego samotną, szczupłą sylwetkę. Miotacz w jego dłoni wystrzelił białym płomieniem. Schylił się, podniósł w ramionach smukłą dziewczynę i skoczył w ciemność.

Czarny dym, wyraźnie widoczny w pomarańczowym blasku, wylewał się z okna. Wrza-wa rosła z



każdą chwilą, aż w końcu ryk płomieni zagłuszył wołania i krzyki. Olbrzymie maszyny spłynęły spod nieba i poczęły zalewać płonący pałac białymi strumieniami.

Zobaczyłem ruch w białym listowiu i pobiegłem Kelowi Aranowi na spotkanie. Zamiast niego ujrzałem jednak oddział Żandarmerii Galaktycznej, grupkę ludzi w czerwono-żółtych uniformach. Ukryłem się za krawędzią basenu.

— Sokół! — usłyszałem zdyszany głos, gdy mnie mijali. — Podpalił pałac! Jest tam, z tancerką Cesarza!

Szkarłatna mgła zgęstniała. Dym i płomień buchnęły wyżej, walka z ogniem była już przegrana. Wczołgałem się pod białe gałęzie z gotowym do strzału miotaczem w dłoni.

— Barihorn!

Usłyszałem nagle szept Kela Arana i wzdrygnąłem się, jakby tuż obok ktoś wystrzelił z pistoletu. Stał za mną przy krawędzi basenu i trzymał na rękach z trudem chwytającą powietrze dziewczynę. Podarte skrawki jedwabnej, delikatnej jak mgiełka tkaniny poprzywierały do jej szczupłego białego ciała.

— Odnalazłem ją — szepnął triumfująco. — I Kamień!

Dotknął wielkiego klejnotu zawieszzonego przy jej talii i zobaczyłem, że rzeczywiście miał on kształt diamentowej bryły, w której, jak pamiętałem ze swego snu, zamknięta została na wieki jaźń Dondary Keradin.

Wpatrywałem się w drżącą, oddychającą z wysiłkiem dziewczynę. Była niezwykle pię-

kna, to prawda. Coś jednak zaniepokoiło mnie w jej wyglądzie, coś, co nie było skutkiem za-

żywania przez nią narkotyków. W jej oczach, zupełnie przytomnych i czujnych, dostrzegłem jakiś obcy wyraz — zimny, wyrachowany, wrogi.

— Verel! — wyszeptał Kel. — Uda się nam na pewno, mimo że schwytali biednego Setsi! Ciągle nie mogę uwierzyć... Jesteś znów moja... a ja myślałem, że nie żyjesz! —

Przyciągnął bliżej do siebie jej piękne ciało. — I Kamień!

— Kel! — zaszlochała w jego ramionach. — Mój kochany Kel!

Usłyszałem głośnie komendę i zobaczyłem inny oddział Żandarmerii Galaktycznej, przedzierający się przez białe zarośla w stronę płonącego pałacu. W chwili gdy dotknąłem ramienia Ziemianina, aby go ostrzec, usłyszeliśmy huczący głos:

— Stój, Sokole! Poddaj się lub umrzesz!

Kel pociągnął dziewczynę w kierunku basenu.

— Nurkuj! — krzyknął. — Musimy dopłynąć do luku śluzy.

— Gdzie? — utkwiała w nim badawcze spojrzenie swych zimnych oczu.

— Pospiesz się! — prosił Kel. W jego głosie usłyszałem nutę zwątpienia. — Statek jest w basenie.

Przykucnęła raptownie. Jej białe, drobne ciało, poznaczone podczas ucieczki czerwonymi śladami zadrapań, naprężyło się naraz, jakby była dzikim zwierzęciem. Oczy lśniły zielonkawym blaskiem. Usłyszałem, jak krzyknęła wysokim głosem:

— Tutaj! Kel Aran, Sokół jest tutaj. Bierzcie go!

Jak kot rzuciła się na Ziemianina, próbując go odciągnąć od srebrnej krawędzi. Walczył z nią rozpaczliwie.

— Pomóż mi, Barihornie! — krzyknął. — Musimy ją uratować! Malgarth... Ona nie wie, co robi!

W odpowiedzi na wołanie dziewczyny rozległy się krzyki. Białe ostrzegawcze promienie zasyczały nad nami. Ujrzałem jeszcze dwa inne oddziały biegnące w naszym kierunku.

Próbowałem pomóc Kelowi Aranowi wciągnąć dziewczynę do basenu. Jej szczupłe białe ramiona miały jednak nadludzką moc. Poderwała nas obu w górę i znów odciągnęła od srebrnego brzegu.

— Silna! — zdziwił się Kel. — Jest silna jak robot! — Nagle wyjąkał przerażony. —

Ona jest...

W następnej chwili zobaczyłem coś przerażającego. Chcąc stanąć znowu na ziemi Kel pochwycił dłonią rude włosy dziewczyny i... — włosy zostały mu w ręku! Cała zewnętrzna część jej głowy również odpadła.

Jej biała, piękna twarz była tylko maską.

Podrapane, nagie ciało zachowało swój neodparty urok. Lecz to, co sterczało ponad ramionami, było zwykłą metalową oprawą mózgu robota, z soczewkami oczu lśniącymi tryumfalnie lodowato zimną zielenią.

Ośłupiały ze zdumienia i przerażony tym widokiem usiłowałem bezskutecznie uwolnić się od uścisku tych pięknych ramion, znacznie silniejszych od najmocniejszych żywych rąk.

— Teraz rozumiem! — dobiegł mnie nabrzmiały rozpaczą głos Kela Arana. — To była pułapka Malgartha! A przynętą była nie Verel, lecz robot, jej sobowtór!

W następnej chwili obaj zostaliśmy rzućeni na trupiobiałą trawę. Otoczył nas zwarty krąg żandarmów; ich broń, skierowana w naszą stronę, błyszczała ponuro w świetle płoną-

cego pałacu. Szkaradna głowa robota osadzona ponad białymi, kształtnymi ramionami Verel Erin poczęła się trząść ze śmiechu, jak maszyna, która nagle oszalała.

— Spójrz! — Usłyszałem znowu ton rozpaczony w głosie Kela Arana. — To nawet nie był Kamień!

Wskazał na obrzeże basenu. Zobaczyłem kawałki olbrzymiego klejnotu, który upadł

tam i roztrzaskał się. Żaden z nich nie lśnił tym wspaniałym blaskiem, jakim płonie prawdziwy klejnot. Zrozumiałem, że była to bryła zwyczajnego szkła, a nie kamień Dondary.

Urokliwy, szalony, mechaniczny śmiech rozbrzmiewał coraz głośniej.

## **Rozdział 9**

# ROBOT I CESARZ

Na planecie Ledros po krwistoczerwonym brzasku wstawał upiornie blady dzień. Otoczony białymi ogrodami pałac wciąż jeszcze płonął niby stos pogrzebowy Cesarstwa Galaktycznego. Kel Aran i ja zostaliśmy dokładnie przeszukani, zabrano nam broń i skuto nas razem.

Blisko stu strażników Cesarza w sztywnych czerwono-żółtych mundurach siedziało dookoła, czuwając, byśmy jakimś cudem nie umknęli.

Za nami grupka ludzi ostrożnie opuszczała do srebrzystego basenu, na którego dnie spoczywał „Barihorn”, błyszczący metalowy walec na grubej linie. Ziemianin przyglądał się temu przez moment, a potem spojrzał na mnie i bezradnie wzruszył ramionami. Skinieniem głowy wskazał jednocześnie na niebo. Ujrzałem tam niewyraźny kształt długiego na dwa kilometry krążownika Żandarmerii Galaktycznej. Krążył leniwie ponad nami, ciągnąc za sobą wydobywającą się z dysz wstęgę bladoczerwonego pulsującego ognia.

— To bomba wodorowa — powiedział Kel Aran cichym, martwym głosem. — Ten metalowy walec ma zgładzić naszych przyjaciół, zanim ktokolwiek zdoła ich ostrzec o niebezpieczeństwie. A krążownik pilnuje, żeby przypadkiem nie udało im się uciec.

Pomyślałem o trzech ludziach na dnie basenu. Wysoki, poważny Saturnianin z całą pewnością czuwał w tej chwili przy przyrządach kontrolnych, skupiony i napięty, gotów do natychmiastowego działania. Zwiny mały Rogo Nug, stojąc przy konwertorach żuł zapewne w skupieniu korzeń *goona-roon*. Ogromny Duży Zerek Oom szukał chyba, jak zwykle, ukoje-nia w butelce. Byli skazani na śmierć. A my, uwięzieni, nie mogliśmy ich ostrzec.

— Setsi... — wyszeptał Kel. — Gdyby on tu był...

— Piaskowy nietoperz? — przypomniałem sobie. — Co się z nim stało?

— Wprowadził mnie do pałacu — wyszeptał Ziemianin. — I kilka razy, kierując się swoją intuicją, ostrzegał mnie w porę, gdy należało się kryć. Wskazał mi drogę do Verel, a raczej do tego... — Jego oddech stał się nagle chrapliwy, przypomniał sobie robota, który grał

rolę kobiety.

— Setsi ostrzegał mnie przecież, że nie może dotrzeć do jej świadomości, powinienem zacząć coś podejrzewać! Ale gdy ją znaleźliśmy, nic było już czasu na rozmyślanie. Rozpoczęła się walka. Aby odwrócić uwagę przeciwnika, za pomocą swego miotacza podpaliłem gobeliny na ścianach. Musiałem również spalić chyba z tuzin żandarmów. Nie uwierzyłbyś, jak walczył Setsi! Kręcąc się jak szklana strzała potrafi z łatwością wywiercić w czaszce śliczną dziurkę! Chwyciłem Verel, a on próbował osłaniać odwrót. Wtedy jeden z robotów wystrzelił promieniem katodowym. Odwróciłem się i zobaczyłem, że piaskowy nietoperz spada na ziemię. Nie było chwili do stracenia, musieliśmy przebić się przez płomień do okna.

Udało się! Pomyśleć, że Setsi umarł, abyśmy mogli zdobyć coś takiego!

Pełnymi smutku i bólu oczyma Ziemianin wpatrywał się w robota, którego porwał z pałacu. Widok sobowtóra Verel sprawiał niesamowite wrażenie. Porysowane, białe wiotkie ciało nie utraciło nic ze swego dziewczęcego uroku. Szkarłatne krople wciąż spadały z ramion, ud i zgrabnych, okrągłych piersi, poranionych podczas walki.

Lecz jego głowa wyglądała monstrualnie.

Metal, z którego ją wykonano, połyskiwał czerwono w blasku bijącym od płonącego jak pochodnia pałacu. Sztuczne zielone oczy spoglądały chłodno i czujnie. Ta głowa była groteskowo mała, gdyż musiała się przedtem mieścić w leżącej teraz obok na trawie masce, imitującej głowę ukochanej Kela Arana. Gdy żołnierze odbierali nam miotacze, zielone oczy błyszczały podnieceniem, a robot śmiał się jak szalony... jeśli maszyna może być szalona!

Smukłym, dziewczęcym ramieniem z którego kapały czerwone krople, robot-sobowtór wskazał na Kela Arana. W jego ohydnej metalowej głowie otwarła się szczelina. Kobięcy, miękki głos odezwał się kpiąco:

— A więc, Sokole Ziemi, schwymano cię w końcu w sidła! Wobec potęgi Mistrza jesteś tylko... wróblem! Ostatnim ze swego nędznego gatunku, którego Mistrz tak długo się obawiał.

Teraz, kiedy zostałeś ujęty, razem z tobą umrze całe to marne plemię.

Kel Aran odwrócił się ze wstrętem od robota, który tak bardzo był podobny do jego ukochanej dziewczyny. Chwycił moją dłoń, kajdany zadźwięczały ponuro.

— To już ponad moje siły, Barihornie — wyszeptał. — Wszystko stracone... zostaliśmy pokonani...

— A może Verel nadal żyje gdzieś bezpiecznie — próbowałem dodać mu odwagi. — I ciągle chroni prawdziwy Kamień.

Potrząsnął jasną głową, jakby chciał w ten sposób powiedzieć, że stracił wszelką nadzieję.

— Nie, Malgarth ją więzi — wyszeptał. — Bo to... przerwał na chwilę — to monstrum jest doskonałą kopią. Figura, sposób bycia i głos przypominają do złudzenia Verel. —

Wstrząsnął się. — Nawet śmiech brzmi niemal identycznie.

Żandarmi zmusili nas, byśmy się odsunęli od basenu, zamierzano bowiem za chwilę zrzucić bombę. Spętany Kel Aran potknął się. Jeden z żandarmów ukarał go okrutnym smagnięciem promienia swojego miotacza i zaśmiał się, gdy mięśnie zasyczały i skrzyły się gwałtownie.

Robot ruszył naszym śladem kołysząc ramionami.

— Jeśli cię to interesuje, Wróblu — powiedział z wyraźną ironią w głosie — zanim minie godzina, twój proces będzie zakończony, a wyrok wykonany. Kiedy umrze ostatni Ziemianin, Mistrz...

Robot-sobowtór Verel przerwał nagle i odwrócił swoją straszną głowę. Usłyszałem odgłosy wrzawy dobiegające od strony wciąż płonącego pałacu. Na zalanym czerwonym blaskiem pożaru śnieżnobiałym trawniku pojawiła się jakaś jaskrawo ubrana postać. Ów ktoś biegł jak szalony w naszym kierunku. Zdumieni żandarmi zastygli w bezruchu.

— Cesarz! — rozległy się pełne przerażenia okrzyki. — To jest Tedron Du!

Uciekinier był szczupłym mężczyzną, o niemal dziewczęcej figurze i bladej, szczupłej twarzy uszminkowanej tak jaskrawo, że kojarzyła się nieodparcie z twarzą ladacznicy. Długie blond włosy rozwiały się na wietrze, a purpurowa szata była porozdzierana w kilku miejscach.

Przypomniał mi się cały katalog jego przestępstw, o których opowiadali z goryczą Kel Aran i jego towarzysze. To właśnie ten człowiek zdradził Wszechświat dla Malgartha, to on rozkazał legionom i flocie Żandarmerii Galaktycznej, aby walczyły po stronie robotów, przeciw buntującej się ludzkości. Wydawał się zbyt mały, zbyt delikatny, aby mógł popełnić te wszystkie zbrodnie, o których słyszałem. Biegł, krzycząc rozpaczliwie cienkim, przenikliwym głosem. I nagle zrozumiałem powód jego przerażenia.

Ścigał go robot.

Należał niewątpliwie do dobrze wszystkim znanej Kosmicznej Policji Korporacji; wysoki na trzy metry, musiał ważyć chyba tonę. Był pomalowany na czerwono, od stóp do głów, a na jego piersi widniało czarne koło, symbol władzy Malgartha. W metalowych szponach ścisnął krótki, niezgrabnie wyglądający pistolet katodowy.

— Zatrzymajcie robota! — zawołał oficer żandarmerii. — Musimy uratować Cesarza.

— Cesarza! — Kel Aran splunął z pogardą. — Ten człowiek był zawsze tylko zdegene-rowaną kukielką Korporacji Malgartha, nikiem więcej. Teraz, gdy my jesteśmy w niewoli, a Malgarth nie boi się już Kamienia, nie potrzebuje już także swego dwunożnego kundla.

Zdyszany władca biegł prosto w naszą stronę.

— Ludzie, pomóżcie mi! — błagał, łapiąc z trudem oddech. — Zabijcie robota. Za połowę Galaktyki...

Oficerowie wydawali szybkie komendy. Żandarmi ustawili się przede mną i Kelem Aranem w nowym szyku. Sto ich niewielkich miotaczy dorównywało siłą katodowej broni robota.

Nagle Cesarz potknął się i upadł. Goniący go purpurowy robot, który znajdował się w tym momencie jakieś dziesięć metrów za nim, podniósł swą broń. Przedtem jednak usłysza-

łem ostrą komendę i białe płomienie wystrzeliły z miotaczy.

Czerwonawa, ledwo widoczna wiązka promieni z pistoletu katodowego przesunęła się wzdłuż szeregu żandarmów. Dziesięciu porażonych nią ludzi runęło na biały trawnik. Ale w momencie, gdy robota dosięgły białe promienie miotaczy, jego niezgrabne, czerwone cielsko ogarnął oślepiający

plomień uwolnionego wodoru. Dymiąc i skręcając się gwałtownie upadł

tuż obok Tedrona Du.

Przerażony władca podniósł się z trudem na nogi, po czym zrobił parę kroków do przodu, wdychając dym palącej się trawy, cierpki zapach ozonu i odór palonego ludzkiego ciała.

Gniew i pragnienie zemsty malowały się na jego ciągle jeszcze wykrzywionej strachem twarzy.

— Gdzie była moja ochrona, gdzie ci, którzy są odpowiedzialni za moje bezpieczeństwo? — zachłystywał się. — Tysiąc ludzi zapłaci śmiercią za ten karygodny brak czujności...

— Tak jest, Najwyższy Władco! — wypowiedział ten tytuł z wyraźną ironią czystym, kobiecym głosem robot-sobowtór Verel. — Lecz teraz kolej na ciebie... — Pójdź, mój Panie Wszechświata. Spoczywałeś w moich ramionach tyle razy... Jeszcze jeden, ostatni uścisk...

Wyczuwszy drwinę w pieśczośliwym głosie, Cesarz cofnął się raptownie. Wyraz przerażenia pojawił się na jego chudej twarzy, pokrytej grubą warstwą szminki. Pisnął cienko, jak bezbronne, zranione zwierzę.

— Pójdź — wzywał uwodzicielski szept. — Pójdź w moje ramiona!

Robot z ciałem pięknej dziewczyny i przerażającą, metalową głową wysunął się przed szereg zaskoczonych żandarmów. Jego szczupłe, białe ramiona otoczyły Cesarza i zamknęły się w nagłym uścisku.

Rozległ się straszny krzyk i trzask łamanych kości. Trysnęła krew plamiąc czerwienią smukłe, białe, tak niesamowicie silne ramiona. Gdy robot wypuścił w końcu z objęć ciało władcy Galaktyki, było ono już jedynie mokrą szkarłatną miazgą.

W następnej chwili monstrum odwróciło się ku oniemiałym żandarmom. Z przerażającej metalowej głowy wydobył się śpiewny, kobiecy głos:

— To jest ostrzeżenie dla was wszystkich. Przekażcie je innym ludziom. Korporacja nie popiera już Cesarstwa. Obecnie bowiem Mistrz jest Panem świata, a Cesarstwo przestało istnieć raz na zawsze!

Przez milion lat wiodąc żywot niewolników, roboty, technomaty służyły ludzkości.

Lecz ta haniebna epoka dobiegła końca. Sprawiedliwości stanie się zadość! Tytułem zadość-

uczynienia za dokonane przez milion lat zbrodnie i chcąc mieć pełną gwarancję, że nigdy się już one nie powtórzą, musimy zniszczyć ludzką rasę.

Pan Świata, Malgarth, nakazał ze swego Miejsca na Czarnym Mystoonie, że wszyscy ludzie muszą umrzeć!

Oficerowie wykrzykiwali urywane rozkazy. Żandarmi poderwali znów swe miotacze, lecz robot, jakby pijany triumfem, zupełnie to zlekceważył. Strumienie atomowych promieni spowiły jego postać, nastąpiła gwałtowna eksplozja uwolnionego wodoru. Robot upadł.

Łańcuch, którym skute były moje ręce, pociągnął mnie nagle do tyłu. Runąłem za Kelem Aranem do basenu.

## Rozdział 10

### TRIUMF TECHNOMATÓW

Zdumiony, zdążyłem jeszcze w ostatniej chwili zaczerpnąć haust powietrza do płuc, po czym woda zamknęła się nad moją głową. Oświetlony upiornym szkarłatem świtu basen sprawiał wrażenie wypełnionego rozcieńczoną krwią. Niełatwo było poruszać skutymi łańcuchem rękami, staraliśmy się jednak płynąć jak najszybciej w kierunku majaczącego w dole kadłuba „Barihorna”.

Nasze dłonie dotknęły wreszcie gładkiego metalu. Zaczęliśmy go obmacywać, szukając wejścia do luku, gdy nagle poczułem potężny wstrząs, woda uderzyła nas ze straszliwą siłą.

W chwilę później wstrząs się powtórzył — otrzymałem następny cios, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Do licha, pomyślałem sobie, co dopiero może się dzieć na powierzchni! Rozpę-

tało się chyba prawdziwe piekło!

Oszołomiony, walczyłem rozpaczliwie z kajdanami i wodą szukając po omacku wej-

ścia. Woda przenikała do nosa, gardła, płuc. Wydawało mi się, że mijają wieki. W głowie mi się mąciło, człowiek, do którego byłem przykuty, stał się nagle diabłem ciągnącym mnie w śmiertelną otchłań. Rzuciłem się na niego z furią. Z czerwonej mgły wynurzyła się ręka, zbliżała się wolno, lecz nieubłaganie i wreszcie uderzyła. Otoczyła mnie kojąca ciemność.

Pamiętam, że kiedy się ocknąłem, ujrzałem tuż przy sobie zgrabną postać w srebrzystym kombinezonie. Wspierany silnym ramieniem mogłem utrzymać głowę ponad powierzchnią wody, wypełniającej niewielką szluzę. Z wysiłkiem wciągnąłem do płuc zimne powietrze tłoczone przez pompy.

— Barihorn! — usłyszałem nosowy głos Rogo Nuga. — Na żelazny łeb Malgartha, byłem pewien, że żyłeś zbyt długo, by móc się utopić w wannie!

Wiedziałem, że tylko cudem wywinąłem się śmierci. Łapiąc chciwie powietrze, czułem się wcale nie lepiej niż zwyczajny wyłowiony z wody topielec. A przecież miałem odegrać rolę obdarzonego nadnaturalną mocą orędownika i zbawcy ludzkości! Nigdy dotąd nie byłem tak mocno przekonany, że ta rola zdecydowanie przekracza moje możliwości.

Kel Aran, siny na twarzy, stał tuż obok mnie. Skrzywił się; miał to być uśmiech.

— Mieliśmy szczęście, że byłeś czujny i skoczyłeś nam na ratunek, Rogo — wysapał.



— Powiedz, co się dzieje na górze?

W tej samej chwili kolejne niesamowite uderzenie wstrząsnęło małym pomieszczeniem.

— Bitwa, która może zniszczyć planetę! — wyjaśnił mały inżynier. — Przybyła następna flota! Olbrzymie czerwone krążowniki z czarnym kołem Malgartha. Zaatakowały Żandarmerię Galaktyczną. Roboty przeciw ludziom Cesarza! Na mosiężne oblicze Malgartha, nigdy nie było takiej bitwy! Musimy stąd wiać jak najszybciej.

— Dobrze! — zgodził się Kel Aran. — Tylko pozbądźmy się tych kajdan.

W kilka minut później „Barihorn” wystartował ze swej kryjówki w basenie parkowym, w górę, ku rozjaśnionemu czerwonym blaskiem wschodzącego słońca niebu. Znaleźliśmy się w prawdziwym piekle! To szkarłatne niebo wypełnione było bowiem potężnymi kosmicznymi okrętami: szara flota zamordowanego Cesarza toczyła nierówny, beznadziejny bój z czerwoną armadą robotów. Ledwo widoczne, długie na kilometry okręty pędziły we wszystkie strony niczym rojące się komary. Wiązki niebieskich, pozytronowych promieni rozjaśniały przestrzeń, raketowe torpedy eksplodowały z siłą kataklizmu.

Zapamiętałem jedynie pojedyncze, oderwane obrazy tej strasznej bitwy. Dym i tańczące płomienie. Migające odłamki i zwały ruin. Widziałem na pół stopiony, płaski wrak statku kosmicznego leżący nieruchomo w miejscu, gdzie jeszcze niedawno dopalały się zgliszcza wspaniałego pałacu Cesarza.

„Barihorn”, maleńki pyłek w tym piekielnym świetle ognia, grzmotu i destrukcji, wznosił się nie zauważony lub ignorowany. Przedzieraliśmy się obok dziwnie przechylnego gigantycznego okrętu ku otwartej, w miarę bezpiecznej przestrzeni.

Zasnuta unoszącym się ponad zgliszczami dymem powierzchnia planety pozostała już daleko za nami. Na teleekranie obserwowaliśmy inne bitwy toczące się na wszystkich ufortyfikowanych planetach Ledros, a także w przestrzeni pomiędzy nimi. Po pewnym czasie potrójne słońce pozostało również za nami. Pędziliśmy przez czarną, pustą otchłań.

— Nareszcie bezpieczni! — odetchnąłem z ulgą.

Szczupła twarz Kela Arana, który wciąż zmieniał obraz na teleekranie i obserwował z uwagą straszliwe bitwy rozgrywające się wokół nas, była jednak nadal poważna i napięta.

— Żaden człowiek nie jest bezpieczny i nigdy nie będzie, dopóki Malgarth nie zostanie zniszczony — powiedział ponuro. — Roboty odrzuciły już ostatnie pozory przyjaźni. Obecnie likwidują swych oszukanych ludzkich sprzymierzeńców z Żandarmerii Galaktycznej. Gdy skończą z nimi, uderzą na nie spodziewających się ataku ludzkich mieszkańców na wszystkich zamieszkałych planetach. Musimy jak najszybciej odnaleźć Verel i Kamień, bo wkró-

tce nie będzie już kogo ratować.

— Odnaleźć — powtórzył wysoki, smagły Saturnianin. — Ale jak?

Ziemianin potrząsnął głową.

— Nie wiem — odparł ze smutkiem w głosie — Setsi mógłby znów pomóc, ale zginął.

Wierzę, że Verel jest w rękach robotów, bo w przeciwnym razie nie potrafiłyby sporządzić tak dokładnej jej kopii. Może przebywa na Czarnym Mystoonie. Polecimy tam i będziemy jej szukać.

— Wzruszył ramionami, zwątpienie i znużenie odmalowało się na jego twarzy. —

Jednakże jeszcze żadnemu człowiekowi nie udało się odnaleźć ukrytej nory Malgartha.

Zacisnął zęby i wyprostował się ponownie.

— Możemy jedynie szukać — mruknął. — Przeszukamy każdy świat, na którym jeszcze żyją ludzie. Każdy świat nie podbity jeszcze do końca przez roboty. Aż znajdziemy ją lub umrzemy!

Skazany na zagładę system Ledros został tak daleko za nami, że jego różnokolorowe słońca zlały się w jeden biały punkt, a potem nawet ten punkt zgasł i zniknął z teleekranu.

Planeta po planecie, gwiazda po gwiazdzie przeszukiwaliśmy cierpliwie niebo za pomocą pulsującej teletronowej wiązki.

I nie znaleźliśmy ani jednego człowieka.

Technomaty Malgartha odniosły wszędzie pełne zwycięstwo.

Ów tryumf ciemności był czymś straszliwym, czymś, co paraliżowało umysł i wolę.

Ponura cisza zaległa na „Barihornie” — dręczeni złymi przeczuciami nie mieliśmy ochoty na żadne rozmowy — cisza tak ciężka, że zdawała się tłumić jednostajne mruczenie generatorów. Nawet Kel Aran, przytłoczony beznadziejnością sytuacji, zaprzestał śpiewania swoich zuchwałych ballad o Sokole. Czuwający nieustannie nad pracą maszyn mały Rogo Nug w milczeniu żuł korzeń *goona-roon*. Zerek Oom przestał stukać garnkami i patelniami i nikt nic miał do niego pretensji o to, że nie podał posiłku.

W końcu jednak nagły krzyk przerwał tę ponurą ciszę.

— Tutaj! — Kel drżąc na całym ciele wpatrywał się w teleekran. — Planeta, na której wojna wciąż trwa. Patrzcie! Maszyny nie wygrały jeszcze do końca!

Planetą tą był olbrzymi starożytny Meldoon wchodzący w skład układu potrójnego.

Dwoma pozostałymi planetami tego układu władały już roboty. Łądy zmieniły się tam w bezkształtne płaszczyzny oznaczone gdzieś czarnymi skupiskami gigantycznych maszyn. Zniknęła cała zieleń, całe życie zostało wytrzebione. Nawet morza stały się basenami, którym nadano kształt idealnych figur geometrycznych.

Świat maszyn!

Jego widok musiał sprawiać trudny do zniesienia ból każdej żywej istocie.

— Cóż dobrego może przynieść takie przerażające zwycięstwo? — szepnął Saturnianin, który z ponurą miną stał przy przyrządach kontrolnych. — Maszyny nie żyją. Ich inwencja kończy się na imitowaniu życia. A żadne życie nie może powstać ze śmierci.

Skierował nasz pomalowany ochronną farbą statek w stronę olbrzymiego Meldoonu.

Przyglądaliśmy się jego zniszczonej przez wojnę powierzchni, doskonale widocznej na obrazie teleekranu.

— Tam! — wyszeptał Kel Aran. — To miasto wciąż jeszcze istnieje! Być może tam jest Verel.

Niespokojnymi palcami regulował ostrość wizji teleekranu. Obraz obłożonej metropolii stawał się coraz wyraźniejszy. Miasto było większe i piękniejsze niż najwspanialsze miasta na Ziemi. Różnokolorowe wieże wznosiły się dumnie z dziewięciu niskich wzgórz. Otaczał je podwójny mur: wewnętrzny, zbudowany z ogromnych głazów, i zewnętrzny, którego ściany tworzyły blade zielone płomienie.

Za tym podwójnym murem, w szerokiej płaskiej dolinie otaczającej wzgórze, dostrzegłem niezliczone hordy robotów. Groteskowe czarno-czerwone metalowe monstra tłoczyły się wokół olbrzymich, niezgrabnych machin wojennych.

— Patrzcie! — Kel Aran pochylił się nad teleekranem. — Są również skrzydlate, jeszcze jeden niesamowity wynalazek Malgartha.

Tak więc po raz pierwszy ujrzeliśmy Nowe Roboty. Różniły się zdecydowanie od wszystkich poprzednich typów, jakie budowano przez milion lat. Ich stożkowate opływowe ciała i zgrabne skrzydła wykonano ze srebrzystobiałego metalu. Były tak piękne, jak stare roboty były brzydkie. W ich płynnych, szybkich, swobodnych ruchach dostrzegłem coś uderzająco odmiennego od mechanicznej ociężałości starych technomatów. Coś — ożywionego.

— One są inne! — krzyknąłem. — Są zbyt piękne, zbyt doskonałe, aby mogły być okrutne. Może staną się przyjaciółmi człowieka.

Ziemianin zaprzeczył jednak lekkim ruchem głowy.

— Nie, Barihornie — wyszeptał. — One będą naszymi najgroźniejszymi przeciwnikami. Ponieważ są szybsze od innych i potrafią latać. Spójrz! Przelatują nad miastem prowadząc inne do ataku. To one dowodzą.

Spojrzał na mnie przelotnie swoimi przekrwionymi ze zmęczenia, szarymi oczyma.

— Malgarth nigdy nie powtórzy twojego błędu, Barihornie. Żaden robot go nie zdradził. Posłuszeństwo mają zakodowane bardzo głęboko. Ich sztuczne zmysły są zawsze nastawione na

rozkazy z góry. I, jako maszyny, mogą jedynie wykonywać rozkazy.

Znajdowaliśmy się już prawie nad miastem, które Jeron zidentyfikował według map jako Achnor, pierwszą osadę kolonistów ludzkich w tym sektorze Galaktyki. W dole walka stawała się coraz bardziej zacięta. Metalowe hordy nacierały nieustannie na podwójny mur.

Flota czerwonych olbrzymich statków Malgartha krążąc ponad miastem obrzucała dziewięć wzgórz bombami i słała w ich stronę wiązki niszczących promieni.

Mieszkańcy mężnie walczyli w obronie swoich domów. Wszystkie wieże zmieniły się w fortece. Zmęczeni ludzie wznosili barykady ze szczątków zburzonych kolumn. Niebieskie promienie uderzały w atakujące krążowniki i omiatały dolinę poza murami.

— Lądujemy — podjął decyzję Kel Aran.

— Jeśli wylądujemy — ostrzegł Jeron — możemy tam pozostać już na zawsze.

— Ląduj — nakazał Ziemianin. — To jest pierwsze napotkane przez nas miasto, które jeszcze się broni. A może i ostatnie zarazem. Jeżeli mamy znaleźć Verel gdziekolwiek, to musi ona być gdzieś tutaj.

Czekaliśmy, aż Achnor, dzięki powolnemu obrotowi Meldoona wokół własnej osi, znajdzie się na pogrążonej w mroku stronie gigantycznej planety i wówczas poprowadziliśmy nasz pomalowany na czarno statek w dół, w stożek cienia. Tuż pod nami wybuchały pociski, płonęły domy. Słyszac coraz wyraźniej bitewny zgiełk, spadaliśmy między okrętami wrogiej floty ku ogromnemu kołu białych zielonych płomieni.

Wylądowaliśmy w zrytym bombami parku na krawędzi długiego, otwartego dołu, w którym leżały tysiące popalonych i porozrywanych ciał. Nad nami, na tle rozjaśnionego blaskiem zielonych płomieni nieba, majaczyła biało-złota wieża. W jej ścianach widniały olbrzymie dziury, a niższe piętra zasłaniały góry gruzu. Lecz wieża wciąż jeszcze się broniła.

Niebieskie promienie strzelały spod jej szczytu, a pociski raketowe z hukiem wylatywały z otworów okiennych.

W parku, w pobliżu miejsca, gdzieśmy wylądowali, leżał niewiarygodnie długi, popę-

kany szkarłatny kadłub jednego z potężnych krążowników Malgartha, strąconego przez obrońców.

Kilkunastu obszarpanych, podnieconych mężczyzn wybiegło zza wraku. Ujrawszy

„Barihorna” zatrzymali się zaskoczeni. Zobaczyłem, że ustawiają pośpiesznie coś podobnego do szklanej teleskopowej rury.

— Miotacz! — krzyknął Kel Aran. — Natychmiast musimy się im pokazać.

Zaczęliśmy wylazić przez luk, w tej samej chwili gdy pierwszy ostrzegawczy błysk rozjaśnił

kryształową rurę. Mężczyźni wyłączyli broń i ostrożnie wyszli nam na spotkanie.

Kel Aran wysunął się naprzód, aby wyjaśnić, kim jesteśmy.

Sława Sokoła i niezwykle plotki o Barihornie dotarły widocznie nawet tutaj, zostaliśmy bowiem powitani z szalonym entuzjazmem. Otoczono nas, dźwignięto w górę i poniesiono na rękach w tryumfalnym pochodzie przez oblężone miasto.

Zerek, który się szybko wstawił wyprodukowanym z syntetycznych roślin alkoholem, zaczął głośno przemawiać do tłumu, przywracając nadzieję i chęć do walki mijanym przez nas zmęczonym i wychudzonym ludziom.

Mały Rogo Nug uzyskał jeszcze większy aplauz, rozdał bowiem całą swoją żelazną porcję korzenia *goona-roon*. Zapasy tego narkotyku wyczerpały się w mieście już dawno, a nowego nie udało się zsyntetyzować.

— Verel, Verel! — Kel Aran ochryplł niemal, starając się przekrzyczeć wiwatujący tłum, dobiegający z oddali zgiełk bitewny oraz głuchoe wybuchy atomowych bomb, na które nie zwracano prawie uwagi. — Czy jest na Achnor dziewczyna z Ziemi?

Niestety, nikt o takiej nie słyszał. Kel przyglądał się uważnie twarzom wszystkich ludzi, których mijaliśmy.

— Jeśli ona tu jest — szeptał z uporem — przyjdzie!

Zapoznano nas pokrótce z przebiegiem wydarzeń.

W Achnor mieszkało do niedawna trzysta milionów ludzi i sto pięćdziesiąt tysięcy robotów. Kiedy doszło do otwartego konfliktu, grupa odważnych mężczyzn zdobyła budynek filii Korporacji i arsenał robotów policyjnych. Przez kilka dni na ulicach trwały walki. Roboty zostały wyparte z miasta, szybko jednak sformowały potężną armię i zaczęły się przygotowywać do oblężenia.

Miasto zmobilizowało całą ludność do obrony, nawet małe dzieci pracowały w zakładach przemysłowych produkujących syntetyczną żywność i amunicję. Liczba mieszkańców ciągle rosła, z dnia na dzień przybywali uciekinierzy z innych miejscowości, a nawet z dwóch mniejszych planet. Wkrótce jednak Achnor zostało otoczone przez roboty szczelnym pierścieniem. Od dnia, w którym rozpoczęło się oblężenie, co najmniej połowa obrońców poniosła śmierć.

Wojskowy komendant miasta pomógł nam w końcu wyrwać się z rąk rozentuzjazmowanego tłumu. Kel Aran powtórzył wychudzonemu, zmęczonemu oficerowi swoje pytanie:

— Czy na Achnor jest jakaś Ziemianka? Szukamy niebieskookiej, złotowłosej dziewczyny, opiekującej się Kamieniem Dondary, diamentem, który jest nadzieją ludzkości.

Nazywa się Verel Erin. Czy jest może gdzieś tutaj?

Komendant pokręcił białą głową.

— Nie — powiedział. — Wszyscy uciekinierzy, którzy przybyli na Achnor, zostali zarejestrowani. I nie było między nimi nikogo z Ziemi. Jestem tego pewien.

Kel pochylił nisko głowę, lecz w chwilę potem podniósł ją znów do góry.

— Proszę, sprawdźcie jeszcze raz wasze dane — powiedział z naciskiem. — Użyjcie również wszelkich dostępnych środków i dowiedzcie się, czy ktoś w mieście nie wie czegoś o niej lub o innych uciekinierach z Ziemi. Jeszcze jedno! — dodał nagle. — Sprawdźcie, czy ktoś zna drogę do planety Malgartha, Czarnego Mystoona. Verel może tam być.

Oficer znów pokręcił głową.

— Spróbujemy — powiedział. — Szukanie w naszych rejestrach nie miałoby jednak sensu. Gdyby bowiem Opiekunka była tutaj, z pewnością przysłałaby nam z pomocą i użyła mocy Kamienia. Jestem też przekonany, że żaden człowiek nie zna drogi do Czarnego Mystoona.

Achnor zostało straszliwie zrujnowane. Wszystkie bez wyjątku ogromne wieże uległy

— w mniejszym lub większym stopniu — zniszczeniu. Wyglodniali ludzie, których stroje niewiele różniły się od łachmanów, byli śmiertelnie zmęczeni, w ich płonących dziko oczach dostrzegano olbrzymie napięcie. Lecz wciąż jeszcze mogli śpiewać. Słyszałem, jak nucili stare pieśni Kela Arana o kosmicznych ścieżkach. Ze zdumieniem wysłuchiwałem również

„Ballady o Barihornie”. Zapowiadała ona, że powrócę z zaświatów, aby zniszczyć roboty, które stworzyłem milion lat temu.

Zmieszałem się usłyszawszy tę pieśń. Po raz któryś już poczułem wyraźnie, że jestem zupełnie zwyczajnym człowiekiem, całkowicie niezdolnym do wykonania tak odpowiedzianego zadania.

Jedliśmy właśnie obiad u komendanta; niewielkie miseczki żółtej, nie posiadającej smaku, syntetycznej zupy, gdy zaczęto wołać, że roboty wdzierają się do miasta od strony północnej. Jedna z bomb zniszczyła siłownię i powstała luka w zielonej barierze energii atomowej.

Pobiegliśmy za oddziałami rezerwowymi na spotkanie wroga. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś tak strasznego. Gigantyczne czerwone okręty, spływając spod ponurego, pe-

łnego dymu nieba, zrzucały olbrzymie bomby i raziły obrońców śmiertelnym ogniem. Baterie raketowe rozstawione w dolinie siały w mieście śmierć i zniszczenie. Horda monstrualnych robotów dowodzonych przez owe wdzięczne, skrzydlate srebrne istoty wlewała się przez wyłom.

Śpiewając „Pieśń Barihorna” wyglodniali, zmęczeni obrońcy walczyli wspaniale ze straszliwym przeciwnikiem i bronili skutecznie swoich pozycji. I walcząc, umierali, paleni przez niszczące promienie, grzebani pod wałącymi się gruzami, duszeni gryzącym fluoryzują-

cym gazem, który wydobywał się z pocisków raketowych. Ale wszyscy walczyli do końca.

Żaden człowiek nie został wzięty żywym.

— Czuję się dumny z tego, że jestem człowiekiem! — krzyknął w uniesieniu Kel Aran.

Był cały osmalony, a skórę miał pokrytą pęcherzami; to promień pozytronowy przemknął tuż obok niego. W rękach trzymał pusty miotacz. — Żadna maszyna nie mogłaby umierać z taką godnością, bo to potrafią tylko żywe istoty!

— Musimy stąd odlecieć, Kel — powiedział ochrypłym głosem Zerek Oom, słaniając się na nogach. — I to natychmiast. — Zdenerwowany chwycił Ziemianina za ramię. — W

przeciwnym razie zginiemy tutaj, Kel!

Kel Aran roześmiał się i przegarnął palcami swe przypalone jasne włosy.

— A gdzie znajdziesz lepsze miejsce, aby umrzeć, Zereku? — zapytał. — Nie ma już żadnych innych miast. Nie spotkamy już innych ludzi. Nie mamy już żadnych szans na znalezienie Verel. I nie mamy po co jej szukać, gdyż technomaty zwyciężyły. Czy jest coś lepsze-go niż walka do końca?

— Ale, Kel! — Zerek przygryzł wargi. — Umrzeć...

— Tak, umrzeć...

Ziemianin umilkł nagle. Spojrzał w górę. Ja również dostrzegłem wielobarwny płatek opadający ku nam z ponurego, zasnutego dymem nieba. Płatek ten wylądował na ramieniu Kela Arana i wczepił się weń kurczowo. Usłyszałem miękki, omdlewający śpiewny głos:

— Kel! Och, Kel, biedny stary Setsi był tak daleko! Jego nędzne stare życie dobiega końca. Ale znajdź jeszcze dla niego kroplę rumu, Kel. Proszę, och, proszę! Bo Setsi ma ci coś do powiedzenia! Rum, Kel! Tylko jedną kroplę rumu, żebym mógł mówić!

Zamarłem ze zdumienia. Jarząca się setką kolorów istota na ramieniu Ziemianina była bowiem piaskowym nietoperzem, dziwnym krzemowym stworem, którego straciliśmy w pułapce Malgartha na dalekim Ledros. Lub raczej jego częścią. Wydało mi się bowiem, że ciało wielobarwnej istoty znacznie się zmniejszyło.

## Rozdział 11

# DZIEWCZYNA Z PLANETY ZIEMIA

Zerek Oom spojrział smętnie na ostatnią maleńką porcję syntetycznego alkoholu, jaka mu pozostała w butelce przywiązanej do biodra, po czym wręczył flaszkę Kelowi Aranowi.

Ziemianin wylał jej zawartość na swoją dłoń, delikatnie zdjął z ramienia kurczowo przyczepionego doń piaskowego nietoperza i przysunął go do cuchnącego napitku. Niezwykła kolorowa istota poruszyła się z wysiłkiem i zaczęła pospiesznie ssać płyn.

— Setsi — nalegał Kel. — Co miałeś nam powiedzieć? Czy coś o... Verel?

Piaskowy nietoperz milczał, zachłannie ssąc alkohol. Był niestety poważnie okaleczony i poraniony. Dwa z jego sześciu płaskich ramion zniknęły. Połowa ciała stopiła się jakby w szklistą, matową masę.

— Setsi jest ranny! Biedny Setsi jest ranny! Setsi umiera — rozległ się słaby śpiewny głos. — Pomóż mu, Kel. Daj mu rumu.

— Powiedz mi! — nalegał Kel Aran — gdzie jest Verel? Czy wiesz?

Jaskrawa, wielobarwna krzemowa istota mocniej wczepiła się w jego dużą dłoń. Samotne ciemne oko osadzone pośrodku tej żywej gwiazdy było pełne smutku.

— Setsi przebył bardzo długą drogę, aby ci to powiedzieć, Kel. — Melodyjne ciche gruchanie ginęło w ogłuszającej wrzawie nacierających robotów i musieliśmy się mocno pochylić, aby je słyszeć. — Och, jakże długa i straszna podróż! Szczególnie dla rannego, Kel, och, jak bardzo smutna! I maszyny rządzą na wszystkich planetach, które mijałem, z wyją-

tkiem tej tutaj. Och, diabelskie maszyny, czarne diabły! Niszczą wszelkie życie. I nie mają rumu dla Setsi!

Ziemianin lekko potrząsnął małą błyszczącą istotą i spytał niecierpliwie:

— No, a Verel? Gdzie ona jest?

— Och, Kel! — nietoperz wydał z siebie słaby dźwięk podobny do szlochu. — Nie złość się na biednego Setsi. On przebył tak długą drogę, aby ci o tym powiedzieć! Przyleciał

tutaj aż z martwego Ledros. Przemierzył wiele lat świetlnych przepastnej przestrzeni. Poraniony, zmęczony i samotny przybył, aby ci powiedzieć, Kel!

— Co powiedzieć?

Jarzące się tęczowo błony zatrzepotały jak skrzydła niezwyklej diamentowej ćmy, piaskowy nietoperz uniósł się na chwilę nad dłonią Kela Arana. Opadł z powrotem i przylgnął do niej znowu.



— Setsi przybył, aby ci powiedzieć, że znalazł Verel, Kel. Kiedy samotnie unosiłem się w przestrzeni, w czasie tej długiej, bardzo długiej podróży z Ledros, moja świadomość odczuła świadomość Verel. Znalazłem Verel, była zupełnie sama, Kel. Och, absolutnie sama, Kel. I tak bardzo potrzebowała pomocy. Bo roboty polowały na nią, Kel. I zgubiła Kamień!

— Gdzie ona jest? — wyszeptał Kel Aran. — Proszę, Setsi! Gdzie...

— Jest na Meldoonie, Kel — dobiegł nas cichy, śpiewny głos. — Setsi znalazł ją na Meldoonie, a więc tu, gdzie jesteśmy. Przedtem była na Czarnym Mystoonie, Kel.

Trzymał ją tam Malgarth. Och, Kel, to okropne miejsce! Ten warowny Mystoon, gdzie ukrywa się stary Malgarth! Ale ona uciekła, Kel. I przybyła na Meldoon. Próbowwała dostać się do Achnor. Achnor jest ostatnim miastem we Wszechświecie, Kel. Ale roboty zagroziły jej drogę. Uciekła więc na pustynię. Linia przeznaczenia która ją wiodła, splątała się. Ona wciąż się tam ukrywa, Kel. Na ponurej, szarej pustyni Kaanat. Roboty polują na nią. Zagraża jej niebezpieczeństwo, och Kel, straszliwe niebezpieczeństwo!

— Gdzie? Możesz nam pokazać?

— Setsi cię zaprowadzi, Kel. Pokaże ci, jeśli jeszcze będzie żył, Kel. Bo biedny, stary Setsi umiera. Jego długi, bardzo długi żywot dobiega końca. Wkrótce Setsi połączy się z tam-tymi dwoma. Ale spróbuj ci pokazać drogę, Kel, nim odejdzie. Musi jednak dostać trochę rumu! Setsi przybył z tak daleka, Kel. Odniósł tak ciężkie rany! On umrze, Kel, bez rumu!

Nagle piaskowy nietoperz zeszywniał na rękę Ziemianina jak tajemniczy pokryty diamentami klejnot.

— Chodźcie! — wykrzyknął Kel Aran. — Ruszamy na poszukiwanie Verel!

Pobiegliśmy w kierunku parku, gdzie zostawiliśmy „Barihorna”. Była to droga przez prawdziwe piekło. Flota robotów nadal siała śmierć w mieście i wciąż nowi metalowi napastnicy wlewali się przez wyrwę w północnej linii obrony. Widzieliśmy, jak spadł w pewnej odległości od nas, strącony, potężny, czerwony statek. Jego załoga ocalała i okręt zamienił się w dwukilometrową nieprzyjacielską fortecę w samym środku miasta. Roboty odpierały kolejne szturmy rażąc atakujących ludzi śmiertelnymi promieniami, zasypując ich gradem pocisków. Kolumna metalowych żołnierzy prowadzona przez smukłe, srebrzystoskrzydłe Nowe Roboty spieszyła im już na odsiecz.

W chwilę potem zagroził nam drogę pełzający obłok purpurowo świecącego gazu. W

środku znajdowali się ludzie — widzieliśmy ich niewyraźne sylwetki — umierali krzycząc i padali w czarną gęstą ciecz. Znaleźliśmy przy nich maski gazowe, których nie zdążyli użyć, i założyliśmy je natychmiast.

Kel Aran prowadził naszą małą grupę, kurczowo ściskając w dłoni niewielkie iskrzące się ciało Setsi. Za nim kroczył nieugięty Jeron Roc. Zerek Oom wytrzeźwiał, ale jego twarz, widoczna spoza maski, miała nadal zielonkawy odcień. Zaszuszone mały Rogo Nug gdzieś zniknął na pewien czas, a gdy powrócił, pokazał nam z triumfującą miną sporą wiązkę korzeni *goona-roon*; udało mu się

znaleźć opuszczony magazyn jakiegoś bogatego kupca.

W końcu dotarliśmy do naszego niewielkiego statku — był przysypany do połowy gruzem, lecz nie uszkodzony. Na jego pokładzie unieśliśmy się znów do góry. Skazane miasto zostało pod nami — zielonkawa, czerwona na brzegach, drżąca od nieustannego grzmotu chmura na ciemnym obliczu planety. Lecieliśmy na wschód, w kierunku olbrzymiej wyludnionej krainy zwanej Kaanat.

Zerek Oom otworzył swoją ostatnią bezcenną butelkę rumu. Ożywiło to, ale tylko trochę, zeszywniałego piaskowego nietoperza.

— Pośpiesz się, Kel! — doszedł nas jego mdlejący głos. — Och, pośpiesz się! Verel jest w niebezpieczeństwie! Setsi może umrzeć, nim zdoła pokazać wam drogę. Spieście się, spieście! I znajdźcie więcej rumu dla Setsi!

Kel Aran pochylił głowę i jego ucho niemal dotykało drżącej bardzo słabo membrany.

Dla reszty z nas głos Setsi stał się zbyt cichy, byśmy mogli usłyszeć to, co mówił. Kel przekazywał jego wskazówki Jeronowi, stojącemu przy pulpicie kontrolnym.

Kraina przesuwaną się pod nami została bezlitośnie zniszczona przez zwycięskie roboty. Wszystkie budynki spalono, mury wyburzono, życie w lasach i na polach wytrzebiono doszczętnie trującymi gazami. Pozostała jedynie jałowa ziemia i nagie kamienie.

W świecie opanowanym przez roboty nie było miejsca dla życia.

— W tym kanionie! — powiedział Kel Aran drżącym z napięcia głosem. — Za tym płaskowyżem.

Ponownie przyłożył ucho do jarzącego się krystalicznie ciała istoty leżącej na jego dłoni. Prowadzony pewną ręką Jerona nasz mały pojazd znalazł się ponad przestronnym, skalistym wąwozem. Z ciemnych ścian spadały czerwone, brązowe i czarne kamienie, przysypując zwałami odłamków srebrną wstęgę rzeki.

Tu i tam, w niedostępnych szczelinach, dostrzegałem jednak jakieś niewielkie plamki ocalałej drogocennej zieleni; skrawek trawy lub krzak, których nie udało się zniszczyć robotom. Życie jest uparte.

„Barihorn” prześlizgnął się obok zniszczonych erozją skał i wzdłuż wysmukłych turni strzegących jakby wejścia do wąwozu. Nagle, na krawędzi wąskiej półki, coś błysnęło.

Piaskowy nietoperz poruszył się niespokojnie na dłoni Kela Arana.

— Och, ona tam jest — usłyszałem cichy trel. — Tam jest twoja Verel, Kel! Twoja śliczna Verel, Kel. I ta okropna maszyna, która się ku niej skrada! — Smutne samotne oko pociemniało i zasnuło się mgłą. — A teraz żegnaj, Kel. Och, żegnaj również na zawsze życie, moje długie życie. — Płaczliwy głos brzmiał tak słabo, że ledwie go słyszałem. — Nie będzie więcej grogu dla Setsi.

Piaskowy nietoperz umilkł.

— Masz. — Zerek Oom podsunął Kelowi butelkę, łyzy lśniły w jego oczach. — Daj mu trochę rumu, Kel. Wszystko, jeśli zechce.

— Nie. — Kel Aran potrząsnął głową. — Myślę, że Setsi już nie żyje!

Krzemowa istota, twarda i delikatna jak zabawka z dmuchanego szkła, leżała nieruchomo na jego drżącej dłoni. Przypominała fragment wspaniałego krystalicznego wielobarwnego kwiatu.

— Niesamowite — mruknął Jeron zza pulpitu kontrolnego. — Pomyśleć, że gdy na Ziemi pojawił się pierwszy człowiek, on już istniał. A teraz nie żyje.

Nie mogliśmy jednak dłużej rozpamiętywać odejścia Setsi. Kel Aran wskazał nagle coś za iluminatorem i krzyknął. Zobaczyłem zmęczoną ludzką postać, która z trudem posuwała się wzdłuż skalnej krawędzi, dotarła do ogromnego głazu i upadła za nim. Jaskrawe promienie uderzały w gład, raz za razem. Dwie iskrzące się, pełne gracji istoty krążyły nad tym miejscem jak srebrne sokoły. Dwa Nowe Roboty!

— To Verel! — krzyknął Kel Aran. — Tym razem to naprawdę ona... Verel! —

Jednym ruchem odsunął Jerona od pulpitu i skierował „Barihorna” w dół nucąc jednocześnie refren swojej starej pieśni: — „Póki jej nie znajdę lub umrę.”

Prowadząc z olbrzymią zręcznością nasz nurkujący szybko jak błyskawica statek, Ziemianin trafił jednego ze skrzydlatych robotów dziobem „Barihorna” i rozbił go na mnóstwo iskrzących się kawałków. Saturnianin przedostał się szybko do wieżyczki, gdzie znajdował

się nasz niewielki miotacz pozytronowy. Ale nim Kel zdążył zawrócić, drugi metalowy stwór umknął już z wąwozu i zniknął pomiędzy dwoma ogromnymi głazami.

— Podniesie alarm! — mruknął Kel. Po czym wykrzyknął drżącym z radości głosem:

— Verel! Nareszcie ją znaleźliśmy!

„Barihorn” wylądował łagodnie na krawędzi skały. Kel pospiesznie wy dostał się przez właz na zewnątrz. Dziewczyna podniosła się na nogi i spoglądała na niego z wyrazem niedowierzania. Jej młode ciało pokryte było licznymi śladami doznanych cierpień, suknię miała zniszczoną, zakurzoną, pełną brudnych plam. W szczupłych dłoniach trzymała ciężki, niezgrabny pistolet katodowy; broń, którą zapewne odebrała robotom. I mimo że znajdowała się teraz w stanie godnym pożałowania, nadal była piękna.

Gdy patrzyłem na nią, łatwo mogłem sobie wyobrazić śliczną Verel Erin, którą w tam-tej, ukrytej dolinie, na Ziemi, kochał i stracił Kel Aran. Choć jej niebieskie oczy były zapadnięte, a złote włosy splecione w nieładzie, jej opalona, szczupła twarz wciąż przyciągała wzrok nieodpartym wdziękiem.

Bardzo wolno, kulejąc, podeszła do Kela. Ciężka broń wypadła z jej dłoni. Wciąż jeszcze jakby nie wierzyła swoim oczom. Wyciągnęła drżącą dłoń i dotknęła jego ramienia, potem jego ust. I naraz promienna, ogromna radość rozjaśniła jej twarz.

— Kel — powiedziała miękko. — Więc jesteś...

Ziemianin nagłym, niecierpliwym ruchem wyciągnął ku niej ramiona. Ona jednak cofnęła się, radość zniknęła z jej twarzy, teraz malował się na niej już tylko ból.

— Kamień, Kel! — wybuchnęła gorzkim łkaniem. — Straciłam Kamień! Ma go Malgarth i trzyma w swej strzeżonej dzień i noc świątyni na Czarnym Mystoonie.

## **Rozdział 12**

# TWIERDZA MALGARTHA

Dobrze wiedząc, że wkrótce roboty ruszą naszym śladem, opuściliśmy wielką planetę Meldoon i pomknęliśmy znowu w nieskończoną przestrzeń Kosmosu. Kiedy daliśmy Verel coś do jedzenia i picia — roboty nie pozostawiły w krainie Kaanat niczego, co mogłoby stanowić pokarm dla jakiegokolwiek żywej istoty — opowiedziała nam o swoich losach.

Jeron stał przy urządzeniach kontrolnych wypatrując za pomocą teleekranu wrogich statków, które wcześniej czy później musiały ruszyć w pościg za nami. Mały Rogo Nug nie spuszczał oka z przeciążonych konwertorów „Barihorna”. Zerek Oom, trzaskając garnkami, przygotowywał w kuchni smakołyki dla wygłodzonej dziewczyny. Błada i wychudzona po wszystkich przejściach, lecz ciągle piękna, leżała bezwładnie na wąskiej koi. Staliśmy z Kel Aranem tuż przy niej; Ziemianin trzymał Verel za rękę.

— Widzieliśmy Ziemię spadającą w Słońce — powiedział. — I flotę Gugona Kula niszczącą wszystkich, którzy próbowali uciec. To były okropne chwile! — Jego głos zadrżał

lekko. — Niełatwo było zachować wiarę w to, że ocalałaś, Verel.

Przez długą chwilę wpatrywała się w twarz Kela, w jej niebieskich oczach widać było radość zmieszaną z lękiem. Wreszcie odetchnęła głęboko i wyszeptała:

— Tyle lat minęło, Kel, tyle lat, od tego czasu gdy paśliśmy kozy w ukrytej dolinie i wspinaliśmy się do orlego gniazda! Od czasu gdy zostałam wybrana Opiekunką, a ty odszedłeś, i stałeś się kosmicznym włóczęgą. Od czasu... — Szept zamarł jej na ustach. — Od końca Ziemi!

— Opowiedz mi. — Ziemianin pochylił się nad nią. — Co się stało?

— Z naszego obserwatorium na szczycie — odetchnęła głęboko — spostrzeżliśmy nad-latującą flotę. Ziemia znalazła się w polu potwornych sił kontrolujących jej orbitę. Wstrząsy i powodzie zmusiły nas do ucieczki w rejony położone najwyżej. Wkrótce stało się oczywiste, że cała planeta jest skazana na śmierć.

Wtedy Strażnicy otworzyli jaskinię, gdzie zawsze czekał dobrze ukryty, zaopatrzony we wszystko czego potrzeba, gotów do odlotu, okręt ratunkowy. Wybrano załogę. Wszłam na pokład trzymając w dłoni Kamień. Ziemia znajdowała się na wysokości Wenus, gdy zapadła ostatnia noc. Próbowaliśmy uciec w cieniu stożka. Odnalazł nas jednak promień pola magnetycznego i nieprzyjacielska flota została postawiona w stan alarmu.

Próbowaliśmy najpierw walczyć, potem uciekać. — Zamknęła na chwilę oczy, ból odmalował się na jej twarzy. — Oczywiście nie udało się, byliśmy łatwą zdobyczą dla sfory Malgartha. Zostaliśmy zmieceni wiązką pozytronową.

Przełknęła ślinę, a jej dłoń zacisnęła się mocno na dłoni Kela.

— Obudziłam się w pomieszczeniu szpitalnym, na flagowym okręcie Gugona Kula.

Robot-pielęgniarz pochylony nade mną mruzczał coś monotonie. Wszyscy Strażnicy, wszyscy ludzie, których znałam — prócz ciebie Kel, a o tobie wiedziałem tylko tyle, że przed dziesięcioma laty zniknąłeś w przestrzeni kosmicznej — już nie żyli, nie ocalał nikt. Odebrano mi również Kamień.

Kel Aran dotknął delikatnie jej bladego czoła.

— A co było potem, Verel?

— Kiedy już mogłam chodzić, roboty zaprowadziły mnie do Gugona Kula. Śmiał się i rozkazał robotom zaciągnąć mnie do iluminatora, abym zobaczyła koniec świata. Niewielka ciemna kuleczka plusnęła w Słońce i zniknęła. Ziemia... zniknęła!

Potem przeniesiono mnie na frachtowiec Żandarmerii Kosmicznej. Od tej pory nie widziałam już w ogóle ludzi, Kel, lecz tylko zgrzytające, trzeszczące, łaskoczące roboty, pozbawione wszelkich uczuć, które wpatrywały się we mnie zimnymi niebieskimi soczewkami. —

Zadrżała gwałtownie. — Świat maszyn, świat, gdzie się nie usłyszy żadnego głosu, niczyjego śmiechu, świat bez jakichkolwiek emocji, które mógłbyś zrozumieć. To straszne, Kel. Okropne!

Kel przykrył dłonią jej drżącą dłoń i czekał cierpliwie na dalszy ciąg opowieści.

— Policyjny robot zabrał mnie do pewnej agencji Korporacji — podjęła suchym, zmęczonym głosem. — Tam umieścili mnie na większym statku, wypełnionym łupami ze splądrowanych planet. Tym statkiem dotarłam do innego świata. Zanim wylądowaliśmy, pielęgniarze oszołomili mnie narkotykami. Gdy oprzytomniałam, znajdowałam się znowu w przestrzeni, lecz już na innym statku. Ten statek zawiózł mnie na Mystoona!

Przymknęła powieki i znieruchomiała na chwilę. Ledwie słyszeliśmy jej płytki, przerywany oddech. Miękkim ruchem Ziemianin odgarnął złoty lok z czoła dziewczyny.

— Mystoon? — zapytał w końcu. — Jak on wygląda?

Otworzyła niebieskie oczy i dostrzegliśmy w nich paniczny strach.

— Nie pytaj mnie, Kel — wyszeptała. — Nie potrafię mówić o Czarnym Mystoonie.

Jeszcze nie mogę... tam przebywa Malgarth. Jest to — już od pół miliona lat — jego ukryta forteca. Doskonale strzeżona. Myślę, że jestem pierwszą ludzką istotą, która się z niej wydostała; jeśli ktokolwiek w ogóle był tam przede mną. Mnie udało się uciec tylko dlatego, że bardzo pragnęłam cię odnaleźć, Kel. M u s i a ł a m!

Znów kurczowo chwyciła jego dłoń i westchnęła.

— Jednakże Malgarth zawładnął Kamieniem. Przechowuje go na Mystoonie i próbuje poznać tajemnicę zagrażającej mu śmierci. Udało mi się raz zobaczyć Kamień, to było wtedy gdy robili tę... tę moją kopię.

Nagły dreszcz wstrząsnął znowu jej ciałem.

— Verel! — przerwał jej niecierpliwie Ziemianin. — Czy nadal ma on moc zniszczenia Malgartha?

Dziewczyna skinęła głową.

— Tak, ciągle przechowuje w sobie tę odwieczną tajemnicę, którą powierzył mu Barihorn. I teraz właśnie, po tylu latach, pragnie wykorzystać swą moc, stało się bowiem oczywiste, że nie ma już innego wyjścia. Cień Kamienia zjawił się przede mną, zanim uciekłam, oznajmił, że chce uderzyć, i błagał o pomoc. Prosił, abym przysłała ciebie, Kel, i Barihorna...

Barihorna, który, jak mi powiedział, powrócił, aby zniszczyć swoje dawne dzieło! Przepowiedział także, że znajdę cię na Meldoonie. Pomógł mi przygotować ucieczkę.

Jej spojrzenie przesunęło się nagle w moją stronę. Niebieskie oczy zapłonęły ciekawością.

— Ty musisz być Barihornem — powiedziała wyraźnie przejęta. — Twórcą Malgartha!

Był już najwyższy czas, abyś powrócił! Cień ciągle czeka wewnątrz Kamienia, ale nie przetrwa już długo...

Kel Aran zapytał:

— Uciekłaś z Mystoona? Jak?

Dziewczyna znowu utkwiała wzrok w jego twarzy.

— Postępowałam ściśle według wskazówek Cienia — powiedziała. — Pokazał mi, jak odebrać pistolet katodowy robotowi-strażnikowi, który przynosił mi jedzenie. Jak uciekać przez długie czarne korytarze świątyni Malgartha. Jak wejść na trasę geodezy, która była przygotowana dla jednego z jego srebrzystoskrzydłych mechanicznych dowódców. No a potem nastąpił szalony pościg, lecz mój statek był bardzo szybki. A ja m u s i a ł a m cię odnaleźć, Kel!

Ziemianin, poruszony, pochylił się nad nią.

— I odnalazłaś. — Po czym natychmiast zapytał: — Czy mogłabyś być przewodnikiem naszej wyprawy na Mystoona, Verel? Zapamiętałaś drogę?

Ponownie skinęła głową.

— To jest długa i niebezpieczna droga, Kel. Ale spróbuję. Musimy bowiem dotrzeć do Kamienia,

zanim zostanie zniszczony.

— I zanim — powiedział ponuro Kel Aran — my sami zostaniemy zniszczeni!

Wtedy odważyłem się zadać pytanie, dręczące mnie już od dawna.

— Jeśli Kamień ma moc, która pozwala mu zniszczyć Malgartha — zapytałem — czemu tego nie uczyni?

— Gdyby to było takie proste... — powiedziała dziewczyna uśmiechnąwszy się smutno.

— Wieki, które minęły, musiały przyćmić twoją pamięć, Barihornie. Kamień zna tajemnicę przeznaczenia Malgartha. Oczywiście. Ale sam nie może uderzyć. Cień może jedynie kierować ludzkimi pomocnikami. Dlatego właśnie wyznaczani byli Opiekunka i Strażnicy.

Westchnęła cicho.

— Nie, Barihornie, bez naszej pomocy sam Kamień nie może zniszczyć Malgartha.

Za naszym statkiem znów pojawiły się czerwone gwiazdki, dysze ścigających nas statków nieprzyjaciela. Kel Aran, śpiewając nową wesołą pieśń o powrocie Barihorna i zemście starego Kamienia Dondary, prowadził nasz niewielki statek przez ciemny rój asteroidów.

Ociężałe krążowniki floty zwolniły, by znaleźć bezpieczne przejście między pędzącymi czarnymi wysepkami Kosmosu. Uzyskaliśmy niewielką przewagę. A potem, mając przy sobie Verel, naszego przewodnika, Jeron skierował „Barihorna” w stronę tajemniczego świata, w którym Malgarth urządził sobie kryjówkę.

Lecieliśmy w kierunku wielkiej mgławicy w Orionie nazywanej Głową Konia, która tak bardzo fascynowała astronomów mojej epoki. Jeszcze dwukrotnie udało się nam wymknąć ścigającym nas uparcie czerwonym gwiazdkom. W końcu dziewczyna skierowała nas w stronę ciemnej, niezwykle niebezpiecznej gwiazdnej chmury.

Była to niewiarygodnie wielka, całkowicie pozbawiona światła kosmiczna pustynia utworzona z dryfującego pyłu, ułamków skalnych i zagubionych ciał planetarnych. Na wszystkich mapach Kosmosu miejsce to opatrywano napisami „niebezpieczne, nie do przebycia”; ostrzegano dowódców wszystkich statków, by trzymali się w odległości co najmniej dwóch lat świetlnych od ciemnych granic gigantycznego obłoku.

Wyglądało jednak na to, że Malgarth znalazł bezpieczne przejście przez ową straszliwą pustynię już pół miliona lat temu. Z pomocą Verel odnaleźliśmy tę drogę i ruszyliśmy nią w głąb chmury. Wszystkie gwiazdy zniknęły, otoczyła nas zewsząd nieprzenikniona ciemność, znikły nawet ścigające nas szkarłatne punkty, które jeszcze przed chwilą były tak blisko.

— Myślę, że udało się nam uciec — powiedziała Verel Erin. — Większość robotów nie zna bowiem tego ciemnego szlaku. Spotkamy je jednak — i to mnóstwo — kiedy dotrzemy do celu. Mystoon jest dobrze strzeżony.



To była dziwna droga. Lecieliśmy w zupełnej ciemności, kierując się według linii nie-widocznego pola magnetycznego. W pewnej chwili grad odłamków meteorytów, które przedzierały się nawet przez odchylające pola deflektora, zadudnił ogłuszająco o kadłub naszego małego statku. Głosem pełnym rozpaczony Verel oznajmiła nam, że podczas mijania tej prze-szkody zgubiliśmy namiar prowadzącego nas dotąd pola.

Kel Aran przejął stery i wyprowadził nas bezpiecznie z groźnego roju meteorytów.

Dziewczyna, choć blada z przerażenia, nie spuszczała jednak oczu z tarcz przyrządów kontrolnych i w końcu udało się jej z powrotem odnaleźć właściwy trop. „Barihorn” pomknął naprzód niewidzialnym korytarzem i nagle ujrzeliśmy przed sobą dziwne światło — bladoczerwoną, złowieszczą lunę.

— Widzicie tę czerwień! — szepnęła Verel. — To jest utworzona przez Malgartha strefa niszczącego promieniowania, która broni dostępu do Mystoona. Sferyczne pole siły.

Czarna planeta znajduje się w środku tego pola.

Blade czerwone światło przebijało się przez mroczne chmury mgławicowego pyłu.

Ciemne rzeki kamiennych odłamków spływały obok nas jak ponura, przesycona wonią śmierci zasłona. Skierowaliśmy się w stronę gigantycznego, lśniącego posępnym blaskiem czerwonego globu.

— Pole siły ma średnicę dwóch miliardów kilometrów — powiedziała Verel. — Odpycha lub dezintegruje wszystko, co zbliża się do niego. W ten sposób chroni Mystoona od zderzenia z przelatującymi fragmentami mgławicy, nie dopuszcza doń również takich gości jak my!

— Jak możemy się przez nie przedostać? — zapytał stojący za pulpitem sterowniczym Saturnianin.

— Statki Malgartha mają specjalne cewki, które wytwarzają pole neutralizujące —

odpowiedziała. — Takie urządzenie miał również statek, którym uciekłam. Nie zdążyłam jednak rozszyfrować zasady jego działania. Myślę, że jest tylko jedno wyjście — musimy uderzyć w to pole całą mocą. Miejmy nadzieję, że się nam uda!

— Nie jestem pewien...

Jeron, wpatrując się uważnie w tarcze wskaźników, pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Popatrzcie, co pokazują analizatory. Nie jestem wcale pewien...

Nucąc jakąś wesołą kosmiczną balladę, złotowłosey Ziemiańnin podszedł do pulpitu sterowniczego.

— Przejmuję kontrolę, Jeronie — powiedział. — Musimy się przebić.

Zadał kilka pytań dziewczynie, szybko dokonał pomiaru intensywności pola, po czym polecił Rogo Nugowi, aby przestawił konwertory na pełną moc. Maszyny zadudniły głośniejsz i

„Barihorn” pomknął z szaloną szybkością w kierunku szkarłatnego globu.

Na tle ciemnych, nieprzyjaznych obłoków mgławicy jego tarcza rosła przed nami jak płonąca kula jakiegoś gigantycznego słońca. Wiedziałem, że graniczne pole siłowe może mieć działanie równie zabójcze jak rozżarzone gazy Betelgezy lub Antaresa!

Kel Aran zastygł skupiony i napięty nad pulpitem kontrolnym. Tuż przy nim stała ostatnia dziewczyna Ziemi. Jej drżąca ręka spoczywała na jego ramieniu.

— Może nie uda nam się przebić — powiedziała. — Jeśli jednak mamy umrzeć, a z na-mi ma zgasnąć ostatnia nadzieja ludzkości, to się cieszę, że zginiemy walcząc. Śmierć może być także zwycięstwem.

I wtórując mu, zaśpiewała refren wesołej, szelmowskiej ballady kosmicznej.

Czerwony, budzący grozę glob rósł ciągle przed nami i nagle dzięki jakiejś niezwyklej refrakcji stało się coś zdumiewającego; nie było już globu, była tylko olbrzymia żarząca się czara, a my spadaliśmy prosto ku jej rozpalonemu dnu.

Kel Aran wstrzymał raptownie oddech, zbladł jak ściana, a jego ręce, oparte na dźwigniach steru, zeszywniały.

Przestał śpiewać. Umilkła również Verel i spojrzała na niego z takim wyrazem twarzy, jakby coś nagle pojęła.

„Barihorn” zderzył się z jakąś niesamowitą siłą. Zakołysał się naraz, zadrżał i zwolnił

gwałtownie, jakby uderzył w nas nagle wściekły wichur od dziobu. Miarowy szum konwertorów zmienił się w przeraźliwy pisk. Usłyszałem stłumiony okrzyk małego Rogo Nuga:

— Na mosiężny brzuch Malgartha! P a l i m y s i ę...

Statek stał się bowiem nagle niesamowicie gorący!

Trzymałem kiedyś w ręku kawałek żelaza w silnym polu magnetycznym i czułem jak rozgrzewa się coraz bardziej (efekt histerezy). Wiedziałem również ziemniak upieczony dzięki zastosowaniu fal ultrakrótkich. Jakaś tajemnicza siła kryjąca się w promienistej barierze spowodowała podobny, choć milion razy silniejszy efekt.

Statek pograżał się w chmurze nieprzyjaznej czerwieni. Wydawało mi się, że metaliczny kadłub zaczął się żarzyć. Farba pęczniała i dymiała. Powietrze, którym usiłowałem oddychać, paliło mi płuca. Milion gorących igieł pograżało się w moje ciało.

Verel Erin osunęła się na podłogę. Olbrzymi Zerek Oom wybiegł ze swojej kuchni z głową owiniętą mokrym ręcznikiem.

— Ten przeklęty piec! — stęknął. — Zepsuł się...

I upadł w korytarzu.

Ziemianin chwiejąc się na nogach i ocierając pot z czoła stał ciągle przy pulpicie sterowniczym. Poczulem swąd palącej się skóry i zobaczyłem biały dym wokół jego dłoni zaciśniętych na metalowych dźwigniach.

— Barihornie! — zawołał. — Czy mógłbyś podnieść Verel? Gorący pokład...

Myślę, że jeszcze chwila, najwyżej jakieś piętnaście sekund, i wszyscy byśmy spłonęli.

Lecz uderzyliśmy w barierę ochronną Mystoona z szybkością równą niemal połowie szybkości światła i dzięki temu, mimo odpychającej siły, która działała jak hamulce, przebiliśmy się na drugą stronę.

Poczulem nagłą ulgę — nie było już tych strasznych igieł żaru wbijających się wciąż od nowa w moje ciało. Metal ciągle jeszcze parzył, gdy się go dotknęło, a powietrze dusiło.

Włączyły się jednak termostaty i dotarł do mnie chłodny odświeżający powiew z wentylatora.

— Jesteśmy wewnątrz ochronnej kuli — powiedział tryumfującym tonem Kel Aran. —

A tam, tam jest Mystoon!

Dziewczyna, znów przytomna, chwiała się w moich ramionach. Rzuciliśmy się do iluminatorów. Błyszczały mroczną purpurą. Znajdowaliśmy się w środku wydrążonej kuli szkarłatu, w zdumiewającym świetle intensywnej, jaskrawej czerwieni!

Jeron znów stanął przy pulpicie sterowniczym. Bardzo ostrożnie, poparzonymi palcami, Kel Aran nastawiał teleekran, chcąc otrzymać maksymalnie ostry obraz Mystoona. Na tle owej jaskrawo czerwonej kulistej bariery widać było wyraźnie olbrzymią, czarną planetę. Jej powierzchnię pokrywały góry o fantastycznych kształtach, a między nimi czały się budzące grozę rozpadliny.

Verel zamarła nagle z przerażenia i wskazała na ekran.

— Spójrzcie w dół! — krzyknęła. — To jama Malgartha!

Rozwierająca się pod nami olbrzymia otchłań rosła na ekranie. Musiała mieć ponad sto kilometrów szerokości. Przyrządy nie mogły odszukać jej dna. Nie kończące się czarne mury niesamowitych, potężnych fortyfikacji otaczały jej wejście. Tuż za nimi widać było ogromne kosmodromy, stworzone zapewne olbrzymim nakładem pracy w tym górzystym terenie, i stojące w długich, równych rzędach kosmiczne okręty wojenne. Ich kilometrowe, czerwone ka-dłuby wyglądały jak zabaweczki.

— Gdzie... — Kel Aran z najwyższym trudem wydobywał z siebie każde słowo. —

Robot... Kamień...

— Ciemna świątynia Malgartha stoi na strzeżonej wyspie — szepnęła dziewczyna —

która leży na czerwonym morzu, pokrywającym dno otchłani. Od wejścia dzielą ją setki kilometrów. Musimy minąć flotę, umocnienia oraz baterie rozmieszczone w pieczarach poniżej i hordy robotów, które strzegą świątyni. Kamień będzie gdzieś tam. Chyba że Malgarth...

Jej szept ucichł nagle. Szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami wpatrywała się w ekran. W niewielkiej sterowni zapadła straszna, trudna do zniesienia cisza. Coś wynurzało się bowiem z czarnego koła jamy Malgartha.

Coś... niesamowitego!

Drżącą ręką Kel Aran dotknął ramienia Verel. Odwróciła przerażony wzrok od ekranu i wyczytawszy pytanie w jego twarzy potrząsnęła tylko głową.

Wyglądało to jak struga ciemności. Lecz wiedziałem, że było... czymś namacalnym —

nie rozpraszało się w miarę oddalania od źródła. I wiło się, kręciło jak coś żywego.

Była to jakaś niesamowita macka ciemności, wynurzająca się z głębi planety i sunąca w stronę naszego statku!

— Pełna moc! — krzyknął Jeron do interfonu. — Zlituj się, Rogo, pełna moc!

„Barihorn” skręcił i pomknął w bok, lecz cała jego olbrzymia szybkość nie zdała się na nic. Wąż Midgardu cofnął się, zatrzymał na chwilę, po czym jego hebanowe ciało wygięło się znowu. Choć głowa potwora pozbawiona była oczu, ów zdawał się uważnie obserwować nasz uciekający z szaloną szybkością statek. I nagle... uderzył! W jednej chwili otoczyła nas straszna ciemność, absolutna czerń! Ścisnęła mnie tak mocno, że nic byłem w stanie nawet poruszyć ręką. Wszystkie zmysły przestały funkcjonować. Nic nie słyszałem. Umilkł nawet warkot maszyn.

Wiedziałem jednak, że niezdolni do żadnego oporu, byliśmy wciągani w dół...

W otchłań Malgartha!

## Rozdział 13

### ZWIERCIADŁO CIEMNOŚCI

Dusząca ciemność nagle zniknęła. Powróciło czucie i znów mogłem się poruszać. Błede szkarłatne światło sączyło się przez iluminatory. Nadal jednak panowała cisza. Maszyny milczały. Czulem, że „Barihorn” nie porusza się.

— Gdzie... — Kel Aran starał się przebić wzrokiem szkarłatny mrok. — Co...

Verel stała przy nim jak blady cień.

— Jesteśmy w świątyni — powiedziała cichym, pełnym rozpaczy głosem. — W szponach Malgartha!

Odwróciłem się w stronę najbliższego iluminatora. Na zewnątrz, za zasłoną czerwonej mgły, udało mi się dostrzec olbrzymie, kwadratowe czarne kolumny. Za nimi zobaczyłem jakąś ścianę. Gdzieś w górze, odległy o parę kilometrów od nas, majaczył sklepiony czarny dach, z dużym otworem, w kształcie koła, przez który widać było krąg mrocznego nieba; wyglądał jak ciemnoczerwone, złośliwe słońce.

W ogromie tej budowli wyczuwało się niesamowitą moc robota, tego straszego demo-na, który — choć stworzony przez człowieka — starał się teraz zniszczyć bezlitośnie swego twórcę.

— Silniki, Rogo — poprosił znowu Jeron. — Czy możesz uruchomić silniki?

Ponury, wielki Saturnianin zmagął się bezskutecznie z nie działającymi przyrządami na pulpicie kontrolnym. Z interfonu usłyszałem nosowy głos Rogo Nuga:

— Na stalową czaszkę Malgartha, Jeronie, myślałem, że dostanę zawału! Jedną chwilę...

Konwertory i generatory nagle ożyły. Jeron oparł się całym ciężarem na dźwigni mocy.

Maszyny zaczęły pracować na przyspieszonych obrotach, a cewki odezwały się znowu, dudniąc w strasliwym przeciążeniu. Wiedziałem, że niesamowita rzeka energii przelewała się w zwoje ścieśnicza przestrzeni.

Lecz „Barihorn” nie posunął się nawet o centymetr!

Jeron, zbity z tropu odwrócił się od pulpitu.

— To coś ciągle nas trzyma, Kel — odezwał się. — Czymkolwiek jest!

Ziemianin przegarnął palcami swe gęste, jasne loki.

— Skoro tak — powiedział stanowczym tonem — opuścimy statek i pójdziemy pieszo na poszukiwanie Kamienia.

— Oczywiście, lepiej wyjdźmy stąd sami — powiedziała dziewczyna głosem pełnym przerażenia. — Zanim one nas stąd wyciągną.

Wskazała na iluminatory. Migwały za nimi białe skrzydła; to oddział Nowych Robotów krążył wokół naszego statku. Były niezwykle piękne, przypominały stado srebrnych ptaków, każdy z nich trzymał jednak w szczupłej srebrnej macce potężny pistolet katodowy. Były naprawdę piękne, ale niosły śmierć!

Kel Aran sprawdził swoje dwa miotacze i spojrzał pytająco na dziewczynę.

— A Kamień? — zapytał. — Gdzie on jest?

— Nie wiem. — Verel z wysiłkiem potrząsnęła głową. Była bardzo blada. — Możemy go tylko szukać. Chyba że odnajdzie nas Cień...

— Szukać? — Tłusta twarz Zereka Ooma poczerwieniała gwałtownie. Ścisnął w dłoniach swój miotacz, jakby to był obcy przedmiot. — Nie możemy przecież wyjść, Kel —

zaprotestował przestraszony — i zmierzyć się z tymi skrzydlatymi potworami!

— To właśnie musimy zrobić — powiedział Ziemianin.

Odwrócił się i ruszył w stronę śluzy.

Nie wiem, dlaczego do tej pory nie spojrzałem w dół. Widziałem ogromne ściany, które wznosiły się nad nami, oraz krążący wokół oddział robotów. Lecz, jak mówię, do tej chwili ani razu nie spojrzałem w dół. I dopiero teraz, kiedy miałem opuścić unieruchomiony statek, coś zaparło mi oddech, poczułem nagle, że zagraża mi straszliwe niebezpieczeństwo.

Pod nami rozciągała się warstwa ciemności. Sprawiała wrażenie lustra, bo głęboko w jej wnętrzu odbijało się czerwone światło nieba. W tym dziwnym zwierciadle pojawiały się co chwila, jak białe widma, sylwetki skrzydlatych robotów. Zobaczyłem w nim również migocą-

cy obraz Kela Arana, który wyskoczył na zewnątrz przede mną.

Było to jezioro ciemności. Jego powierzchnia wirowała gwałtownie, co powodowało u mnie zawroty głowy. Czulem czające się tuż za czarną płaszczyzną potężne, jakby wstrzymywane na smyczy, tajemnicze, złowrogie siły. Miałem wrażenie, że głębokość jeziora była znacznie większa niż odległość od jego powierzchni do krwistoczerwonego otworu, który się w nim odbijał. Wydawała się większa niż przestrzeń między gwiazdami!

Próbowałem przezwyciężyć ogarniający mnie strach. Wzięłem głęboki oddech, mocno objąłem zimną dłonią kolbę miotacza i wskoczyłem, tak jak Kel Aran, na tę tajemniczą, połyskującą ciemnym blaskiem taflę.

Najpierw poślizgnąłem się gwałtownie, jakby nie było tu w ogóle tarcia. Ale już w następnej chwili jakaś dziwna siła uwięziła moje stopy tak, że nie mogłem ich ani podnieść, ani nawet przesunąć.

Zrozumiałem, że tak działa moc tej zwierciadlanej warstwy, która poprzednio przyciągnęła i obezwładniła „Barihorna”.

Zaraz po mnie opuściła statek Verel. Smagły, mały Rogo Nug wyskoczył za nią, żując flegmatycznie *goona-roon* i spluwając purpurową śliną na czarne migocące zwierciadło.

Zerek Oom zatrzymał się w luku. Stęknął, sapnął, otarł wytatuowane czoło i niepewnie skoczył w dół. Jeron Roc opuścił statek na końcu. Wszyscy ślizgali się i nieruchomieli na błyszczącej czarnej powierzchni równie szybko jak ja.

— Na mosiężne trzewia Malgartha! — sapał Rogo Nug. — Ugrzęźliśmy jak muchy w syropie!

Skierował lufę swojego miotacza w stronę białoskrzydłych robotów, które spływały z góry w naszą stronę.

— Za Barihorna i Człowieka! — zabrzmiał wojenny okrzyk Ziemianina. — Za Kamień! — Zaczął śpiewać swą pieśń o Barihornie, a z jego obu pistoletów wystrzeliły białe niszczące promienie.

Nasza walka była z góry skazana na porażkę. Wątpię, czy udałoby się nam przebić przez skrzydlatą horde, nawet gdyby ta nieznana energia, promieniująca przez to coś, co nazwałem zwierciadłem, nie przykuła nas do owej czarnej powierzchni.

Roboty trzymały w swych szponach pistolety katodowe, ale żaden z nich nie użył broni.

Opadły ciężko obok nas, tworząc jakby ścianę połyskującego srebra. Białe promienie tryskały z naszych miotaczy. Kel Aran unicestwił tuzin skrzydlatych wrogów. Jeron, Rogo, Zerek i ja zniszczyliśmy w sumie drugi tuzin, lecz nie miało to właściwie żadnego znaczenia — pozostało ich jeszcze co najmniej kilkaset.

Jeden z nich spadł na mnie, okropny w tym krwawym świetle, a jednocześnie pełen urzekającej gracji. Któraś z jego białych macek owinęła się wokół mojej broni. Inne szybko otoczyły moje ramiona, kolana i szyję.

Walczyłem rozpaczliwie z tymi srebrnymi węzami. Miażdżyły mnie bezlitośnie w swych splotach, okrutniej niż stalowe łańcuchy. Nie mogłem złapać oddechu, krew uderzyła mi do głowy, oczy zmętniały i wychodziły z orbit.

Potwór obserwował mnie z uwagą. Jego oczy, jasne i piękne, lśniące jak niebieski kryształ, wydawały się prawie żywe. Może, pomyślałem naraz — w głowie mi się już mąciło —

zgodnie z zasadami obowiązującymi w Kosmosie podobna maszyna ma takie samo prawo do życia jak człowiek...

— Kel! — usłyszałem nagle rozpaczliwy krzyk Verel.

— Kel... s t a t e k!

Z trudem odwróciłem głowę, bo zimna biała macka owijała się ciasno wokół mego gardła. Spojrzałem w stronę miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się „Barihorn”.

Nasz statek zniknął! Obezwładniona mackami innego robota, dziewczyna spoglądała w dół, w czarne zwierciadło.

— Statek! — załkała. — Nasz statek s p a d ł!

Zobaczyłem go nagle w dole pod nami, opadał w głąb jeziora ciemności, obracając się szybko wokół swej osi, jakby go wsysał potężny wir. Malał coraz bardziej, wyglądał teraz jak niewielki kawałek srebra, aż w końcu zniknął w mrocznej, straszliwej otchłani.

Zadrżałem z przerażenia. Czarne jezioro pokazało swoją złowrogą moc. Kto z nas pierwszy zostanie przez nie pochłonięty? Wszyscy moi towarzysze czuli się tak samo bezradni jak ja. Kel Aran był blady jak płótno. Przygryzł mocno wargi — szkarłatna kropla ukazała się w kąciku jego ust.

— Żegnaj, Verel — usłyszałem jego cichy szept. — Walczyliśmy na próżno. Żegnaj, Barihornie!

Dziwnie zabrzmiały te słowa w ustach Ziemskiego Sokoła. Głos mu się załamał. Głowa opadła bezwładnie, a szczupłe ciało oplecione straszными mackami osunęło się w dół.

— Kel! Kel! — Przerażona dziewczyna próbowała uwolnić się od otaczających jej ciało takich samych macek.

Srebrny robot odezwał się czystym, melodyjnym głosem:

— Uspokój się. I tak nie możesz nic zrobić.

Ten spokojny głos, wydobywający się z okrutnej, imitującej ptaka maszyny, sprawiał niesamowite wrażenie. Pewność własnej przewagi nad ludźmi, jaką w nim wyczułem, zmroziła mi serce.

Uścisk białych macek oplatających korpus i ramiona Ziemianina musiał osłabnąć. Jego pozornie bezwładne ciało nagle ożyło. Odwrócił się w stronę trzymającego go robota i błyskawicznym ruchem sięgnął po pistolet katodowy.

Podstęp prawie się udał. Kel Aran zdołał uchwycić rękojeść pistoletu i wyciągnął broń z pochwy. W tym samym jednak momencie metalowe zwoje zacisnęły się silniej wokół niego.

Głuchy krzyk wydarł mu się z gardła. Zgniatane bezlitośnie ciało zatrzeszczało głucho.

Twarz poczerwieniała gwałtownie, z ust potoczyła się krew. Znowu osunął się bezsilnie w dół, tym razem naprawdę nieprzytomny.

Pistolet katodowy wypadł z jego dłoni...

Widzieliśmy, jak leci w dół przez ciemno połyskującą taflę, na której staliśmy, jakby nie napotykał żadnego oporu! Zniknął w odbitym w mrocznej otchłani czerwonym kręgu nieba.

Ostatni podstęp Sokoła zawiódł.

## **Rozdział 14**

### **CIEŃ W KAMIENIU**

Kel Aran leżał ciągle bez ruchu, my, pozostali, staliśmy na lśniącej powierzchni jeziora, straszliwego ciemnego jeziora, ciasno opleceni mackami srebrnych robotów. Verel, sama prawie nieprzytomna, wpatrywała się w Kela rozszerzonymi z przerażenia oczyma.



Nagle stało się coś jeszcze bardziej okropnego.

Roboty, które obezwładniły Jerona Roca, Rogo Nuga i Zereka Ooma, zrewidowały ich dokładnie. Zręczne, srebrne macki pozbawiły ich broni, zapasowych rurek konwertorowych, odebrały małemu inżynierowi zużyty metalowy kanister, w którym przechowywał korzenie *goona-roon*, a kucharzowi do połowy opróżnioną butelkę z rumem.

Jeron stał spokojnie z kamienną twarzą. Zerek drżał cały, płakał i błagał bezgłośnie o łaskę. Rogo żuł w skupieniu i nagle strzyknął purpurową śliną w kryształowe oko trzymające-go go potwora.

Skrzydlate roboty nic zareagowały ani na prośby, ani na obrazę. Skończywszy przeszu-kiwanie uwolniły Jerona, Zereka i Roga z uścisku srebrnych macek i nagle wszyscy trzej zaczęli spadać! Ostatni drżący krzyk Zereka Ooma urwał się gwałtownie, gdy jego pozbawiona włosów głowa znalazła się pod powierzchnią ciemnego jeziora.

Czując jak mróz przebiega mi po krzyżu, obserwowałem ich wirujące ciała. Jak statek zostały one wciągnięte w otchłań, przemknęły przez ledwo widoczny, szkarłatny krąg i zniknęły.

Nagle usłyszałem ogłuszający, mosiężny łoskot odbijający się jak daleki grzmot od olbrzymich kolumn, dalekich ścian i sklepienia z czarnego kamienia zwieńczającego tę niesamowitą konstrukcję. Oderwałem wzrok od mrocznej otchłani, w której przed chwilą zniknęli nasi towarzysze.

Ujrzałem, że wszystkie białe roboty śpiesznie sfruwają w dół, opadają na czarne zwierciadło i na otaczającą go posadzkę z kamienia hebanowej barwy, pochylając swe srebrne głowy.

Całe pomieszczenie znów zadrżało od potężnego grzmotu.

— Malgarth! — rozległ się pełen grozy pomruk wśród robotów. — Nasz Mistrz nadchodzi!

W chwilę potem zobaczyłem, jak na końcu tej niewiarygodnie olbrzymiej sali, parę kilometrów od nas, otworzyły się gigantyczne drzwi z czarnego metalu. Wlał się przez nie z hałasem tłum starych czerwono-czarnych robotów, niezgrabnych, groteskowo brzydkich, zupełnie niepodobnych do naszych srebrnych strażników.

— Mistrz! — rozległo się znowu. — Malgarth nadchodzi!

Zamrugałem gwałtownie oczyma. W przytłumionym świetle zobaczyłem kroczącą w naszą stronę monstrialną maszynę, robota dziesięć razy większego od pozostałych. Jego czarne, kolosalne ciało składało się z wielu przedziwnych różnokształtnych, fantastycznych części. Pod opancerzonym, szkarłatnym sklepieniem jego wysokiej głowy lśniło niebieskim blaskiem niezliczonych soczewek dwoje ogromnych oczu.

Wiedziałem, że ten metalowy gigant to Malgarth.

Ciemna warstwa pod nami wirowała i drżała głucho od jego potężnych kroków. Przera-

żony, zastanawiałem się, czy pochłonie nas troje, tak jak Jerona Roca, Zereka Ooma i Rogo Nuga. I

co znajduje się pod nią...

— Barihornie...

Moje imię spłynęło z pobladłych warg Verel, a jej ciało, oplecione srebrnymi mackami, zwiotczało. Kel Aran nie poruszał się nadal. Musiałem samotnie stawić czoło zbliżającemu się monstrum.

Gigantyczny robot dotarł do brzegu jeziora ciemności i tu przystanął, kołysząc się miarowo. Rój jego strażników kłębił się wokół olbrzymich stóp Mistrza. Przez chwilę przyglądał

się nam zimno błyszczącymi niebieskimi oczami, po czym ochrypli metaliczny głos zagrzmiął:

— Znam cię, Bari Hornie. Wydawało mi się, że cię zabiłem w laboratorium milion lat temu. Nie mam pojęcia, jakim cudem taki marny strzęp wodnistego ciała przetrwał do dziś, lecz zapewniam cię, że obecnie dysponuję o wiele doskonalszą bronią niż wtedy.

Metalowy wielkolud zakołysał się na potężnych nogach.

— Nawet ty, mój twórco, nie wymyślisz nic — zadudnił z tryumfem — co mogłoby sprostać mocy mego geodezyjnego zwierciadła. Ugina ono przestrzeń według mojej woli. Nie ograniczają go wymiary przestrzeni i czasu. Mogę cię wyrzucić z Wszechświata. I uczynię to...

Potężny głos opadł do szeptu.

— ... kiedy już umrzesz.

Gorączkowo szukałem argumentów, które mogłyby skłonić robota, aby pozostawił przy życiu chociaż pewną liczbę ludzi! Malgarth był maszyną. Musiał postępować zgodnie z logiką.

— Pamiętaj, Malgarth — wychrypiałem z trudem, gdyż macka robota ścisnęła moje gardło — że to człowiek cię stworzył. Maszyny i ludzie uzupełniają się. Potrzebujemy siebie wzajemnie. Jesteś silniejszy ode mnie, ale stal musi w końcu przerdzewieć, a życie jest wieczne!

— Ja jestem wieczny!

Głęboki jak dźwięk cmentarnego dzwonu głos Malgartha przetoczył się przez tę zdumiewającą swym ogromem, czerwono oświetloną salę.

— Byłeś głupcem, Bari Hornie, kiedy mnie projektowałeś. Podwójnym głupcem dlatego, że próbowałeś przechować wiedzę, która może mnie zniszczyć. Przez tę swoją podwójną głupotę zginiesz teraz. A wraz z tobą zginą wszyscy ludzie, bo musimy się zemścić za milion lat niewoli.

Kel i Verel wciąż leżeli bez ruchu. Ścisłszy srebrnymi mackami z trudem łapałem oddech i szukałem w popłochu jakiegoś pomysłu, który mógłby mnie ocalić.

— Twój milion lat to tylko chwilka — łykałem rozpaczliwie powietrze — w porównaniu z tym, jak długo istnieje życie. Jest ono bowiem rzeką, co płynie od początku istnienia Ziemi, którą

zamordowałaś. Nawet ja przeżyłem milion lat, śledząc wszystkie twoje poczynania, Malgarth, gotów cię zniszczyć w momencie, gdy już nie będę miał innego wyjścia.

Metalowy kolos, stojący przy brzegu czarnego jeziora, zadrżał nagle. Malgarth przestraszył się. Moje śmiałe kłamstwo wywołało jednak zupełnie niezamierzony skutek, bo natychmiast ryknął wściekłym głosem:

— A więc zniszcz mnie, Bari Hornie, jeśli potrafisz! Zmierzy się! Rozkazuję w tej chwili... z g n i e ś ć w a s.

Zimne macki białych robotów owinięły się wokół mnie ciasno jak srebrne węże. Zaciskały się wolno i zdążyłem jeszcze zobaczyć, co dzieje się z innymi. Kel Aran poruszył się.

Spostrzegłem, że błyszczące zwoje zacieśniają się również wokół jego ciała. Usłyszałem cichy jęk i zobaczyłem, że ponownie zaczął krwawić.

— Barihornie! — szepnęła Verel. — Bari...

Srebrne macki zgniatały jej ciało, wyginały szczupłe kończyny. Alabastrowa skóra pokryła się potem. Z jej gardła wydobył się niski, urywany krzyk.

W następnej chwili znikła przesłonięta czerwoną mgłą mego własnego bólu. Zimna, gładka pętla zacisnęła się na mojej szyi. Nie mogłem oddychać. Poczułem, że z uszu i nosa cieknie mi krew.

Z trudem usłyszałem dobiegający jakby z ogromnej odległości głos Malgartha:

— Precz, Bari Hornie! Odejdź przez geodezyjne zwierciadło! I zabierz ze sobą swój sekret!

Gasnącymi oczyma zobaczyłem nagle coś jasnego poruszającego się szybko po łuku paraboli. To coś, niby zdumiewający płomień, mignęło mi przed oczyma i upadło na opalizującą czarną warstwę u moich stóp.

Kamień Dondary, którego poszukiwaliśmy tak długo i daremnie!

Metalowy wielkolud zniknął w zalewającej wszystko ciemności. Czułem, że zbliża się mój kres. Zwierciadło Malgartha miało nas przenieść w jakąś niewyobrażalną nicość, w tej samej chwili gdy umrzemy.

— Bari! — Jakiś miękki głos wymówił nagle moje imię.

— Bari Hornie, nadszedł czas.

Usiłowałem rozpaczliwie odzyskać zdolność widzenia, niestety bezskutecznie.

— Bari! Ukochany, nie widzisz mnie?

Jak przez mgłę ujrzałem wysoką, cudownie piękną Dondarę Keradin. Zobaczyłem również Doneę

Carridan, moją ukochaną żonę, która umarła w dniu, kiedy urodził się nasz syn.

Były jednością. Jednym cieniem, jednym duchem, który wyłonił się z wielkiego diamentu, wrzuconego przez Malgartha do czarnego jeziora!

— Dona... — Nie mogłem wydobyć głosu z mego zmaltretowanego gardła, próbowałem więc sygnalizować zgłoski wargami. — Czy... możesz... zabić... Malgartha?

Jej biała dłoń dotknęła mojego ramienia. Ból powodowany przez zaciskające się zwoje zelżał natychmiast. A może, pomyślałem, ten obraz ukochanej kobiety jest tylko urojeniem, łaską zbliżającej się śmierci?

Białe wargi cienia poruszały się. Sądzę, że z jej ust nie wydobywał się żaden dźwięk; myślę, że mając zupełnie sparaliżowane zmysły nie byłbym w stanie nic usłyszeć, lecz słowa, które wypowiadała swym melodyjnym, zawsze drogim mi głosem, docierały bez trudu do mojej świadomości.

— Możemy, Bari — mówił biały duch. — Przechowałam bowiem ów sekret, ową broń, którą mi pozostawiłeś, a w tej chwili z pewnością nie ma innego wyjścia, musimy jej użyć.

Być może zapomniałeś o niej. Lecz masz moc, aby się nią posłużyć, moc, która przetrwała milion lat!

Spróbowałem po raz ostatni wyrwać się z krępujących mnie białych macek robota. Lecz moje ciało było teraz martwą bryłą ołowiu. Przestałem nawet odczuwać ból. Nie byłem w stanie się poruszać.

— Nie mogę, Dono — próbowałem powiedzieć. — Wyciekły ze mnie wszystkie siły...

Znowu otoczyła mnie czarna mgła. Gdy ból w gardle, piersiach i kończynach zniknął, powróciła miłosierna ciemność. Zapomnienie było ciepłym, kojącym żywiołem. Leczyło wszystkie rany, kołysało mnie do wiecznego snu.

— Bari...

Miękki, znajomy głos wzywał mnie natarczywie. Był złotą liną, która miała mi pomóc wydobyć się z morza ciemności. Uczepiłem się jej. Jak przez mgłę jeszcze raz błysnął biały piękny cień płynący w diamentowym blasku.

— Chodź, Bari!

Zjawa ujęła mnie za rękę, uwalniając z uścisku srebrnych macek.

— Wiem, że twoje ciało umiera — powiedziała. — Lecz masz jeszcze tyle energii, że uda ci się na pewno wypełnić to ostatnie zadanie. Sekret bowiem, który mi powierzyłeś, może nas uratować. Chodź za mną!

Jej dłoń była teraz chłodna i rzeczywista. Pociągnęła mnie ku sobie i nagle uwolniłem się z

metalowych splotów tak łatwo, jakby rozwiały się w dym.

Znów widziałem! Zobaczyłem ciemne zwierciadło pod nami; gromadę białych robotów, omdlałe, nieruchome ciała Verel i Kela. Widziałem również kobietę obok mnie, wspaniałe, połyskujące czerwono włosy i ogromne fioletowe oczy Dony i Dondary.

— Musimy się pośpieszyć, Bari — nagliła. — Bo inaczej on rzuci twoje ciało oraz Kamień do zwierciadła. Nawet moc, którą mi dałeś, nie dosięgnie go spoza granic Wszech-

świata!

Ruszyliśmy w stronę Malgartha, sterczącego jak wieża w czerwonym mroku ponad mroczną hebanową taflą. Olbrzymie ciało przybrało tryumfalną pozę, a niebieskie owadzie oczy wpatrywały się w jakiś odległy punkt za nami.

I naraz, w chwili gdy dłoń kobiety zacisnęła się na mojej dłoni, przestałem być Barrym Hornem. Stałem się legendarnym Barim Hornem. Jakimś tajemniczym sposobem posiadałem nagle całą wiedzę wykorzystaną przy budowie Malgartha.

W następnej chwili ze zdumieniem zobaczyłem przed sobą, tak jak widziałem go kiedyś w laboratorium pod kryształową kopułą, mózg Malgartha — czarny, olbrzymi, pokryty głębokimi fałdami, pływający w przezroczystym pojemniku. Widniała na nim mała blada plamka.

Znałem ów mankament w strukturze syntetycznego mózgu, który ja, Bari Horn, zamierzałem usunąć, a który, chcąc rozproszyć obawy Dondary Keradin, w końcu pozostawiłem.

— Pośpiesz się! — usłyszałem za sobą kobiecy szept. — On sądzi, że już nie żyjesz.

Próbuje właśnie rzucić nas w głąb zwierciadła!

W następnej chwili wspinaliśmy się już w górę ku wierzchołkowi monstualnej konstrukcji. Ciało Malgartha było trzydziestometrową wieżą wypełnioną mnóstwem złożonych mechanizmów, które uczyniły go panem Galaktyki.

Pokonawszy dziesiątki metalowych ścian z taką łatwością, jak gdyby były czymś nie-rzeczywistym, dotarliśmy w końcu do mózgu robota.

Urósł przez wieki. Zanurzony w wielkiej opancerzonej kadzi, pełnej purpurowego roztworu dostarczanego przez pulsujące pompy, czarny, głęboko pofałdowany, zdumiewał swym ogromem. Lecz jego kształt nie zmienił się. I nadal widniała na nim mała jasna plamka.

Wyciągnąłem ku niej rękę...

Naraz zmartwiałem z przerażenia. Czarna zasłona oddzieliła mnie od mózgu Malgartha.

Moja ręka stała się nagle bezwładna. Zakręciło mi się w głowie, jakbym spadał w jakąś straszliwą przepaść. Wszystkie olbrzymie mechanizmy tworzące wnętrze robota wirowały i rozmywały się

wokół mnie.

Tylko kobieta Kamienia była ciągle rzeczywista, a z jej dłoni płynęła ku mojej dłoni ożywcza siła.

— T e r a z! — krzyknęła. — Rzucił nas do wnętrza zwierciadła!

Walczyłem z ogarniającym mnie bezwładem. Gorączkowo szukałem po omacku tej dziwnej gęstniejącej zasłony; czarny mózg, wirując, zdawał się oddalać ode mnie w nieskończoność.

Lecz dosięgnąłem go. Moje palce zanurzyły się głęboko w pofałdowaną czarną masę, otaczając bladą plamkę. Zacisnąłem dłonie i rwałem. Olbrzymi mózg drżał. Skręcał się niemal z bólu. Czerń rozlewała się w purpurowym roztworze.

— Przelecieliśmy — westchnęła kobieta. — Jego zwierciadło...

Mózg, monstualne metalowe ciało i cała ta niesamowita, rozjaśniona czerwonym światłem sala oddalały się od nas wirując, jak gdyby smagał je cichy, straszliwie silny wicher.

Byliśmy sami w nieskończonej pustce: jasny cień i ja.

Gdy tak leciałem w głąb przepastnej bezkształtnej otchłani, dobiegł mnie jeszcze ledwie słyszalny, mosiężny głos Malgartha.

Oszołomiony, wstrząśnięty do głębi, mówił:

— Moja wiedza przepadła! Coś tak prostego, a ja o tym nie wiedziałem! Tuleja z płynem pękła... Kamień wiedział... strach... s t r a c h! Zostali wrzuceni do wnętrza lustra... Bari i Kamień... ulecieli bezpowrotnie. Lecz ja... który mogłem być nieśmiertelny... u m i e r a m.

Ten głos był coraz cichszy, aż wreszcie zgasł, utonął w potężnej, cichej wichurze.

Zrozumiałem, że to nie wiatr, a boska moc geodezyjnego zwierciadła. To właśnie ta mocniosła mnie i Kamień ku naszemu przeznaczeniu; ku nieznanemu, mrocznemu miejscu poza granicami przestrzeni.

Wokoło wirowała niesamowita otchłań, a mnie przepęłniało uczucie głębokiego szczęścia. Kobieta lecąca wraz ze mną powiedziała radośnie:

— Dokonało się, Bari. Nasze zadanie sprzed miliona lat zostało wypełnione. Malgarth nie żyje!

Zacisnęła ciepłą dłoń na mojej i w następnej chwili jej uścisk zaczął słabnąć. Rozejrza-

łem się za nią w tym bezgwiezdny chaosie i zobaczyłem, że znów staje się widmem, cieniem.

— Żegnaj, Bari — wyszeptwała. — Żegnaj, moje serce!

Doznałem nagle uczucia przerażającego osamotnienia.

— Dono, Dono, nie możesz mnie zostawić! — krzychałem w pustą otchłań. — Jeśli odejdiesz, nie pozostanie... nic! Zostanę... p o z a wszechświatem... sam!

Obraz mojej ukochanej był już prawie niewidoczny, roztopiał się, znikał, jeszcze raz jednak, jakby gdzieś z oddali, dobiegł mnie jej drogi głos:

— Muszę odejść, Bari. Cieszę się, że odchodzę, po tych długich, męczących wiekach oczekiwania. Nawet Kamień musi umrzeć, Bari! Pozostała już tylko ostatnia tajemnica.

Zasłona, którą jedynie śmierć może zedrzeć. Mam nadzieję, wierzę, że poza nią odnajdziemy wszystko, co daremnie starały się osiągnąć nasze kolejne wcielenia.

Nie spuszczałem z oczu jej znikającego cienia.

— Ależ Dono! — krzychałem. — Z miejsca, w które rzuci nas zwierciadło, nie ma powrotu. Malgarth powiedział...

— Ale Malgarth nie żyje! — usłyszałem znowu jej głos. — Umarł, zanim zostaliśmy wyrzuceni poza Wszechświat. Jego zwierciadłem rządzą teraz Nowe Roboty. A one nie są złe, Bari, od czasu gdy skończyła się jego władza; istoty tak piękne nie mogłyby być naprawdę złe. Odnoszą się z szacunkiem do ludzi — twórców robotów oraz pogromców Malgartha! Obiecują, że będą przyjaciółmi człowieka, Bari, i że oba gatunki żyjąc w przyjaźni mogą stworzyć wspaniały świat, o jakim nawet nie marzyły! One sprawują kontrolę nad zwierciadłem, Bari. Mogą nastawić jego ognisko z powrotem na nasz Wszechświat.

— Jeśli tak jest — spytałem gorączkowo — co stanie się z innymi? Z Verel i Kelem?

Czy już za późno...?

— Wiedza Nowych Robotów może uratować im życie — wyjaśniał mi słabnący głos.

— Staną na czele niedobitków ludzkości. Opłakują cię teraz, Bari.

— A pozostała trójka? — pytałem gorączkowo.

— Nawet oni przeżyją — usłyszałem zamierający szept z otchłani. — Nowe Roboty, posłużąwszy się tą samą mocą zwierciadła, która wyrzuciła ich poza przestrzeń, sprowadziły wszystkich trzech z powrotem. Nie pamiętają jednak tego, co widzieli na zewnątrz.

Szept ucichł. Przez krótką chwilę byłem sam w tej dziwnej, pozbawionej światła pustce.

Jak szalony krzychałem: „Dono! Dondaro!” póki raz jeszcze nie dobiegł mnie cichy szept:

— Żegnaj, Bari. Przestaję już widzieć. I tracę głos. Kamień umiera. Każde z nas musi przejść samotnie przez tajemniczą bramę przed nami. Będę czekała na ciebie za tą bramą!

Przyjdź do mnie, Bari!

Szept cichnął i zgasł na zawsze, wchłonięty przez noc. Wirująca ciemność zgęstniała wokół mnie i nagle zniknęła. Zorientowałem się, że stoję na środku nie znanego mi pokoju —

ciągle jeszcze kręciło mi się w głowie.

Z każdą chwilą obraz tego pokoju stawał się wyraźniejszy. Łapiąc gwałtownie oddech, jakbym właśnie wydostał się z morderczego uścisku macek robota, opadłem na stojący obok fotel. Zdumiałem się tak bardzo, że na chwilę zapomniałem w ogóle o bólu.

Umeblowanie pochodziło bowiem z mojej epoki, z mojego kraju! Na półkach stały dobrze znane mi książki. Kalendarz nad biurkiem informował, że jest październik 1938.

Zwierciadło Malgartha posłało mnie milion dwieście tysięcy lat wstecz!

Spostrzegłem nagle, że w mojej posiniaczonej dłoni — tej samej, w której niedawno trzymałem dłoń ducha Kamienia — leży wielki, przejrzysty diament. Kamień!

Trzymając go pod światło w drżących palcach, odkryłem głęboko w jego wnętrzu mglisty, niewyraźny obraz, przepiękną miniaturę Dony lub Dondary Keradin. Zawołałem ją po imieniu, ale nie poruszyła się ani nie odpowiedziała. Ogrzewając diament własnym ciałem, próbowałem go ożywić, ale kamień pozostał martwy.

Gdy po pewnym czasie dręczący mnie okrutny żal zelżał trochę, zdałem sobie naraz sprawę, że ja sam znajduję się na krawędzi śmierci. Moje ciało, już i tak osłabione przez trwające tyle wieków sen, zostało przecież dosłownie zmiażdżone w żelaznym uścisku potwornych srebrnych macek.

Mimo bólu, który nie ustępował nawet na chwilę, przez trzy dni i trzy noce pisałem tę opowieść. Nie wiem, skąd czerpałem niezbędną po temu siłę. Chcę, aby ten rękopis przeczytał mój syn, Barry. Jego opiece powierzam również klejnot, który był Kamieniem Dondary.

Nie próbowałem szukać pomocy lekarza. Umierającemu człowiekowi zbyt trudno było-by odpowiedzieć na pytania, które musiałby mu zadać oszołomiony reprezentant wiedzy medycznej. Poza tym nie chcę żyć dłużej. Moje zadanie zostało wypełnione.

Tych długich, pełnych bólu dni i nocy nie spędziłem jednak samotnie. Obok mnie na biurku leży diament, a przez cały czas towarzyszy mi ktoś niewidoczny. Jestem naukowcem i sceptykiem, nie powinienem więc może pisać, że ciągle mam nadzieję odnaleźć duszę tej, która była Cieniem Kamienia.

Lecz znajdę ją na pewno.

KONIEC

Jack Williamson (właśc. John Stewart Williamson) urodził się w 1908 roku w Arizonie, wychował zaś na malutkiej samotnej farmie w stanie Nowy Meksyk. Jego jedyny kontakt ze światem stanowiły praktycznie groszowe magazyny. Debiutował w 1928 roku na łamach *Amazing Stories* opowiadaniem „The Metal Man”, napisanym pod bezpośrednim wpływem lektury powieści Abrahama Merritta *The*



*Moon Pool*. Od tego czasu tworzy przez 65 lat, co jest rekordem wśród pisarzy fantastyki. W 1976 roku otrzymał prestiżową Grand Master Nebula Award za całokształt twórczości.

Pierwszy, młodzieńczy i romantyczny okres jego twórczości przypada na lata 1928 — 1939. W

tym czasie powstaje szereg bajkowych space oper, w których aż roi się od heroiczych zmagania o wolną, szlachetną ludzkość, zbrojnych konfliktów z najeźdźcami z kosmosu, nostalgicznych spotkań z przedstawicielami ginących cywilizacji, napisanych surowym barwnym, pełnym werwy stylem.

Najsłynniejszym dziełem tego okresu jest cykl o Legionie Kosmicznym: *The Legion of Space* (1934; wersja książkowa 1947), *The Cometeers* (1936; 1950 razem z częścią trzecią), *One Against the Legion* (1939; 1950 w tomie pt. *The Cometeers*, 1967 wraz z opowiadaniem „Nowhere Near”). Ważne miejsce zajmują także dwie krótkie powieści wydawane najczęściej łącznie pt. *Legion umarłych* (1938, 1939, 1952). Tytułowa powieść to jeden z najwcześniejszych i najciekawszych utworów poświęconych światom alternatywnym i paradoksom czasowym. Po latach kilka z tych wczesnych powieści ukazało się w wydaniach książkowych: *The Green Girl* (1930, 1950), *Dreadful Sleep* (1938, 1977), *The Alien Intelligence* (1929, 1980), *The Birth of a New Republic* ([1931], 1981, razem z Milesem J. Breuerem).

W latach czterdziestych powstają dwie najlepsze powieści JW: *Darker Than You Think* (1940; 1948, o rasie ludzi-wilkołaków, wówczas traktowana jako SF, dziś zaś jako nieco staroświecki romans grozy) i *Humanoidy* (1948, 1949), do których wprowadzeniem jest słynne opowiadanie „Z założonymi rękami” (1948). Na ich przykładzie widać, jak umiejętnie przystosował się JW do zwiększonych wymagań literackich Johna Campbella. Dość popularny cykl o odkryciu w Układzie Słonecznym obcego statku z antymaterii, *Seetee Ship* (1942-3; 1951) i *Seetee Shock* (1949, 1950), jest znacznie słabszy. Z tego okresu pochodzi też powieść fantasy *The Reign of Wizardry* (1940; 1964; 1979).

W późniejszych latach zaznacza się spadek aktywności literackiej JW. Do najważniejszych powieści wydanych po 1950 roku należą: *Dragon's Island* (1951, inny tytuł: *The Not-Men*), trylogia

„Eden” dla starszych dzieci (napisana wraz z Frederikiem Pohlem): *Undersea Quest* (1954), *Undersea Fleet* (1956) i *Undersea City* (1958), *Star Bridge* (1955, z Jamesem E. Gunnem), *Manseed* (1982), *Lifeburst* (1984) i kontynuacja, *Mazeway* (1990). Dobre recenzje uzyskały dwie powieści napisane wspólnie z Frederikiem Pohlem: katastroficzna *Land's End* (1988) i o koegzystencji Ziemiaków z obcymi *The Singers of Time* (1991), w przeciwieństwie do najnowszej, obszernej powieści o wyprawie na Marsa, *Beachhead* (1992). Ukazały się następujące zbiory opowiadań JW: *The Pandora Effect* (1969), *The People Machines* (1971), *The Early Williamson* (1975), *The Best of Jack Williamson* (1978), *Into the Eighth Decade* (1990). We wszystkich zamieszczono sporo opowiadań sprzed 1939 roku. Należy dodać, że pierwszą „książką” JW była broszura z opowiadaniem *The Girl from Mars* (1929, z Milesem J. Breuerem). JW powracał po latach do swoich najpopularniejszych książek, ale obie próby wypadły nie najlepiej: *The Humanoid Touch* (1980), *The Queen of the Legion* (1983).

W latach 1952—1955 JW (z Lee Eliasem) współtworzy komiks *Beyond Mars* (1987-8, 2 t.).

Między rokiem 1957 i 1977 wykłada teorię SF. Dysertacja: „A Study in the Sense of Prophecy in Modern Science Fiction” (1957). Książki: *Science Fiction Comes to College* (1971), *Teaching Science Fiction* (1972 etc.). Za tę działalność otrzymuje Pilgrim Award 1973. W tymże roku wydaje: *H.G.*

*Wells: Critic of Progress*. Za autobiografię *Wonder's Child* (1984) otrzymuje Hugona 1985.

Opr. MSN

## SPIS ROZDZIAŁÓW

### **LEGION UMARŁYCH**

1

Tajemnicze spotkanie

002

2

Korytarz czasu

006

3

Klucz do Gyronchi

009

4

Okręt umarłych

012

5

Ludzki wrak

014

6

Okno w głąb czasu

019

7

Dowódca Legionu

022

8

Zniknięcie Jonbaru

027

9

Geodezy do Gyronchi

031

10

W twierdzy Sorainii

034

11

Diaamentowy tron

038

12

Tajemnicza skrzynka

043

13

Ziarno przyszłości

045

14

Pocałunek Sorainii

048

15

Srebrna tulejka

051

16

Rendez-vous z przeznaczeniem

053

17

Światy, których nigdy nie było

058

# OSTATNI ZIEMIANIN

Wstęp

061

1

„Astronauta”

063

2

Podbój gwiazd

068

3

Korporacja Robotów

072

4

Ziemski Sokół

075

5

Skazany świat

079

6

Kosmiczna burza

084

7

Kosmiczny cyrk

088

8

Mechaniczny sobowtór

094

9

Robot i cesarz

099

10

Triumf technomatów

102

11

Dziewczyna z planety Ziemia

107

12

Twierdza Malgartha

110

13

Zwierciadło ciemności

115

14

Cień w kamieniu

118